

TAMI HOAG

CAŁYM SOBĄ

Przełożyła

Monika Pietkiewicz

**PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1992**

1

- Jace Cooper wraca do miasteczka!

Ręka Rebeki Bradshaw ześliznęła się po krawędzi basenu, w którym odbywał się masaż wibracyjny i notatnik wpadł do pieniącej się wody. Woda rozprysła się na gazetę, którą jej pacjent, Bob Wilkes, trzymał otwartą tuż nad powierzchnią.

- Hej! - Bob, próbując rozpaczliwie ocalić gazetę, z oburzeniem spojrzał w górę. - Do licha Rebeko, a gdyby to było radio albo suszarka do włosów, co?

Dziewczyna zmarszczyła się, bardziej jednak w reakcji na wiadomość o Jace'im Cooperze, którą Bob przeczytał, niż na niego samego.

- Miałybyś trwałą ondulację gratis - powiedziała. - Czy mogę prosić o mój notes?

Usta Boba rozchyliły się w figlarnym uśmiechu, którym regularnie obdarzał swoją terapeutkę przez kilka ostatnich miesięcy.

- Czemu nie weźmiesz go sama, śliczności?

Rebeka spojrzała krzywo.

- Wyłów go, Romeo, albo położę cię z powrotem na pochylnię i wprawię ją w ruch z prędkością koła ruletki.

Wilkes podał jej ociekającą wodą, twardą podkładkę razem z przyczepionym do niej plikiem papierów.

- Jesteś sadystką bez serca.

- Pochlebstwa donikąd cię nie zaprowadzą. - Rebeka ręcznikiem próbowała osuszyć kartki i sweter. Nieproszone myśli o Jace'im Cooperze nie przestawały jej prześladować. Tłumiła w sobie chęć wyciągnięcia od Boba dalszych informacji.

On, jak gdyby czytając w jej myślach, ciągnął:

- Piszą, że Cooper zostaje odesłany do klubu Mavericks. Będzie grał tu, w Mishawaka, jeśli uda mu się wyleczyć kolano. - Wilkes pokręcił głową. - Jak wam się to podoba? Facet daje Chicago Kings sześć i pół wspaniałych sezonów. Jest Gwiazdą Sezonu, zdobywcą Złotej Rękawicy, ale gdy zaczyna się kończyć, pakują go do średniaczków, nie uznając nawet za stosowne ciepło go pożegnać. W jednej chwili z pierwszej ligi, spada do klasy A. To śmierdzi.

- Przypuszczam, że mieli po prostu dosyć jego szwindli poza boiskiem - zauważyła Dominika LeGault, która zajmowała się pacjentką leżącą na macie.

Rebeka spojrzała na koleżankę. Wysoka, długonoga Dominika była kobietą rzadkiej i egzotycznej piękności. Jej skóra miała kolor kawy z mlekiem, a oczy w kształcie migdałów, zdradzały indiańskie pochodzenie matki.

Dominika potrząsnęła głową, odrzucając burzę czarnych włosów, które ciężko opadły na ramiona.

- Biorąc pod uwagę wszystkie jego towarzyskie wysoki i publiczne afery, człowiek ten wpadał i wychodził z większych kłopotów niż cała jego drużyna razem wzięta.

- Co mężczyzna robi ze swoim czasem, to jego prywatny interes - zawyrokował Wilkes. - Co przypomina mi: Rebeko, nie miałabyś dziś ochoty pójść ze mną na film? - Uśmiechnął się czarująco. - Można już obejrzeć "Bimbos Galore" na wideo.

- Nie wspomnę, jak długo na to czekałam - odpowiedziała i dodała: - Wiesz, że nie umawiam się na randki z pacjentami.

- Bardzo głupia zasada - wymamrotał Bob.

Była to zasada, której Rebeka ściśle przestrzegała przez całe dziewięć lat pracy jako fizykoterapeuta. Jedyne wyjątkiem od reguły - Jace Cooper - okazał się być największym błędem jej życia.

Odrzuciła tę myśl, zostawiła zalane wodą notatki i poszła do sali ćwiczeniowej, by z gabloty stojącej przy ścianie wyjąć pudło z narzędziami i puszkę po kawie wypełnioną rozma-

tymi śrubkami i nakrętkami. Za godzinę, pacjentka z uszkodzeniem rdzenia kręgowego miała odbyć" pierwszą próbę użycia drążków równoległych, które trzeba było zamontować.

Rebeka wiedziała, że nie ma czasu na rozmyślania o powrocie Jace'a. Zresztą, cóż to właściwie mogło ją obchodzić? Nic. Nowina po prostu nieco ją zaskoczyła, to wszystko.

- Jace Cooper - zadumała się głośno pani Krumhansle, pacjentka Dominiki, która przeciągnęła teraz ręką po stalowoszarych włosach. - Czy to nie ten słodziutki z popielatymi włosami i kapitalnym tyłeczkiem?

Chrypliwy śmiech Dominiki wypełnił pokój.

- Tak, to on. Świetna rękawica. Jeśli chce, stać go na atomowy strzał, będę musiała odnowić karnet.

- Wydaje mi się, że dzisiaj o wiele więcej mówimy, niż pracujemy - teraz głos Rebeki zabrzmiał wyjątkowo ostro.

Bob Wilkes gwizdnął przeciągle i schował gazetę za siebie. Czarne oczy Dominiki utknęły pytająco w przyjaciółce, ale Rebeka uniknęła wyjaśnień.

Koncentrując się na bieżącej pracy, przykucnęła i zaczęła coś robić przy części urządzenia terapeutycznego. Z pewnością miała na głowie ważniejsze sprawy, niż problem ambitnego młodzieńca, którego niesprawiedliwie wyrzucono z drużyny baseballowej. Musiała myśleć o swoim następnym pacjencie. Musiała myśleć o planowanej rozbudowie działu fizykoterapii. Zastanawiała się, czy jest jakiś sposób, by przekonać radę szpitala do stworzenia oddzielnego gabinetu terapii wodnej. Zastanawiała się, co Jace Cooper zrobił sobie w kolano.

- Nie, nie Rebeko - mruzczała do siebie, kręcąc przy tym głową, tak że jej połyskliwe czarne włosy kołysały się to w jedną, to w drugą stronę, lekko muskając ramiona. Była zaniepokojona faktem, że jedno wspomnienie o tym człowieku potrafiło wpędzić ją w taką depresję. Jace Cooper dawno przestał być częścią jej życia. Pogodziła się z tą rzeczywistością, odnalazła się w niej i przestała już za nim tęsknić. Przez

te lata zdarzało się jej poznać innych mężczyzn, wejść w inne związki. Jace Cooper już nic dla niej nie znaczył. Zupełnie nic.

Nagle ktoś pchnął drzwi pokoju terapeutycznego. Był to doktor Donald Cornish. Spojrzenie Rebeki spoczęło na mężczyźnie stojącym o kulach, obok doktora. Miał intrygujący wygląd dzikiego, nieco wychudłego kota, który na swoim koncie ma więcej wygranych niż przegranych walk. Jego trochę zmierzwiłone włosy, ciemne przy skórze, stopniowo rozjaśniały się, aż do charakterystycznego złotego połysku na końcach. Spod kształtnych brwi wpatrywały się w nią ciemnoniebieskie oczy.

Czując jak serce rozpoczyna rozsalały taniec, Rebeka gwałtownie się schyliła, uderzając głową w poziomy drążek. Upuściła śrubokręt i przewróciła puszkę. Śrubki, nakrętki, pinezki i gwoździe rozsypały się po całej podłodze.

Delikatny uśmiech pojawił się na twarzy Jace'a.

- Cóż, Boko - powiedział miękko - nigdy nie byłeś mechnikiem w swojej rodzinie.

- To prawda. - Oczy Rebeki płonęły szmaragdowym ogniem, gdy wpatrywała się w doktora Cornisha. Mając metr siedemdziesiąt pięć wzrostu nie musiała podnosić głowy, by spojrzeć w oczy temu łysiejącemu już mężczyźnie, w średnim wieku. Nie poczuła się również zażenowana jego niezadowolonym wyrazem twarzy ani plakietką na białym fartuchu identyfikującą go jako szefa ortopedii.

Mimo swoich zaledwie trzydziestu lat, to właśnie Rebeka była najważniejszą osobą na fizykoterapii i wszyscy w szpitalu o tym wiedzieli. Poza tym, pomyślała spoglądając przez okno na pacjentów w pokoju ćwiczeń, mogłaby teraz utknąć wzrok w samym diable, żeby tylko nie kazano jej zajmować się Jace'em Cooperem. Obserwowała, jak ten uśmiechnął się i zażartował na temat czegoś, co powiedział Bob Wilkes. Jace miał ten rodzaj uroku, który przyciągał do niego ludzi.

Wszyscy automatycznie uwielbiali go. Był charyzmatyczny. Był niebezpieczny.

Rebekę przeszły ciarki. Z początku uznała to za odruch obrzydzenia. Nie, poprawiła się zaraz, niezdolna oderwać wzroku od mężczyzny, po prostu złapała jakąś chorobę. Wiosenny katar - zdecydowała. Czuła zawroty głowy, słabość, gorączkę i jednocześnie chłód. Ostatecznie poczuła nadchodzące przeziębienie. Uparcie nie przyjmowała do wiadomości, że wszystkie te objawy ujawniły się, gdy Jace Cooper, po niespełna siedmiu latach nieobecności, wkuśtykał z powrotem w jej życie.

- Dominika lub Max mogą się nim zająć, zresztą może iść gdzie indziej. Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.

- Ale czemu nie? - W pytaniu doktora Cornisha wyczuwało się zachodnioteksaską manierę, która tu, w Mishawaka w stanie Indiana brzmiała bardzo niewłaściwie.

Dawno już dał spokój z udawaniem twardego i Rebeka wiedziała, że to po prostu nie leży w jego naturze. Tak naprawdę, doktor Cornish był całkiem sympatycznym gościem. Tym razem najwyczejniej zapytał dlaczego, a Rebeka znów się zamysliła. Tym razem wyobraźnia kazała jej przywołać parę niebieskich oczu. Dlaczego nie? - Istniało milion przyczyn, dla których nie chciała, by Jace Cooper był jej pacjentem i dla których w ogóle nie chciała go już więcej widzieć.

Przyczyna tkwiła w każdym zakamarku jej serca, które on tak boleśnie zranił siedem lat wcześniej.

Jej logiczny, analityczny umysł był zupełnie sparaliżowany bólem, który po wrócił równie silny, jak wtedy. Rebeka nie była osobą przechowującą urazy, ale spotkanie z Jace'em wyważyło drzwi w jej pamięci, które wolałaby raczej trzymać zabite gwoździami.

- Rebeko, czy zdajesz sobie sprawę z tego, kto to jest? - Tym razem ton doktora Cornisha przyjął płaczące brzmienie. - To jest Jace Cooper, trzeci baseballista "Chicago Kings". Czy ty masz jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak ja ko-

cham "Chicago Kings"?

- Donaldzie, nie interesują mnie twoje prywatne zбочzenia - powiedziała Rebeka z ironią, która już przyzwyczył się słyszeć w jej głosie. - Zanieś je na piąte piętro. Jestem pewna, że doktor Baxter zrobi dla ciebie trochę miejsca na swoim oddziale. A co do Jace'a Coopera, to jest mi zupełnie obojętne, co zamierza zrobić. Jestem zbyt przeładowana, by włączyć go w swój rozkład zajęć.

- I, rozumiem, nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia, że dopóki nie osiągnie szczytowej formy, będzie grał dla "Mavericks"? Czy wiesz, co mogłoby to znaczyć dla "Mavericks", drużyny twego rodzinnego miasta?

Wyraz jej twarzy dokładnie wyjaśnił mu, jak wiele znaczyło to dla Rebeki.

- Niech w takim razie oni się nim zajmą.

- Przecież wiesz doskonale, że dla tego klubu, znającym się na rzeczy trenerem jest facet, którego brat zwykł był opróżniać chorym baseny w szpitalu. - Doktor Cornish przyjął jakby nieco zrezygnowaną postawę, odchodząc na kilka kroków od Rebeki i wkładając ręce do kieszeni swoich brązowych spodni. - Pan Cooper wyraźnie prosił, żebyś ty była jego terapeutką.

- Świetnie, marudo. W takim razie powiesz panu Cooperowi, że ten jedyny raz w swoim życiu nie dostanie tego, czego sobie zażyczył. Są setki kwalifikowanych terapeutów w Chicago. Nie jestem w stanie uwierzyć, że wszyscy oni okazali się być tak mało satysfakcjonujący, że aż musiał przyjechać tutaj i naprzykrzać się mnie.

W tym momencie drzwi gabinetu otworzyły się i stanął w nich obiekt jej szyderstw, po czym z dużym trudem wszedł do środka. "Lata go nie zmieniły" - niechętnie musiała przyznać Rebeka. Nie był mężczyzną imponującego wzrostu, ale nawet o kulach promieniował atletyczną energią, którą nasycał atmosferę wokół siebie.

Szczupły, wysmukły, posiadał ten rodzaj budowy ciała, który bardzo pomagał mu w karierze. Dobrze umięśnione barki i ramiona, teraz uwięzione w różowej koszulce polo,

dawały mu siłę pozwalającą używać kija baseballowego za niezłym skutkiem. Wąska talia i muskularne nogi, schowane w obcisłe dżinsy dawały mu zwinność i szybkość w wewnętrznym polu. Baseball nie mógł zażyczyć sobie bardziej doskonałego ciała.

Spojrzenie Rebeki spoczęło teraz na unieruchamiającej klamrze.

Zaczynała się w połowie uda lewej nogi, tam też ucięta została nogawka spodni, by pozwolić na zamontowanie metalowo-elastycznego mechanizmu, który kończył się pod kolaniem. Poczowała ukłucie w piersi. Oderwała wzrok od tego widoku. Nie, nie chciała wiedzieć, co się stało. Jace nie będzie jej pacjentem, nie ma więc potrzeby tego wiedzieć. Nawet gdy zauważyła, że jego wdzięki świadomie odrzucane, przyciągają jednak jej uwagę, wciąż była przekonana, że nigdy nie chce już mieć do czynienia z tym człowiekiem.

- Wiem, że się wtrącam - powiedział tymczasem Jace. Kątem oka obserwując Reбекę, posłał doktorowi Cornishowi rozbijający uśmiech. - Ale zdaje się, że przedmiotem dyskusji jest moje ciało. Mam nadzieję, że nie będzie wam przeszkadzać, gdy usiądę.

- Owszem, bardzo mi to przeszkadza - stwierdziła Rebeca, obserwując jak Jace z ulgą usadza się na czarnym winylowym krześle.

- Rebeko! - z przyganą powiedział doktor. Usiadł zgarbiony na innym krześle stojącym z drugiej strony jej biurka i przesłał Jace'owi głupawy uśmiech.

- Jace ma wszelkie prawo być obecnym przy dyskusji.

Rebeca spojrzała na doktora bardziej niż surowo. Był przezroczysty jak szklane naczynie. Wierzył oczywiście, że nie będzie mogła odmówić prośbie w obecności Jace'a. Mężczyźni. Ci zawsze wiedzą kiedy ze sobą trzymać.

- Jace opowiadał mi, że pracowałeś z nim wcześniej, w związku z kontuzją barku. Był bardzo zadowolony z wyniku leczenia.

- To było tylko lekkie naderwanie - powiedziała, krzyżując ręce na piersiach i próbując panować nad sytuacją. - Wykonywałam rutynowe zalecenia. Nie można tego odczytać w kategorii "wskrzeszenia Łazarza".

Jace usiadł wygodniej w fotelu i uśmiechnął się. Jeśli, po tych wszystkich latach, pamiętała tamtą niewielką kontuzję, można było wciąż mieć nadzieję. W trudnych chwilach po wypadku obawiał się, czy w ogóle będzie go jeszcze pamiętać. Siedem lat to bardzo dużo, a Rebeka była atrakcyjną kobietą. Nie bardzo wierzył, że pozostanie wolna, ale usłużny doktor Cornish poinformował go, że istotnie była wciąż niezamężna. To zrodziło kilka interesujących go pytań, wiedział jednak, że będą musiały one poczekać.

- Cóż - powiedział, spoglądając na nią pogodnie - ja, w każdym razie, byłem pod wrażeniem.

Rebeka rzuciła mu krótkie spojrzenie. Przynajmniej jedna rzecz nie zmieniła się przez ostatnie siedem lat - ta kobieta potrafiła zamrozić wzrokiem.

Jace wziął głęboki oddech.

- Dlatego właśnie spytałem doktora Cornisha, czy teraz nie mogłabyś zająć się moim kolanem.

- Obawiam się, że jest to niemożliwe, panie Cooper - powiedziała chłodnym tonem, ignorując nagłe uderzenie serca, które spowodował jego szelmowski uśmiech. - Jako kierownik działu mam, przede wszystkim, wiele obowiązków administracyjnych. Mój kontakt z pacjentami jest ograniczony do szczególnych przypadków. Zapewniam pana, że nie kwalifikuje się pan do nich.

Doktor Cornish wysunął się nieco i zaoferował Jace'owi dropsa cytrynowego z talerzyka na biurku Rebeki. Sam wziął jednego, po czym utkwiał swoje spokojne piwne oczy w opornej terapeutce.

- Jestem przekonany, że możemy to jakoś załatwić.

- A ja jestem przekonana, że nie możemy - odrzekła Rebeka. - Mam nadzieję, że pan Cooper zrozumie, że mam zobowiązania, których nie mogę nie wykonać.

Jace ledwo powstrzymał się od gwałtownego ruchu. Jeszcze jedna rzecz nie uległa zmianie w ciągu tych lat - cięty język Rebeki potrafił chłostać aż do krwi. Więc przynajmniej nie był jej obojętny. Wiedział, że tam gdzie nienawiść, jest też zwykle namiętność. Jeśli żywiła wobec niego jedno z tych uczuć, wierzył, że gdzieś w środku kryło się również to drugie. Był zdecydowany je w niej odnaleźć.

Doktor Cornish już otworzył usta, gdy nagle został wywołany do pokoju przyjęć. Szybko wyszedł, a Rebecę wydawało się, że zabrał ze sobą całe powietrze. Nagle znalazła się sama na sam z Jace'em i nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby powiedzieć.

Jace sięgnął po grubą teczkę z raportami medycznymi i podał ją Rebecę.

- Może przynajmniej rzucisz okiem na moją dokumentację?

Coś w wyrazie jego twarzy poruszyło ją. Stłumiła w sobie to uczucie, ale nie przestawała na niego patrzeć. To nie była ta sama twarz, którą pamiętała. W wieku dwudziestu trzech lat Jace był nieomal za przystojny. Miał wygląd złotego młodzieńca, który świetnie harmonizował z jego stylem życia. Teraz jego twarz była świadectwem wielu przeżyć. Wiek i doświadczenie zostawiły na niej wyraźne ślady. Miał ten sam orli nos, tę samą oznaczającą upór brodę i zmysłowe usta, ale zniknęła młodzieńcza gładkość, przez co zdawał się wyglądać surowiej, nawet groźniej. No i te postarzałe oczy. Wydawały się być trochę smutne, trochę zmęczone.

Rebeka poczuła, jak jej stanowczość słabnie, ale pomyślała, że poddaje się temu człowiekowi ze względu na ściśle zawodową grzeczność. Może naprawdę powinna przejrzeć jego akta i polecić go jednemu z terapeutów, jeśli nie można było pozbyć się go na dobre. Wyciągnęła rękę po teczkę. Koniuszki ich palców musnęły się. Cofnęła je, jakby dotknęła gorącego czajnika. Dokumenty wypadły jej z rąk i rozsypały się po podłodze. Zaczęła z pośpiechem je zgarniać, mrużąc pod nosem przekleństwa.

Co jej się stało? Jace Cooper dawno już przecież stracił umiejętność oddziaływania na nią. Chciała mu to okazać chłodem. Jak dotąd zdołała zasypać salę ćwiczeniową żelazstwem, a teraz pokryła podłogę swojego biurka jego aktami personalnymi. Dużo, jak na okazanie obojętności.

- Potrzebujesz pomocy? - Jego twarz znalazła się nagle o kilka centymetrów od jej.

Znieruchomiała zahipnotyzowana pięknym kształtem jej ust. Nie pamiętała, żeby miała tę małą, ukośną bliznę, dotykającą górnej wargi, ale dokładnie pamiętała, jak te usta smakowały, jak ją kusiły, jak drażniły, pamiętała ich ciepło na swoich wargach, na swoim ciele. Jej oddech stał się krótki, piersi ciężkie.

- Nie - powiedziała odrobinę za głośno. Odskoczyła od niego i uderzyła głową w kant biurka. - Au!

Rozcierając jedną ręką bolące miejsce, niezdarnie zgarbnęła z podłogi resztę papierów. Wsadziła je pod pachę i spiesznie wróciła za biurko.

"A niech to - pomyślała - jeśli on za chwilę nie wyjdzie, gotowam zrobić sobie coś poważnego".

Jace poprawił się na oparciu fotela i potarł dłonią usta, by ukryć uśmiech. Wiedział, że w tym momencie Rebeka nie doceniłaby jego poczucia humoru.

Przez chwilę obserwował ją w ciszy. Widział wyraźnie, jak usiłowała odzyskać spokój, czytając jego akta, podziwiał malachitowozielone oczy, przysłonięte teraz elegancką, czarną oprawką okularów.

Już siedem lat temu potrafiła nosić każdy drobiazg swojej garderoby w sposób, w jaki królowa nosiłaby gronostajowy płaszcz. Rzecz tylko w tym, że nakrycia Rebeki wiecznie zsuwały się z jednego ramienia. Nigdy nie umiała wyrobić w sobie chłodnego dystansu, mimo że bardzo tego chciała. Zbyt wiele było w niej ciepła, zbyt dużo troskliwości o innych, by móc czuć się dobrze w roli zimnej księżniczki. No i pozostała jeszcze ta kłopotliwa skłonność do upuszczania przedmiotów i wpadania na krawędzie mebli w chwilach zdener-

wowania. Jace wciąż uważał tę drobną przypadłość za wyjątkowo słodką.

Cholernie dobrze było widzieć ją znowu. Siła tego uczucia prawie go przestraszyła. Przez te lata nigdy całkiem o niej nie zapomniał, ale dopiero od momentu wypadku jej obraz stał się bardziej wyraźny. Będąc w szpitalu często o niej rozmyślał, zastanawiając się co się z nią stało i czy ona kiedykolwiek o nim myślała.

Przez ostatnie tygodnie wiele wydarzeń z jego życia zyskało na ostrości - błędy, które popełnił, możliwości, których nie wykorzystał, bezcenny skarb, który raz miał w rękach, a później bezmyślnie porzucił. Nadszedł czas naprawiania tamtych pochopnych decyzji. Rebeka Bradshaw była tą, od której chciał zacząć.

Chciał przebudować ich związek od podstaw. Musiał jej pokazać, że może mu zawierzyć na nowo, bez strachu o kolejny zawód. Do czego ten związek miałby ich doprowadzić, nie był pewien. Dlaczego było to dla niego tak ważne, że nie dawało mu zasnąć całymi nocami, nie potrafił powiedzieć. Wiedział tylko, że jeszcze raz musi połączyć z nią swoje życie, głęboko i prawdziwie.

Gdy przewracała strony akt, Jace przypatrywał się jej. Siedem lat temu była śliczną dziewczyną, wysoką i smukłą, z ledwie skrywaną wrażliwością, z bezradnością, którą nie całkiem potrafiła przed nim ukryć pod poważnym, wnikliwym spojrzeniem. Teraz stała się piękną kobietą. Zmierzwioną czarną grzywkę szesała z czoła, wydłużając tym prostokątną twarz. Umiejętnie nałożony makijaż delikatnie podkreślał jej wysokie kości policzkowe i miękkie dołeczki pod nimi. Warstwa przejrzystego błyszczycy pokrywała usta. Wyglądały dokładnie na tak delikatne i kuszące, jakimi je pamiętał. Były to typowo francuskie usta, które odziedziczyła po matce. Często wydymała je zabawnie, uroczo i niewiarygodnie seksownie. Pamiętał smak tych ust, ich aromat, sposób, w jaki namiętnie szeptały jego imię.

Ocknięcie się nieco ostudziło w nim krew. Jace odchrząknął i spytał:

- Jak się miewa twój ojciec?

Rebeka nie podniosła wzroku, mimo że nie docierało do niej ani jedno słowo z tekstu, w który się wpatrywała.

- Dobrze.

- A siostra?... Elen, prawda?

Zawahała się, bezwiednie wciskając i ściągając nakrętkę pióra, trzymanego w ręce.

- W porządku. - Przynajmniej nie zabrzmiało to mniej naturalnie.

- Brakowało mi ciebie - powiedział Jace, sam dziwiąc się sobie. Skąd się to wzięło? Ale to nie ma znaczenia. Rebeka nie zamierzała mu uwierzyć.

- Tak - odparła, przykrywając gorycz drwiącym uśmiechem. - Przeczytałam to między wierszami listów, których nigdy nie napisałeś.

Jace wziął głęboki oddech i wolno wypuścił powietrze, żałując, że nie ma papierosa.

Rebeka z wysiłkiem odsunęła od siebie kłębiące się myśli i zmusiła się do koncentracji. Jej wydajnie funkcjonujący umysł pochłaniał i przetwarzał naukowe terminy z raportu znajdującego się przed nią.

- Więc to nie była kontuzja?

- Nie. Wypadek samochodowy. - Ciągłe nie umiał wypo- wiedzieć tych dwóch słów bez przygnębiającego poczucia winy.

- Z tego, co jest tu napisane wynika, że byłeś pod wspólną opieką w Chicago. Czemu zmieniać konie w środku rzeki?

- Nie miałem dużego wyboru - odpowiedział, nie mogąc pozbyć się smutnej ironii. - Zarząd "Chicago Kings" odesłał mnie tutaj. Będę grał dla "Mavericks" tak długo, dopóki nie zmuszę tego starego zawiasu do pracy. Im szybciej, tym lepiej. Z odrobiną szczęścia i ciężko pracując wrócę tam pod koniec sezonu.

- Rozumiem. - Więc już planował ucieczkę z głuchej prowincji, nie będąc tu nawet całego dnia! Ten sam stary Jace. Bez wątplenia nie mógł się doczekać powrotu do jarzących światła wielkiego miasta. Rebeka czuła się uspokojona. Najlepiej byłoby, gdyby w ogóle się nie pokazał.

- Jesteś więc szefem oddziału, hm? - skomentował, rozglądając się po wymalowanym na biało gabinecie. Oprawione w ramki dyplomy i świadectwa z wyróżnieniami wisiały na ścianie zajęj plecami. Dorodny angielski bluszcz kipiał z doniczki i spływał po ścianie czarnego sekretarzyka. - Nieźle sobie radzisz, Beko.

- Dziękuję. - Udała, że nie odczuła dreszczu na dźwięk śmiesznego zdrobnienia, którym kiedyś się do niej zwracał i próbowała skupić się na notatkach zrobionych przez poprzedniego terapeutę.

- Obcięłaś włosy - powiedział miękko, nie mogąc oderwać wzroku od ich delikatnego kołysania, które towarzyszyło każdemu poruszeniu głowy. Pamiętał, gdy były tak długie, że nocą przykrywały jej piersi, broniąc mu do nich dostępu. - Lubiłem, gdy były długie.

Rebeka starała się zapanować nad nieskoordynowanym biciem serca. Dlaczego miałaby pamiętać ten właśnie obraz - Jace'a powoli rozsuwającego pasma jej włosów? A nowa fryzura - czyjego opinia miała tu jakiegokolwiek znaczenie?

- Cóż, nie bardzo mogłam zasięgnąć twojej rady, gdy podejmowałam tę decyzję.

Jace przemilczał uwagę.

- Teraz też mi się podobają. Wyglądają bardzo wyszukanie.

Komentarz trafił w sedno, czy Jace chciał tego, czy nie. Rebeka rozstała się ze swoimi warkoczami zaraz po jego wyjeździe do Chicago, trochę symbolicznie. Młode, romantyczne dziewczątka noszą długie włosy. Praktyczne, eleganckie kobiety - nie.

Teraz westchnęła zniecierpliwiona.

- Dziękuję panu, panie wazeliniarzu. Czy moglibyśmy przejść do oceny stanu twojego kolana?

- Jasne - zgodził się grzecznie.

Jak zdążyła się przekonać, uszkodzenie kolana było poważne. Pęknięcie chrząstki, uszkodzenie więzadeł - wyglądało to wystarczająco groźnie, by rozważyć operację, a nie tylko zwykły zabieg chirurgiczny. Chociaż nie zachodziła obawa, że Jace mógłby pozostać niepełnosprawny, kontuzja najprawdopodobniej oznaczała koniec kariery dla sportowca.

- Zgodnie z tym, co tu czytam, musisz zaprzestać pracy dopóki nie odzyskasz pełnej sprawności, potrzebnej do gry w głównej lidze baseballowej. Kolano będzie zawsze wrażliwe na gwałtowne obciążenia. Jeśli nie podporządkujesz się rygorystycznemu programowi ćwiczeń lub jeśli zaczniesz forsować je zbyt wcześnie, kontuzja może powrócić. - Spojrzała na niego poważnie. - Inaczej mówiąc, twój czas się skończył. Dlaczego się nie wycofasz?

Słyszał to pytanie od innych lekarzy i terapeutów. Słyszał je od kolegów z ligi i trenerów. Najwyraźniej nikt nie wierzył, że uda mu się wrócić.

Nikt nie był w stanie zrozumieć jego potrzeby powrotu, potrzeby udowodnienia sobie, że potrafi pracować na własny sukces, nie tylko oczekiwać aż ten zjawi się sam. Kimś takim - uważającym, że powodzenie będzie mu towarzyszyć wiecznie był kiedyś. Ale ten czas należał już do przeszłości.

- Muszę coś udowodnić.

- Uwielbiającym cię fanom?

- Sobie - powiedział cicho. - Fani przestają cię uwielbiać, gdy ci się nie wiedzie.

To nie był dawny Jace Cooper. Ta myśl w pewien sposób onieśmieliła Reбекę. Jace, którego pamiętała, był święcie przekonany o sile swej popularności. Był okropnym pacjentem, bo uważał, że jego ciało musi być doskonałe. Nie chciał na to pracować. Był człowiekiem, który płynął przez życie na

fali czaru i talentu, ale ani czar, ani talent nie mogły pomóc mu w tej chwili.

- Wyleczenie tego kolana, to ogrom ciężkiej pracy... i bólu - stwierdziła.

Jace rozjaśnił się.

- Bez pracy nie ma kołaczy. Czy mam rozumieć, że zmieniłaś zdanie co do opieki nade mną?

- Nie. Nawet gdybym była w stanie umieścić cię w moim rozkładzie, nie zrobiłabym tego. Nie uważam tego za dobry pomysł, byśmy pracowali razem.

Jace podniósł się z krzesła i, oparłszy ręce na biurku, pochylił się nad Rebeką, bacznie jej się przyglądając.

- Chcesz powiedzieć, że po siedmiu latach wciąż aż tak mnie nienawidzisz, że nie byłabyś w stanie pracować ze mną?

Rebeka zjeżyła się.

- Oczywiście, że nie. Nic do ciebie nie czuję.

- Kłamiesz - powiedział z dobrodusznym uśmiechem, w najmniejszym stopniu nie dotknięty jej deklaracją. To była kompletna bzdura.

Gotów byłby postawić o to swój dom, gdyby nie to, że już go stracił na korzyść podatników i że skończył z hazardem.

- Od momentu, kiedy pojawiłem się w drzwiach, jesteś tak zdenerwowana, jak szczur na tonącym okręcie. Przyznaj się, Beko.

Odsunęła się na krawędź krzesła. Dlaczego musiał się nad nią tak pochylić? Zapach jego wody kolońskiej działał idiotycznie paraliżująco na jej umysł i zapierał dech w piersiach.

- O wszem, przyznaję, że wytrąciłeś mnie z równowagi. Jesteś ostatnią osobą, której pojawienie się na moim oddziale mogłabym przewidzieć.

- Więc, jeśli twierdzisz, że co było - minęło, dlaczego nie chcesz się mną zająć?

- Powiedziałam ci już - odrzekła, starając się unikać jego wzroku i próbując zaczerpnąć odrobinę powietrza bez wdy-

chania jego zapachu - nie mam dla ciebie miejsca w moim rozkładzie zajęć.

- Tylko to? Czy to jest jedyny powód?

Spojrzała zirytowana jego nachalnością.

- Nie lubię cię. To jest wystarczający powód.

- Założę się, że nie lubisz wielu ze swoich pacjentów - próbował spekulować Jace, nie pozwalając, by słodki aromat jej perfum oderwał go od tematu. - Nie bardzo możesz wybierać ludzi, którzy ulegają wypadkom lub cierpią na ograniczenie sprawności. Jestem przekonany, że sporo wśród nich znikomych frajerów.

Rebeka odsunęła krzesło i stanęła wyprostowana, zrównując się niemal z Jace'm.

- Tak, wielu tu takich i nie mam ochoty dołączać ciebie do tej listy. Jeśli zamierzasz poddać się terapii w tym szpitalu, odbędziesz ją pod kontrolą tego, kogo wskażę.

- Jeśli nic do mnie nie czujesz, dlaczego nie jesteś sobą?

Starał się wykorzystać szansę, próbując wszystkich możliwości. Wiedział, że wystarczająco wiele razy ją zranił i że tym razem trudno będzie się do niej zbliżyć. Rebeka wolała raczej uciec, niż być zmuszoną do jeszcze jednej konfrontacji z przeszłością, która była jej klęską.

Nie mógł do tego dopuścić, wydawało mu się, że cała jego przyszłość zależała od szansy na życie z Rebeką. To co powiedział, było wyzwaniem.

- Myślę, że się boisz, Beko. Perspektywa przebywania ze mną przeraża cię, bo uświadomiłaś sobie, że wciąż coś do mnie czujesz, nawet po tych wszystkich latach.

Rebeka zdjęła okulary i rzuciła je na biurko.

- Tak, masz rację. Czuję. Obrzydzenie, pogardę, gniew. Jeszcze wczoraj zaprzeczyłabym temu, ale spotkanie z tobą rozbudziło to wszystko na nowo. Sądziłam, że udało mi się już wyzbyć tych uczuć, bo tak naprawdę nie jesteś wart nawet tego. Ale teraz wiem, że one były we mnie cały czas, bo nigdy nie miałam szansy aby je wyrazić. Nie można przecież oskarżać kogoś, kto zniknął.

"Sam się o to prosiłś Jace" - myślała, wyprostowując się.

Jace jedną rękę położył na biodrze, drugą przeciągnął po włosach.

W pokoju ćwiczeniowym terapeuta objaśniał sposób użycia automatu do pomiaru ciśnienia serca w czasie chodu.

Zachował się podle zostawiając Rebeke i wyjeżdżając do Chicago. Przygniatała go świadomość, jak głęboka była rana, nawet teraz. Boże, jak bardzo wydał się sobie odrażający. Rebeka była tak czuła, tak ufna. Dzieliła z nim najskrytsze lęki i nadzieje. Gdy pojawiła się możliwość kariery, odszedł nie oglądając się za siebie. Nowe perspektywy tak go pochłonięły, że pewnego dnia spakował się i wyjechał. Jedyne, na co było go stać, to krótki telefon na do widzenia.

Gdy znowu spojrział na nią zobaczyła ból, który nie miał nic wspólnego z chorym kolaniem.

- Przepraszam, że cię zraniłem, Beko.

- Dziękuję - odpowiedziała zakładając za ucho kosmyk włosów. Była zła na siebie za to wyznanie przed Jace'em. Nie potrafiła jednak powstrzymać się od dodania: - Siedem lat po fakcie.

Zmarszczył brwi i uśmiechnął się smutno. Jaką wymówką mógł się usprawiedliwić?

- Lepiej późno niż wcale.

- Lepiej wcale. - Rebeka potrząsnęła głową, która pod wpływem przeżyć i na skutek uderzenia o biurko zaczęła pulsować bólem.

Spuściła oczy i dodała: - Wolałabym, żebyś tu w ogóle nie wracał, Jace.

- To uczciwe. Bolało, ale było uczciwe. Więc też będę uczciwy. Moje życie zatoczyło pełne koło. Zrobiłem wiele rzeczy, z których niejestem dumny. Wiele straciłem. Nie byłem tym, kim chciałem. O mały włos zginąłbym w wypadku, ale żyję. Z jakiejś przyczyny Bóg chciał, żeby uratowałem skórę. Mam więc jeszcze jedną szansę i tym razem nie pozwolę, żeby przepadła.

Patrzył na nią z tą determinacją drapieżnego ptaka, którą pamiętała z momentów, gdy stawał na boisku baseballowym.

- Zamierzam poradzić sobie z tym kolaniem - z twoją pomocą lub bez niej - powiedział. - Zamierzam wrócić do najlepszych - z poparciem lub bez poparcia władz ligi. I zamierzam z powrotem cię zdobyć Rebeke Bradshaw, czy ci się to podoba, czy nie.

Dreszcz przebiegł po jej ciele. Nie potrafiła powiedzieć czy był to dreszcz strachu, czy oczekiwania. Wpatrywała się w Jace'a, jak gdyby zobaczyła, że rozstał się z ta odrobiną rozsądku, w istnienie którego wierzyła.

- Ależ to absurd! Nie możesz mieć nadziei na związek z kimś, kogo nie interesujesz.

- Kiedyś było inaczej - Jace był zaskoczony śmiałością własnych deklaracji. Nie planował tak jasno zdradzać swych intencji, ale teraz nie zamierzał się z niczego wycofać. Pragnienie, by nie tylko uzyskać przebaczenie, ale również odnowić to wszystko, co kiedyś dzielili, było czyste i nieskończenie silne, jak raz uderzona piłka, która szybowała przez całe boisko.

- To było dawno temu. - Rebecce nie podobały się jego błyszczące oczy.

- Nie tak dawno, byśmy zapomnieli, jak dobrze było nam razem.

Jace przeklinał chore kolano, gdyby tylko było bardziej sprawne, Rebeka nie schowałaby się przed nim za biurkiem. Dołączyłby tam do niej i przemienił w czyn, obietnicę, którą, był pewien, widział w jej oczach. Boże, jak bardzo tęsknił, by ją pocałować.

Jakby przeczuwając to, Rebeka odsunęła się przestraszona.

- Nie chcę cię Jace. Nie lubię cię i nie ufam ci.

- Nie winię cię za to, kochanie - odpowiedział szczerze - ale ja nie jestem tym samym człowiekiem, który cię zranił, Beko. Bardzo wiele się we mnie zmieniło i pragnę cię o tym przekonać.

- Będziesz marnować swój czas.

Jace uśmiechnął się i usiadł na brzegu biurka. Wziął do ręki futerał do okularów. Miękki materiał miło połaskotał mu dłoń" i Jace miał uczucie jakby trzymał piłkę baseballową.

- Sądzę, że nie.

Rebeka rzadko traciła nerwy, ale teraz zagotowało się w niej. Żywy rumieniec oblał jej delikatną buzię, w głosie słychać było furię.

- Ty arogancki ośle! Jeśli przez chwilę wydawało ci się, że po siedmiu latach możesz po prostu tanecznym pląsem wejść znów w moje życie i wziąć, co tak niefrasobliwie porzuciłeś, najwyraźniej postradałeś rozum! Nie zamierzam służyć ci za panienkę do towarzystwa, podczas gdy będziesz wyciekiwał pierwszej możliwości powrotu w wielki świat! Nie mogę wprost uwierzyć, że masz czelność sugerować coś takiego.

Minęła go z pogardą, ale zatrzymała się jeszcze z ręką na klamce.

- Być może kobiety w Chicago wyruszają w pielgrzymki, by móc paść ci do stóp - zapewne, tak będzie i tutaj - ale mnie wśród nich nie będzie.

Rebeka z rozmachem otworzyła drzwi i zderzyła się z doktorem Cornishem.

Cofnęła się, gdy tymczasem doktor, w towarzystwie dyrektora administracyjnego, wszedł do gabinetu.

- Rebeko - powiedział z niewinną miną - wyobraź sobie, że spotkałem na dole pana Saundersa, który koniecznie chciał poznać Jace'a.

- Tak, to prawda - potwierdził Saunders, odślaniając w uśmiechu swe gładko polakierowane zęby. Był niepospolitym, dojrzałym mężczyzną, który dzięki namiętności do sportu zachował młodzieńczą sylwetkę.

- Muszę panu powiedzieć, panie Cooper, że być może nasz mały szpital nie dysponuje standardem, do którego jest pan przyzwyczajony, ale nie mógłby pan powierzyć swego kolana w ręce lepsze, niż Rebeki. Jest ona najwyższej klasy

fizykoterapeutką. Jestem dumny mogąc powiedzieć, że klinika Mayo wielokrotnie wyrażała chęć przejścia jej od nas. Mamy cholerne szczęście, mogąc z nią pracować - przepraszając spojrział na Reбекę. - Wybacz ten wulgaryzm, Rebe-

ko. Po prostu nie mogła nie odpowiedzieć mu uśmiechem, nawet jeśli był zafascynowany Jace'im. Saunders był dla niej prawie jak ojciec.

Jego nagłe zmarszczenie brwi było jak karcące spojrzenie rodzica.

- Donald mówił mi, że są jakieś wątpliwości, czy będziesz pracować z panem Cooperem.

- Wiesz, że próbuję ograniczyć swoje zajęcia do najważniejszych przypadków. Sprawa pana Coopera naprawdę nie jest taka groźna.

- Wystarczająco, by zrujnować jego karierę.

No tak. To był ten sam ton głosu, którego używała jej ojciec, gdy ganił jej młodszą siostrę Ellen. Saunders mógłby, równie dobrze, dodać: "moje dziecko"

Rebeka zaczerpnęła powietrza i spojrzała w okno. Bob Wilkes jeździł na swym wózku inwalidzkim, od czasu do czasu dodając odwagi innym pacjentom.

Dojrzewający w niej pomysł wywołał lekki uśmiech.

Popatrzyła na administratora w momencie, gdy ten rozpoczął wykład.

- Ze względu na to, że pan Cooper zwrócił się do nas z prośbą o pomoc w tej konkretnej sprawie, uważam za nasz obowiązek zaoferować mu to, co mamy najlepszego.

- Tak, zgadzam się.

Trzy pary oczu spojrzały na nią z zaskoczeniem.

Jace pierwszy odważył się przemówić.

- Zmieniłaś zdanie? Będziesz ze mną pracować?

Tym razem Rebeka była już pewna. Będzie z nim pracować. Będzie niestrudzonym nadzorcą każdego etapu jego terapii. Pokaże Jace'owi Cooperowi, że jest kobietą żelaznych postanowień, że może widywać go codziennie, nie pozosta-

jąc ani przez chwilę pod wpływem jego słynnych wdzięków. A jeśli istotnie będzie próbował odnowić swe wpływy, będzie mogła potrząsnąć głową i powiedzieć, że nie umawia się na randki z pacjentami - nigdy.

- Tak - odpowiedziała, zauważając kątem oka Susie Chin wjeżdżającą do pokoju ćwiczeniowego na wózku. - A teraz panowie, proszę mi wybaczyć, widzę, że mam pacjentkę. To ma być jej pierwszy dzień na drążkach równoległych i jestem przekonana, że czuje się niepewnie. Nie chcę kazać jej czekać.

Gdy ruszyła do drzwi, Jace stanął jej na drodze. Ta nagła zmiana postanowień zdziwiła go, próbował znaleźć jej przyczynę.

- Dziękuję ci, Beko - powiedział miękko.

- Ostatni raz mi dziękujesz. Stawiasz się tu jutro dokładnie o ósmej rano, chętny i przygotowany do ciężkiego wysiłku.

Kąciki jego ust podniosły się figlarnie, gdy zasalutował sprężysto i posłusznie usunął się z drogi.

- Tak jest, szefowo.

Rebeka opadła na krzesło, czując się jak zużyta szmaciana lalka. Oparła łokcie na biurku i palcami starła z twarzy resztę makijażu. Co za dzień.

Zawódjaki wykonywała, nie był lekki. Jej pacjenci często potrzebowali pomocy przy najprostszych ruchach, wstawaniu, poruszaniu się. Oprócz ciężkiej pracy fizycznej, musiała sprostać żmudnemu zadaniu przeprowadzenia pacjenta przez wszystkie etapy terapii. To wymagało ciągłego wysiłku umysłowego i emocjonalnego. A jednak to było właśnie to, co zawsze chciała robić. Zaczęła o tym myśleć będąc prawie dzieckiem, gdy patrzyła na rujnujące skutki zaniku mięśni - jednego z etapów stwardnienia rozsianego - na które przez lata cierpiała jej matka. To zainspirowało jej wybór i dziś mogła powiedzieć, że kocha swoją pracę.

- Spróbuj - powiedziała Dominika, wchodząc do pokoju i stawiając przed Rebeką butelkę cytrynowej wody mineralnej. Usiadła na krześle po drugiej stronie biurka i wyciągnęła milowej długości nogi, opierając je na koszu do papierów. - Nie jest to wprawdzie ambrozja, ale zawsze możemy się tak umówić, prawda?

- Owszem - odrzekła Rebeka z westchnieniem. - Czuję się, jak gdybym została przepuszczona przez wyżymaczkę.

- To zapewne przez czas, który spędziłaś z Jace'em Cooperem, choć muszę przyznać, że ja też mam trochę miękkie kolana. O co chodziło w całej tej aferze?

Rebeka skrzywiła się.

- Konspiracja na miarę wysokich szczebli dyplomatycznych. Zostałam wybrana tą, która będzie miała zaszczyt opiekować się Jace'em Cooperem - w najbliższej przyszłości jednym z najbardziej wartościowych przedstawicieli naszego społeczeństwa.

- i czy to jego uroda, czy fakt, że ma więcej charyzmy niż Tom Cruise i Dennis Quaid razem wzięci spowodowały, że nie spodobał ci się ten pomysł?

- Kiedyś znałam Jace'a Coopera.

- Czy masz na myśli biblijne znaczenie tego słowa? - spytała Dominika.

Rebeka przytaknęła.

- Wobec tego ja będę z nim pracować - stwierdziła reżolutnie. - Do diabła z Griffitem Saundersem.

- Dziękuję ci. - Rebeka uśmiechnęła się ciepło. Oferta była nęcąca, jednak Rebeka podjęła już decyzję - Przemyślałam to i sądzę, że najlepsze co mogę zrobić, to zgodzić się na pracę z nim. Czy mogę mocniej udowodnić moją całkowitą odporność, niż patrząc na niego codziennie bez namniejszego poruszenia?

- Och... - oczy Dominiki błysnęły figlarnie - mogłabyś wypełnić jego zdobywczy puchar trucizną powodującą swędzenie. Zadzwonię do mamy i poproszę ją o receptę. Jej dziadek znał się na tym, rozumiesz.

Rebeka roześmiała się czując, że problemy tego dnia trochę zsunęły się z jej barków. Podniosła się ciężko i powiedziała:

- No dobrze, nazwijmy to pracowitym dniem. A teraz pragnę już tylko wrócić do domu, zjeść pizzę i paść na łóżko.

Chętnie dodałaby jeszcze: - i zapomnieć o Jace'im Cooperze - ale wrodzone poczucie realizmu powstrzymało ją od tego. Z perspektywą kolejnej konfrontacji pojawiającej się już na horyzoncie, miała małe szanse, by przestać o nim myśleć.

Rebeka przeszła przez parking, poprawiając przewieszony przez ramię wiosenny płaszcz. Otwierając drzwi swojej niebieskiej hondy Accord, odetchnęła głęboko. Może dzień rzeczywiście był okropny, ale trawa wciąż rosła i słońce miało jutro znowu wstać. To jedyna rzecz, której zdążyła się nauczyć - życie bywa trudne, ale świat nie przestaje się kręcić, a ludzie uczą się znosić.

Tak naprawdę, jej droga nie była przecież aż tak wyboista. Teraz tylko pojawił się na niej wielki kamień - Jace Cooper. Ale nawet największe kamienie można przesunąć. Jace był jednym z tych, które staczają się same, nie pozostając długo w jednym miejscu.

Rebeka nie zdziwiła się, że ukłuła ją trochę prawda, iż przybył tu tylko po to, by dać jej się we znaki zanim zieleńsze pastwiska nie przyciągną go do siebie.

Wyjechała z parkingu, kierując się w stronę domu, wrzuciła kasetę do magnetofonu i wygodniej usiadła w fotelu. Pierwsze takty kanonu Pachelbela D-dur popłynęły z głośników. Łagodne tony wypełniły powietrze spokojem - skrzypce śpiewały serenadę kończącemu się dniu. Rebeka poczuła, że jej napięcie mija wraz z przebrzmiewającymi dźwiękami.

Samotna postać idąca po chodniku zwróciła jej uwagę. Samotna postać wolno poruszająca się o kulach. Zanim dotarło do niej, kto to był, jej serce biło już innym rytmem. Podjechała i zobaczyła Jace'a, który niósł przewieszony

przez ramię wielki płócienny worek, jakiego zwykle używali sportowcy podczas wyjazdów. Rebeka westchnęła i zatrzymała samochód na krawężniku. Jace obejrzał się i zobaczył Reбекę, miał jeszcze śmiałość wyglądać na zdziwionego.

- Co ty wyprawiasz? - krzyknęła, wychylając się przez okno.

- Idę do domu. - przybrał wygląd małego, zagubionego chłopczyka. - Pod warunkiem, że go znajdę.

Miał pecha łudząc się, że naciągnie ją na współczucie. Rebeka była zła.

- Wyobraź sobie, że mamy taksówki. One nie są zarezerwowane wyłącznie dla Chicago.

- Mhm - odezwał się wymijająco, spoglądając wokoło. - Ładny dzień na spacer.

- Ty nie spacerujesz, ty kuśtykasz - zauważyła czując, że macierzyńskie instynkty biorą górę nad obojętnością. Jace powinien w tej chwili siedzieć gdzieś z uniesionym kolaniem, owiniętym w ciepły kompres.

Znając go, prawdopodobnie był na nogach cały dzień. - Jak daleko idziesz?

Jace wzruszył ramionami z komicznie niewinnym wyrazem twarzy.

- Nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam drogę.

- Jaki to adres? - spytała zniecierpliwiona.

Sięgnął ręką do przedniej kieszeni dzinsów, naciągając i tak już przylegający do ciała materiał. Rebeka przełknęła głośno, podczas gdy natrętne wspomnienia przepływały przez jej myśli gorącym strumieniem. Jace był pięknie zbudowanym mężczyzną i jego atuty widoczne były nie tylko na boisku. Była wściekła, że musi przyznać, iż nikt nie dorównywał mu w łóżku, ale taka była prawda .

Odetchnęła z ulgą, gdy Jace wyciągnął w końcu zmiętą kartkę papieru, ale cała krew odpłynęła jej z twarzy, gdy przeczytał adres.

- To dom Muriel Marquardt - powiedziała słabo. - Stoi na końcu mojej alejki.

Oczy Jace'a zrobiły się okrągłe.

- Naprawdę?

• Rebeka prawie wrzasnęła, nerwowo zaciskając swą elegancką rękę na otwartym oknie samochodu.

- Dobrze wiesz, że tak jest!

Nie zaprzeczył. Nie uwierzyłaby mu, gdyby nawet to zrobił. To był klasyczny Jace Cooper - atak na całej linii. Nie powinna być w najmniejszym stopniu zdziwiona. W końcu wyjawiał jej szczerze swoje intencje. Cóż, jeśli wydaje mu się, że mieszkając w pobliżu, sprawi, iż Rebeka poczuje się osaczona, był w błędzie. Zamierzała zawsze go ignorować, wyłączając kontakty zawodowe... gdy tylko zawiezie go do domu... do domu stojącego tuż za jej własnym.

- Wsiadaj. Wsiadaj do samochodu! - powiedziała chłodno.

Położywszy kule wzdłuż tylnego siedzenia, Jace zdjął z ramion worek i usadowił się na siedzeniu. Ostrożnie wyprostował chorą nogę tak, by nie musiał zginać kolana, które spuchło i zaczynało boleć. Gdy tylko zamknął drzwi, zapiął pas, upewniwszy się, że Rebeki jest już na swoim miejscu.

Rebeka nie odezwała się dopóki nie włączyła kierunkowskazu i nie zjechała z powrotem najeżdżnię.

- Ty nie jesteś jednak normalny. Zawsze wiedziałam, że masz lekkie odchylenia, ale teraz już całkiem ci odbiło. Nie próbuj mi wmówić, że nie ukartowałeś tego wszystkiego z góry. Nie mów, że tak nie było.

- Hej, Beko - powiedział łagodnie, rozcierając bolący mięsień nad kolaniem - jesteś zła? Powtarzasz się. Zawsze robiłaś to, gdy byłaś zła.

Zatrzymała samochód na czerwonym świetle i korzystając z okazji rzuciła mu lodowate spojrzenie. Milczała dopóki nie zmieniły się światła.

- Jak zdobyłeś adres pani Marquardt? Ona się nigdy nie ogłaszała.

- Mhm... pomógł mi przyjaciel - powiedział wymijająco, patrząc na przejeżdżający autobus.

Dziwny ton jego głosu nie uszedł jej uwadze. Więc miał przyjaciół w Mishawaka? Przez siedem lat nie mógł wysłać jej kartki z życzeniami świątecznymi, ale wciąż miał tu przyjaciół, którzybyli w stanie w ciągu kilku dni załatwić mu mieszkanie. Czy to nie ciekawe?

"No tak - pomyślała po chwili - może nie byli to tacy najlepsi przyjaciele. Pokój w mieszkaniu Muriel Marquardt nie będzie tym, do czego przywykł Jace".

- Wynajmowanie pokoiku u starszej pani, to nie w twoim stylu - zauważyła, skręcając w starą dzielnicę willową.

Solidne budynki, rozłożyste klony i dęby rozciągały się po obu stronach alejki.

- Chciałam spytać dlaczego twój wspaniały przyjaciel nie rozejrzał się za jakąś elegancką daczą z widokiem na rzekę, ale uświadomiłam sobie, że to jest również część twojego obłąkanego planu.

Miała rację. To było częścią jego planu, ale nie była to jedyna przyczyna, dla której wynajął pokój w mniej modnej dzielnicy miasta. Jace zastanawiał się, jaka byłaby reakcja Rebeki, gdyby powiedział jej, że na niewiele więcej mógł sobie w tej chwili pozwolić. Wiedział, że dostałoby mu się nieźle, gdyby wiedziała, że stracił poważną część swoich pieniędzy przez hazard.

Spojrzał na nią. Nacisnęła dźwignię kierunkowskazu z taką siłą, że o mały włos jej nie złamała. Stanowczo nie miała nastroju, by wysłuchiwać historii siedmiu lat jego życia. Wyglądało na to, że wolałaby raczej z nim skończyć.

Z pewnością zniechęciłoby go to, gdyby nie był świadkiem, jak zareagowała na niego tego popołudnia, żadna kobieta nie byłaby tak rozdygotana przy mężczyźnie, który ponoć nic ją nie obchodzi. Gdyby Jace nic dla niej nie znaczył, dawno już zapomniała by o bólu i gniewie jaki wywołało jego odejście.

- Obawiam się, że masz rację - przyznał. - Przy twoim współczynniku inteligencji nie mógłbym chyba skonstruować planu tak genialnego, że nie byłabyś w stanie go rozszy-

frować. Dlaczego więc nie stawiasz sprawy jasno? Chcę, żeby to, co było między nami, znów zaistniało. To, że będziemy mieszkać blisko siebie, po prostu zaoszczędzi nam czasu i kłopotów.

- No jasne! - odpowiedziała. - Po co narażać się na dodatkowe problemy? Równie dobrze można mnie mieć pod ręką!

- Beko, nie to miałem na myśli. - W jego głosie wyczuwało się topniejącą cierpliwość, która uświadomiła Rebecce, że nie ona jedna miała ciężki dzień. Naigrywała się z niego tak długo, jak na to pozwolił. To prawda, zasługiwał na jej sarkazm. Powinien był się spodziewać cynizmu, ale nie zamierzał popełnić samobójstwa z powodu dawnych przewinień.

Rebeka na chwilę oderwała wzrok od drogi, by dostrzec jego zachmurzone spojrzenie, które szybko przemieniło się w grymas bólu, gdy jedno z przednich kół wpadło w dziurę na jezdni. Jace mimowolnie krzyknął, zacisnął powieki i chwycił się za chore kolano.

- O Boże! Przepraszam! - Zjechała na krawężnik i natychmiast zatrzymała samochód. Przechyliła się poprzez leżące kule i dosięgła bolącej nogi, delikatnie odsuwając jego rękę i kładąc na opatrunku własną. - Oprzyj plecy o siedzenie i spróbuj się rozluźnić. Napinanie mięśni tylko przedłuży ból.

Zmuszony przez Reбекę do odchylenia się na oparcie fotela, Jace zaczerpnął powietrza. Ból, który poraził go, jak dotknięcie rozpalonego do czerwoności żelaza, powoli ustępował. Rebeka delikatnie masowała jego udo. To było cudownie uspokajające, nawet mimo grubej, elastycznej opaski, którą wciąż miał na nodze. Do końca rozluźnił mięśnie i poczuł lekki dreszcz przebiegający przez całe ciało.

- Lepiej? - spytała miękko, nie przerywając kuracji.

Skinął potakująco i oparł głowę o szary plusz siedzenia.

- Przeworsowałeś je dzisiaj, prawda?

- Obawiam się, że tak. - Podróż autobusem z Chicago też się do tego przyczyniła, ale nie miał ochoty o tym rozmawiać właśnie teraz.

- Czy masz wrażenie, że to puchnie?

- Jak balon.

Rebeka nie mogła powstrzymać się od wyrażenia dezaprobaty.

- Zawsze byłeś strasznym pacjentem. Gdy tylko dotrzemy do Muriel, chcę żebyś położył się z uniesionym kolaniem, na które nałożysz trochę lodu, żeby zmniejszyć opuchliznę, a potem zrobisz ciepły kompres dla lepszego przepływu krwi. Czy doktor Cornish dał ci receptę na tabletki przeciwbólowe?

- Nie chcę żadnych środków.

- Jace, to będzie cię często boleć.

Jego wzrok zakończył dyskusję równie przykonywująco, jak jego słowa.

- Żadnych tabletek.

Rebeka podniosła wolną rękę w geście poddania się.

- W porządku. Nie będzie żadnych recept. Ale proszę, weź aspirynę. To zmniejszy gorączkę. Wątpię, czy uda ci się dzisiaj spokojnie zasnąć, jeśli tego nie zrobisz.

Skinął głową, czując się coraz bardziej rozluźniony. Ból w kolanie nie będzie jedyną rzeczą, która nie da mu dziś zasnąć, pomyślał. Rebeka dalej nieświadomie rozcierała jego udo, wypytując o szczegóły dotyczące kontuzji. Jak gdyby wyposażone we własny rozum, jej palce wsunęły się pod uciętą nogawkę spodni. Ciało dotknęło ciała bez przeszkody, która osłabiała przyjemność. Jace kazał wyobraźni prowadzić jej rękę coraz wyżej.

Pragnął jej. Brakowało mu kobiety od momentu wypadku, ale pragnął tylko Rebeki Bradshaw. Wspomnienia jej dotyku osaczyły go. Wszystkie smaki, dźwięki i zapachy związane z nią wypełniły jego umysł tak, iż był zmuszony z nimi walczyć. Jeszcze raz uświadomił sobie, że Rebeka dale-

ka była od ciepłego przyjęcia jego zamysłów, nawet jeśli jej palce przez chwilę wymknęły się spod władzy rozumu.

Jace wyczuł moment, w którym Rebeka zdała sobie sprawę z tego, co robi. Jej szmaragdowozielone oczy zrobiły się dwa razy większe. Wyszarpnęła rękę spod rąbka spodni i spojrzała na nią oskarżającym wzrokiem, jak gdyby ją zdradziła.

- Jeśli o mnie chodzi, nie musisz przerywać - powiedział ciepłym, leniwym głosem.

Przechylił głowę, obserwując jak w panice zwinęła się na swoim siedzeniu, przyciskając się do drzwi po stronie kierowcy, jak gdyby chciała się do nich przykleić. Jej policzki zapłonęły rumieńcem. Jace zachichotał.

- Myślisz, że aspiryna pomoże na puchnięcie innych części ciała?

Głupi zarozumialec! Na pewno był przekonany, że dotykała go specjalnie.

- Nie sędzę, aby pomogła na spuchniętą głowę. - Rebeka była zasadnicza.

- Nie chodzi o głowę.

Miała na końcu języka uwagę, że nosi za ciasne slipy, ale słowa uwięzły jej w gardle, wywołały gorący dreszcz, który skończył się falą ciepła, gdzieś w dole brzucha. Utkwiwszy wzrok w tablicy kontrolnej, sięgnęła ręką do stacyjki. Samochód zaprotestował drażniącym zgrzytnięciem.

- Przecież go nie zgasiłaś - niepotrzebnie zauważył Jace. Rebeka znowu się zaczerwieniła.

- Musisz sprowadzać wszystko do aluzji seksualnych?

- Co ja takiego powiedziałem? - zapytał ze zdziwieniem malującym się w ciemnoniebieskich oczach. - Ach, masz na myśli zgaszony, jako przeciwieństwo stanu, w jakim ja znajduję się teraz?

Honda szarpnęła w tył. Rebeka, przeklinając w duchu, wrzuciła bieg i nacisnęła pedał gazu. Motor zawarczał bezsilnie.

- To jest luz.

W jej spojrzeniu mieszała się wściekłość i pogarda.

- Chciałbyś prowadzić?

Jace ochłódł i spojrzał w okno.

- Nie.

Rebeka niespokojnie poruszyła się w fotelu, zjeżdżając z krawężnika.

Czuła się, jakby dała klapsa psiakowi. Żarty Jace'a gwałtownie się skończyły i to z jej winy. Nie zależało jej, by się z niej naśmiewał, ale to milczenie po prostu nie było w jego stylu.

- Czy to był ciężki wypadek? - spytała ostrożnie, spoglądając na niego.

Patrzył przez boczne okienko na jezdnię, skurczył się, jakby gotowy za chwilę wybuchnąć.

- Tak.

- Czy byłeś z...

- Nie chcę teraz o tym mówić, Beko.

Było coś gwałtownego w jego głosie, co zaintrygowało ją, a jednocześnie nie pozwoliło pytać dalej. Skupiła się na trzypasmowej jezdni, prowadzącej w stronę domu. Tam właśnie pragnęła się znaleźć - w domu. Daleko od Jace'a Coopera. Tak naprawdę była zadowolona, że skończył z tym tematem; wcale nie miała ochoty dowiadywać się czegokolwiek o jego życiu, odkąd przestało ono być częścią jej własnego.

Rzuciła okiem na tarczę zegara wmontowanego w tablicę rozdzielczą i przygryzła wargi.

- Muszę wpaść na chwilę do domu, zanim odwiozę cię do Muriel.

- Od ciebie mogę przejść się sam. Mówiłaś przecież, że to przy końcu alejki.

Spojrzała na niego fachowym okiem.

- Nie. Jak na dziś, chodziłeś już wystarczająco dużo.

- Muszę przyznać, że dobrze jest tu siedzieć. - Uśmiechnął się, powoli odzyskując dobry humor. - Jeszcze lepiej było z twoją ręką na moim udzie.

- To się już więcej nie powtórzy - włączyła kierunkowskaz i skręciła w uliczkę, po obu stronach której stały stare, potężne budynki pomalowane na biało ze zdobionymi okiennicami w stylu kolonialnym. Zwolniła i zatrzymała samochód przed jednym z nich.

- Tego nie możesz wiedzieć.

- Owszem mogę. Nie zamierzam się angażować w związek z tobą.

- Już jesteś zaangażowana.

- Zawodowo.

- Tę granicę trudno wyznaczyć, jeśli już raz było się z kimś w łóżku.

Strzał nie mógł być celniejszy. Powinna mu pogratulować. Zamiast tego zgasiła samochód, wyszarpnąwszy kluczyki ze stacyjki. Jej twarz wyrażała jednocześnie ból i nienawiść. Głos zatrzęsł się z emocji.

- Uważaj to za pogrzebane.

Stanęła długimi nogami na chodniku i prawie pobiegła w stronę domu. Jace powoli wysunął się z samochodu i oparło dach. Chciał zawołać Rebekę, gdy nagle frontowe drzwi otworzyły się i miniaturowa kula armatnia o ludzkich kształtach wystrzeliła z werandy z dzikim okrzykiem.

- Mama! Mama, wiesz co!?

Jace osłupiał. Poczul, jak gdyby ktoś uderzył go w brzuch piłką lekarską. Mama? Beka była mamą?

Piegowata buzia i szczerbaty uśmiech Justina to było wszystko, czego pod koniec dnia potrzebowała Rebeka, by odzyskać utraconą energię. Zapominając o Jace'im Coope-rze, klękała na chodniku i otwierała ramiona, w które natychmiast wpadł chłopiec.

- Co mam wiedzieć? - spytała ze śmiechem, wyściskawszy malucha.

- Peter Cleary przyniósł do szkoły zdechłego szczura i Jessica Jorgenson wymiotowała cały lunch.

Rebeka skrzywiła się i odgarnęła włosy z czoła.

- Wygląda na to, że miałeś niezły dzień.

- Mhm - potwierdził, kołysząc się na podszewkach swoich fantastycznych nowych kapci. Oparł jedną rękę na biodrze, a drugą włożył do głębokiej kieszeni ulubionych spodenek. - Pani Patri dała nam dzisiaj dodatkowy czas wolny i dostałem piątkę z dyktanda.

- Super! - powiedziała i jeszcze raz go uściśnęła. - Jestem z ciebie dumna! A jak dziś poszło z arytmetyką? - Zapytała ostrożnie, wiedząc, że Justin nie był entuzjastycznie nastawiony do tego przedmiotu.

Justin skrzywił się, spoglądając jej przez ramię, aż jego spojrzenie wylądowało na Jace'ie. Dodawanie i odejmowanie natychmiast poszło w zapomnienie. Teatralnym szeptem zapytał:

- Kto to jest ten pan przy naszym samochodzie?

Rebeka przypomniała sobie o obecności Jace'a. Radość z powodu obecności Justina zamieniła się w przytłaczający ciężar na piersi.

Justin spojrzał na nią srogo, żeby dać jej reprimendę.

- Nigdy nie bierz obcych na przejażdżki samochodem, mamo.

- E...hm... pan Cooper nie jest obcym, kochanie. - Wstała z kolan i niechętnie wzięła Justina za rękę, żeby dokonać zapoznania, które musiało wypaść niezgrabnie. Zatrzymawszy się kilka kroków od samochodu, powiedziała:

- Pan Cooper jest starym - słowo "przyjacielem" uwięzło jej w gardle. Przyjaciele nie odchodzą tak, jak Jace - znajomym.

Justin przechylił głowę, spoglądając w górę na Jace'a.

- Niejesteś taki stary - powiedział szczerze. - Dziadzio jest stary. Ty jesteś taki - jak mama.

- Dzięki. - Rebeka nie była zachwycona.

- Dzięki - wymamrotał Jace wciąż zaskoczony istnieniem żywego dowodu na macierzyństwo Rebeki. Wyciągnął rękę - Jace Cooper.

Zadowolony, że traktują go jak dorosłego, Justin uśmiechnął się i przyjął ofertę.

- Jestem Justin. Mam sześć lat.

Chłopiec miał czarne włosy i kwadratową twarz Rebeki. Miał figlarny uśmiech. Drobne rdzawe piegi pokrywały jego policzki i bezczelny mały nosek. A jego oczy były głęboka, bezdennie niebieskie.

Rebeka prawie słyszała, jak pracowały szare komórki Jace'a. Nietrudno było zgadnąć, że robił porównania i kilka prostych rachunków. Jego nieprzytomne spojrzenie spoczęło na Rebecce.

- Justin - powiedziała, obracając syna i kierując go w stronę domu - czy mógłbyś powiedzieć dziadkowi, że trochę się spóźnię na kolację? Muszę odwiedzić pana Coopera do domku pani Marquardt.

- Czy mogę jechać z tobą? - automatycznie zapytał Justin. Był zawsze gotowy na przygodę.

- Nie, robaczku. Idź już. Za chwilę będę z powrotem.

Obrażony, obrócił się na pięcie i wbiegł po schodkach do domu.

- Beko?

Ogarnęło ją wzruszenie. Bez odwracania się mogła wyobrazić sobie spojrzenie Jace'a. Nie potrzebował mówić więcej niż jej imię. Wiedziała jakie pytania go nurtują.

- Rebeka?

Nosząc swą dumę jak płaszcz, obejrzała się i spojrzała mu prosto w oczy.

- On nie jest twoim synem.

3

- Co to znaczy, to nie mój interes? - Jace zapytał oburzo-
ny.

- Bierz to dosłownie. - Rebeka skrzyła i dodała silnikowi znacznie więcej obrotów, niż było to konieczne, by honda pokonała niewielkie wzniesienie. Im szybciej wysadzi Jace'a, tym szybciej skończy się ta rozmowa. Dostała już wszystko, co była w stanie znieść w ciągu jednego dnia. Nie zamierzała zaczynać dyskusji na temat Justina.

- Jeśli dałem życie dziecku, mam prawo o tym wiedzieć.

- Powiedziałam ci, że nie jesteś ojcem Justina.

Cierpliwość Jace'a była na wykończeniu. Bębniąc palcami po oparciu fotela ostatkiem zdrowego rozsądku powstrzymał się, by siłą nie wydobyć z niej prawdy. - Kto więc nim jest i gdzie się, do diabła, podziewa?

- To nie twój interes.

Rebeka skrzyła na podjazd, który prowadził do wikto-
riańskiego monstrum w głębi ogrodu pokrytego obłazącą
brązową farbą. Miejsce nosiło ślady wyraźnego zaniedbania.
Trawnik był wprawdzie przystrzyżony, ale po kwietnikach
zostały tylko brązowe plamy brudu pokryte wysuszonymi
szkieletami kwiatów.

Na widok zbliżającego się samochodu koty rozbiegły się
we wszystkich kierunkach.

Jace ledwo spojrział na swój nowy dom. Całą jego uwagę
pochłaniała kobieta siedząca obok. Widział te zaciśnięte
usta, dumnie uniesioną głowę.

Dziki konie nie wydarłyby z niej słowa, ale on chciał
spróbować.

- Cholera, Rebeko, posłuchaj mnie...

- Nie. To ty posłuchaj. - Obróciła się na siedzeniu i sztur-
chnęła go swoim wysmukłym palcem. - Nie możesz wypyty-

wać się o moje prywatne życie, bo to ciebie nie dotyczy. Pozbawiłeś się swoich praw siedem lat temu, Jace.

Wysiadła z samochodu i otworzyła tylne drzwi, żeby wyciągnąć torbę Jace'a. Nie była najlżejsza, tak jak pacjenci, których codziennie przenosiła. Zawiesiła ją sobie na ramię i zdążyła jeszcze zatrzasnąć drzwi, zanim dużemu, czarnemu kotu udało się wśliznąć do środka samochodu.

Jace wyczołgiwał się z samochodu, uważając na pulsujące gorączką kolano i Rebekę. Sam nie wiedział czego bardziej obawiał się usłyszeć - że siedem lat temu zostawił kobietę oczekującą narodzin jego syna, czy że Rebeka urodziła dziecko innemu mężczyźnie.

Nie odzywając się słowem, Rebeka poszła wijącym się chodnikiem w kierunku ganku ogromnej willi. Pośpieszył za nią, opędzając się od dwóch rudych kociąt, które uznały pękanie się między kulami za świetną zabawę.

- Wiem, że nie jesteś zamężna i nie sędzę, abyś była rozwódka - powiedział, zrównując się z nią. - O co więc chodzi? Albo Justin jest moim synem, a ty usiłujesz mnie okłamać, albo pojawił się ktoś inny i postanowiłaś się na mnie odegrać.

Rebeka zatrzymała się przed schodami i spojrzała na Jace, poprawiając pasek od torby na ramieniu.

- Redakcja "AU My Children" powinna była cię wykorzystać podczas strajku pisarzy.

- Co się stało, Beko? - spytał, pokonując schody z kociąkiem uczepionym do kuli. - Zaszłaś wciążyć. Co ten drań zrobił, zostawił cię?

Nacisnęła dzwonek. Jej słowa były ciche, ale ostre, jak wymierzony w gniewie policzek.

- Tobie przyszło to łatwo.

Jak smagnięcie biczem poczuł wstyd i pogardę dla samego siebie. Miała rację, ale chciał, żeby uwierzyła, że zachowałby się inaczej gdyby wiedział.

- Rebeko, jeśli spodziewałaś się dziecka, gdybyś tylko mi powiedziała...

- Co? - spytała śmiejąc się i pragnąc zobaczyć go zwijającego się z bólu. - Może przesłałbyś mi swój adres kontaktowy? Albo dostałabym karnet na występy "Chicago Kings"?

Drzwi otwały się szeroko i Muriel Marquardt wyjrzała, mrużąc wesołe piwne oczy za parą okularów wysadzanych kryształkami góralskimi. Nie miała więcej niż metr pięćdziesiąt wzrostu, ale posturę godną żołnierza piechoty. Z ufarbowanymi na błękitno włosami i perkalowym fartuszkim była absolutnie typową amerykańską babcia.

- Oo, Rebeka, jak miło cię widzieć! - krzyknęła lekko piszczącym głosem. Zgarnęła szarego kota ze stołu w holu i przytulając miękkie futerko jak niemowlę, odruchowo drapała go po białym brzuszku.

- Muriel, to twój nowy lokator.

- Zator? No tak. To straszna rzecz. Pewnie utknęłaś w środku miasta?

Rebeka potrząsnęła głową.

- Nie. Przyprowadziłam człowieka, który wynajmuje u ciebie pokój.

- Nazywam się Jace Cooper, proszę pani - krzyknął Jace i wyciągnął rękę.

Kot wysunął się z ramion starszej pani i łapką uderzył Jace'a po dłoni.

- Pan Cooper! - twarz Muriel jeszcze bardziej się rozjaśniła. Karcąco przycisnęła kota do obfitego łona. - Niech pan nie zwraca uwagi na Chestera. Justin i jego mali przyjaciele usiłowali nauczyć go grać w łapki. Wchodźcie, wchodźcie.

Zagarnęła ich do środka i ruszyła szerokim holem w głąb domu. Trio kotów zeskoczyło z rozpadającej się donicy z palną i podążyło za nią. Na widok obcych, dwa z nich wolały jednak chwilowo ukryć się pod stołem.

Dom robił równie imponujące wrażenie na zewnątrz, jak i wewnątrz. Zaledwie nikła smużka światła zachodzącego słońca przeszerała przez brokatowe kotary. Na ścianach dominowało ciemne, ornamentowane drewno, dodając jeszcze bardziej ponurego wyglądu. Meble wyglądały tak solidnie,

że prawdopodobnie trwałyby nieuszkodzone, nawet gdyby przeszło po nich stado słońi.

- Tak naprawdę nie zamierzałam wynajmować pokoi, na razie po prostu postanowiłam spróbować. Ten dom jest taki pusty odkąd umarł mój mąż.

- To było jakiś rok temu - wyjaśniła Rebeka, podczas gdy mijali ogromne, pokryte kurzem organy elektryczne. - Od tamtego czasu praktycznie zamknęła się w tym domu.

- Przez cały ten czas nie otwierając okien - wyszeptał Jace, krzywiąc się.

Zapach unoszący się w powietrzu był unikalną miksturą kurzu, zaduchu, starych mebli i kotów.

- Prawdę mówiąc, jestem zdziwiona, że ktokolwiek zdołał namówić ją na wzięcie kogoś do tego domu. Kto...

- Jaka ona jest - przerwał Jace, gdy dochodzili do pokoju z tyłu domu.

- O, kochana, troszkę roztargniona i ma lekkie kłopoty ze słuchem.

- Bez żartów - odpowiedział sucho. - Czy ona lubi koty?

- To tutaj, panie Cooper - powiedziała Muriel, stając przy wejściu. Gdy wyciągnęła zapraszającym gestem rękę, Chester wydostając się z jej objęć, zeskoczył na podłogę. - Pomyślałam sobie, że może pan równie dobrze zajmować dwa pokoje, aja i tak mam wystarczająco dużo miejsca do krzątania się. Łazienka jest na dole zaraz przy schodach, a tamte drzwi to tylne wyjście.

Rebeka przeszła przez mały pokoiik do sypialni i rzuciła torbę Jace'a na ogromne łóżko z mahoniowymi ramami. Stanowczo nie w stylu Jace'a, stwierdziła spoglądając wokoło na ciężkie, zielone kotary i abażury z frędzelkami. Miejsce przypominało salon pogrzebowy z filmów Vincent'a Price'a.

W pokoju, obok sypialni, Chester zajął miejsce na burgundzkiej zapadającej się sofie i rozciągnąwszy się na brzuchu spoglądał na Jace'a swoimi nieruchomymi, zielonymi

oczami. Jace cofnął się do okna i usiłując je podnieść, zwrócił się do Muriel:

- To mi odpowiada, pani Marquard, dziękuję bardzo.

- Nie pali pan, prawda, panie Cooper? Nie znoszę, gdy ktoś pali. Tak okropnie po tym pachnie.

- Nie, nie palę - odwracając się uderzył chorą nogą w niski stół i syknął z bólu.

Rebeka spojrzała na niego wzrokiem nie znoszącym sprzeciwu i wskazała palcem sypialnię.

- Do łóżka, w tej chwili!

Jace uśmiechnął się i mrugnął do pani Marquardt.

- Oto oferta, której nie mogę odrzucić.

Oczy Muriel zaokrągliły się ze zgorzenia.

- Rebeka! Jak wy, młode kobiety, się dzisiaj zachowujecie? Nie życzę sobie żadnego świętuszka w tym domu.

- Jace jest moim pacjentem - wyjaśniła Rebeka.

Błękitne loki opadły na czoło, gdy Muriel przecząco pokręciła głową.

- Żadnych zabaw w doktora w tym domu.

- Muriel, nie rozumiesz mnie. Jace jest dopiero co po operacji kolana. Powinien leżeć.

- Acha - jej oczy zajaśniały zrozumieniem. - To znaczy, że niejesteście ze sobą.

Rebeka zabiła spojrzeniem Jace'a, który właśnie rozłożył się na pokrywającej łóżko kapie i zapraszająco uklepywał miejsce obok siebie. Do Muriel powiedziała:

- Możesz być o to spokojna.

Pomogła Jace'owi podłożyć poduszkę pod chore kolano i delikatnie rozluźniła paski przytrzymujące opatrunek.

- Muriel, czy masz trochę lodu?

- Chłodu? W tym domu? Tu jest raczej duszno. Nie, nie czuję żadnego chłodu.

- Nie, nie. L-O-D-U. Na nogę pana Coopera.

- Aa! Dlaczego od razu tak nie mówisz? - Muriel wybiegła z pokoju z ehesterem drepczącym przy jej nogach.

- Kiedy rzuciłeś palenie? - spytała Rebeka. Tamtego lata, gdy byli razem, bezskutecznie błagała go by porzucił ten nałóg, lecz Jace był przekonany, że jemu palenie nie może zaszkodzić.

- To jest część mojego nowego "ja".

- Jak dotąd twoje nowe "ja" nie podoba mi się bardziej niż stare.

- Przyjdzie na to czas. Zobaczysz.

Starła się uniknąć jego wzroku. Całe niedawne napięcie zdawało się owocować powracającym bólem głowy. Ostatnią rzeczą, której pragnęła w tej chwili, były kolejne zapowiedzi uwiedzenia jej, czynione przez Jace'a.

- To nie jest obietnica, to jest groźba.

- Możesz to nazywać jak chcesz, tak czy inaczej mam zamiar ją zrealizować.

Nie odpowiedziała, całkowicie koncentrując się na kolanie.

- Piętnaście minut z lodem, potem możesz założyć kompres - powiedziała, uważnie obserwując świeżo zabliźnioną ranę. - Stanowczo nie podoba mi się ta opuchlizna. Jeśli przynajmniej częściowo nie zniknie do jutra, być może trzeba będzie poprosić doktora Cornisha, żeby zrobił ci punkcję.

Na myśl o jeszcze jednym kluciu umęczonej nogi, krew odpłynęła mu z twarzy, która kolorem zaczęła przypominać srebrzyste koniuszki jego włosów.

- Rebeka, nie wyzywaj się na mnie. Nie kazałabyś im chyba tego zrobić, prawda?

Spojrzała na niego twardo.

- Bez względu na to jak bardzo chciałabym sama nafaszerować ci igłami, nigdy nie poleciałabym tego doktorowi, jeśli nie byłoby to absolutnie konieczne. Przykro mi, że jesteś skłonny myśleć, iż wykorzystywałam swoją pozycję, by zemścić się na tobie za nasz związek.

- Przynajmniej przyznałaś, że jest między nami jakiś związek.

- Muszę już iść - powiedziała, odsuwając się na brzeg łóżka. - Tato i Justin czekają na mnie z kolacją.

- Boko - Jace pochylił się i złapał ją za rękę zanim zdążyła uciec. Poczowała pulsujące tętno w opuszkach palców. - Doceńm twoją pracę. Nie chciałem sugerować, że nie jesteś dobra w tym co robisz, bo to nieprawda. Chodzi po prostu o to, że cholernie boję się igieł.

Mówiąc to, wstrząsnął się. Podczas pobytu w szpitalu przeszerowano go, przy najróżniejszych okazjach, taką liczbą ukłuć, że prawdopodobnie mógłby służyć jako poduszeczka dla szwaczek.

- Nie bądź na mnie wściekła - powiedział cicho.

Jego słowa były jak kojący balsam na jej skołatane serce, ale Rebeka nie poddawała się uczuciu.

- Nie jestem na ciebie wściekła - wymruczała. Chciała uciec od ciepłego jego ręki. Jego spojrzenie było tak rozbijające, że mogłoby obezwładnić najbardziej nieprzejednaną naturę. Męczyło ją, że musiała stale przypominać sobie, że nie można mu ufać. - Już ci powiedziałam, że w ogóle nic do ciebie nie czuję.

Jace mocniej ścisnął jej rękę.

- A ja powiedziałem ci, że ci nie wierzę.

- Co chcesz, żebyśmy zrobiła, byś uwierzył i zostawił mnie wreszcie w spokoju? - spytała, mając nadzieję, że istnieje jakiś nieskomplikowany test, któremu mogłaby się poddać. Zupełnie jednak nie była przygotowana na test, który jej zaoferował.

- Pocałuj mnie. - W tych słowach brzmiało wyzwanie, a gdzieś w głębi skupiało się w nich pragnienie. I przeszłość, która pragnienie to materializowała.

Spojrzenie Rebeki automatycznie spoczęło na jego ustach. Serce zabiło jej mocniej, gdy Jace przyciągnął ją do siebie.

- Pocałuj mnie, a potem powiedz, że nic do mnie nie czujesz, Boko.

Jaki miała wybór? Gdyby uciekła, miałby powód by prześladować ją dalej.

Jeśli go pocałuje... przełknęła ciężko.

Ignorując narastający w niej niepokój, Rebeka opadła na łóżko.

Gdy nachyliła się nad nim, ich biodra musnęły się. Jace wplątał rękę w jej mahoniowoczarne włosy i zbliżył się do jej ust.

Pierwszy ich dotyk i Rebeka była stracona. Emocje pochłonęły ją całą.

Nowe uczucia i wspomnienia owinęły się wokół niej, jak jedwabne wstążki, odrzucając zimne postanowienia i uświadamiając głębszą prawdę - żaden mężczyzna nie dał jej nigdy tego, co czuła będąc z Jace'm. Jego usta były jak płynny żar na jej ustach. Pieściły, kusiły, błagały. I Rebeka odpowiedziała. Pożądanie sprzeniewierzyło się umysłowi, musiało nadejść, tak jak dym zawsze prześliznie się między kratami więziennej celi. Nie potrafiła go powstrzymać. Nie potrafiła cofnąć trzęsących się dłoni, które uniosły się i dotknęły jego szorstkich męskich policzków, nie zdołała zdusić w sobie cichego jęku, który wydobył się z głębi jej serca.

Jace objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie tak, że prawie położyła się na jego biodrach. Jej napęczniałe piersi dotknęły jego torsu, a biodra otarły się o jego męskość. Ich ciała przywitały się, jak gdyby czas rozstania zrodził w nich tylko większy głód. Rebeka poczuła nagle, że jej ciało było muszlą wypełnioną bólem potrzeby, potrzeby, którą tylko Jace mógł zaspokoić.

Łzy napłynęły jej do oczu i rozpacz oddaliła wszystkie inne uczucia. Jak mogła wciąż jeszcze go pragnąć? Po tym, jak ją zranił, jak ją zostawił, jak mogła jeszcze czuć tę potrzebę? Po wszystkich przepłakanych nocach, jak jej serce mogło tak bardzo zdradzić.

W jednej chwili Rebeka oderwała się od Jace'a i zsunęła się z łóżka.

Serce Jace'a łomotało w piersi. Pożądanie wstrząsnęło całym jego ciałem. Pożądanie i zaskoczenie. Intensywność tego pocałunku, jego rozpaczliwa siła zbiła go z tropu. Chciał ją pocałować od chwili, kiedy zobaczył ją rano. Tak naprawdę wyobrażał sobie ten moment, będąc jeszcze w szpitalu w Chicago. Odnowienie ich związku wydawało mu się ważne, ale do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo.

Był w niej zakochany.

Świadomość, że odchodziła właśnie w momencie, gdy dokonał tego monumentalnego odkrycia, nie otrzeźwiła go całkiem. Chciał wstać i dogonić ją, ale ból w kolanie skutecznie mu w tym przeszkodził.

- Beko? - zawołał, zdając sobie sprawę, że tym razem nie wróci.

Nie potrafił jej zatrzymać, a równocześnie uświadamiał sobie, że nie miał też do tego prawa. Kiedyś już ją zranił i nie miał argumentów, by zaprzeczyć, że szanse na kolejny zawód były dziś takie same. Beka musiała to czuć.

Ten pocałunek był prawdopodobnie błędem, ale Jace nie żałował, że tak się stało. Wstrząsnęło to obojgiem bardzo mocno i uświadomiło im fakt, że to, co było między nimi niegdyś, nie umarło.

Wcześniej czy później Rebeka będzie musiała to przyznać.

Im wcześniej, tym lepiej, pomyślał, czując, jak pod wpływem powracającej frustracji, opuszcza go miłosne uniesienie.

- Muszę iść - wyszeptała nie ufając swojemu głosowi, nie ufając sobie na tyle, żeby odwrócić się i spojrzeć na niego.

Pani Marquardt minęła ją w przejściu.

- Do zobaczenia Rebeko. Pozdrów ode mnie swojego tatę. - Ściskając wielką, czerwoną torbę z lodem, podreptała do Jace'a. - Dokładnie jak kazała pani doktor - rzekła, pochylając się nad nim.

Rebeka nie oblała jeszcze w swoim życiu żadnego testu.

- No więc z tego możesz postawić sobie wielką, czerwoną dwójkę - wymruczała pod nosem, wypłaszając spod samochodu grubego pasiastego kota.

Gdy wsiadła do samochodu, poczuła że trzęsącej się ręce. Żeby się uspokoić, głębiej usiadła na siedzeniu i wzięła głęboki oddech. Miała głowę wypełnioną subtelnym zapachem Jace'a - ciepłym i męskim. Smak jego ust ciągle jeszcze pozostawał najej ustach. Nie był niechciany, jak brutalnie dało do zrozumienia jej własne ciało - był źle widziany.

Włączyła silnik. Przestraszone koty uciekły na pachnący ziołami ganek Muriel Marquardt.

Do cholery, nie chciała Jace'a Coopera z powrotem! Być może jej hormony przez krótki, dziki moment wszczęły przeciwko niej rebelię, ale ona z całą pewnością nie chciała Jace'a Coopera. Miała coś w rodzaju cichego, uporządkowanego życia, jakiego pragnie każdy normalny człowiek; nie potrzebowała, by ludzkie tornado, jakim był Jace, przewaliło się z hukiem przez to życie, niszcząc je. Znała z doświadczenia spustoszenie, jakie pozostawił po sobie, opuszczając miasteczko.

Opuśćcie przecież i tym razem. Zrobi to, dokładnie tak jak jej oświadczył, gdy tylko w "Chicago Kings" uświadomią sobie, jak bardzo jest im potrzebny.

Tylko, że tym razem nie zabierze ze sobą jej serca. Tego chciała być pewna.

Nie mogła jednak całkiem wymazać z pamięci tego spojrzenia pełnego uczciwości, gdy mówił jej dzisiaj, że się zmienił, że nie jest już tym samym mężczyzną, który zranił ją siedem lat temu. Nie mogła wymazać go z pamięci, ale nie potrafiła też mu uwierzyć.

Jace miał ciężki wypadek, który go przeraził. To naturalne, że po takim przeżyciu ludzie czynią obietnice, które mają zmienić ich dotychczasowy styl życia. Ale to jeszcze nie znaczy, że tych obietnic dotrzymują. Rebeka była pewna, że sprawa z Jace'm jest z góry przegrana.

W pewnym sensie zazdrościła mu. Jace zawsze zachowywał się brawurowo, z małym poszanowaniem dla ogólnie przyjętych reguł towarzyskich. On po prostu był ponad nimi. Bogactwo talentu pozwoliło mu być takim wyjątkiem, podczas gdy ją uczyniło więźniem konwenansów.

To ona była tą porządną, "dobrą" córeczką Bradshawów. Konieczność przyjęcia odpowiedzialności, życia zgodnie z oczekiwaniami innych, była z nią tak długo, jak tylko mogła sięgnąć pamięcią. I ona zawsze się podporządkowywała. Jace Cooper nie znał znaczenia tego słowa.

On się nie zmienił, pomyślała marszcząc brwi.

Ten sam stary Jace.

Ale Rebeka wiedziała, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie były wady dawnego Jace'a. Nie byłoby niczym trudnym gardzenie mężczyzną, który hulał, tracił życie na hazardzie i wykorzystywał przyjaciół. Prawdziwym niebezpieczeństwem była pamięć o tych jego cechach, które sprawiły, że zakochała się w nim.

Jace potrafił być słodki i prawdziwie opiekuńczy, jeśli tak mu było wygodnie. Potrafił być współczującym powiernikiem. Potrafił czytać w sercu. Umiał być czuły. Rozumiał ją, jak nikt inny, kiedykolwiek.

Rebeka westchnęła ciężko. Zaparkowała samochód w garażu i zgasiła silnik. Nie miała w sobie nawet odrobiny energii. Jedyne, co pchało ją aż do tej chwili, to napięcie, ale teraz i ono ją opuściło. Ramiona jej opadły. Poddała się pokusie bezwładnego oparcia głowy o kierownicę.

Jak następnego ranka stanie twarzą w twarz przed Jace'm?

Jak drapieżnik wyczuwający słabość swojej ofiary, tak Jace na pewno wykorzysta jej dzisiejszą porażkę w jego pokoju.

Zaraz na początku będzie musiała ustalić reguły gry. Jace musi zdać sobie sprawę, że ona jest szefem oddziału fizykoterapii i swego serca.

Nie wdaje się w głupie pogaduszki i nie umawia na randki z pacjentami, oto jakie są jej zasady.

Tak, jak gdyby zasady kiedykolwiek powstrzymywały Jacca'a.

Wyciągnęła swój płaszcz, torebkę i zmęczonym krokiem podeszła do tylnych drzwi. Gdy nacisnęła klamkę, okazało się, że są zamknięte. Z tabliczki kontrolnej przy drzwiach zaczęło migać żółte światło.

Za chwilę usłyszała swój własny głos.

- Bardzo mi przykro. Nie możesz wejść do środka. To wejście posiada system zabezpieczający. Po usłyszeniu sygnału masz sześćdziesiąt sekund, by użyć klucza, potem włączy się alarm.

Gdy sygnał zabrzmiał, Rebeka upuściła klucze i, schylając się po nie, wysypała na schody całą zawartość torebki. Drobne monety, szminki, tampony potoczyły się w różnych kierunkach.

- Pięćdziesiąt sekund - powiedziało pudełko miłym głosem.

Rebeka uklękła i przekopała stosik w poszukiwaniu klucza. Wyciągnęła go i wcisnęła w zamek, ale drzwi pozostały zamknięte.

- Czterdzieści sekund.

- Zamknijże się! - potrząsnęła klamką i uderzyła w klucz pięścią - wszystko bez rezultatu.

- Trzydzieści sekund.

Myśląc o złych stronach życia z emerytowanym profesorem informatyki i zapalonym wynalazcą w jednej osobie, szybko pozbierała swoje rzeczy i obeszyła dom, podchodząc do okna jadalni. Stół był nakryty do posiłku. Hugh Bradshaw zajmował zwykle sobie miejsce. Rebeka rzuciła okiem na nagłówek artykułu, który czytał: "SUPER COOPER ODESŁANY DO MAVERICKS".

- Tato! - krzyknęła.

Hugh podniósł wzrok znad gazety i rozejrzał się.

- Dziecko, co ty robisz tam na zewnątrz?

- Drzwi nie chcą się otworzyć. To przez ten zwariowny alarm.

Potrząsnęła głową.

- Nie możesz winić mojego systemu alarmowego za to, że nie potrafisz go obsługiwać.

- Nie muszę posiadać talentów technicznych, żeby dostać się do własnego domu - zauważyła poirytowana. - Czym mógłbyś mnie wpuścić zanim to coś wywoła umarłych z grobu, po tych sześćdziesięciu sekundach?

- Alarm był wyłączony - powiedział Hugh, otwierając po chwili na oścież drzwi frontowe. - Sprawdziłem tylko mechanizm liczący. - Wyciągnął klucz z zamka i podniósł go przed oczy Rebeki. - Dlaczego nie posłużyłaś się tym?

- Ponieważ to nic nie dawało. - Uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Wyraz jego twarzy wyraźnie wskazywał na to, jak bardzo ubolewa nad kompletnym ignorancją swojej córki.

Rebeka przeszła obok niego i wysypała na stół kuchenny zebraną ze schodów zawartość swojej torebki.

- Słyszałem, że Jace Cooper jest znowu w miasteczku - powiedział Hugh cichym, rzeczowym głosem.

- Tak. Czy mamy jakąś super-silną aspirynę?

Ojciec podrapał się jedną ręką w tył głowy, drugą oparł na pasku dżinsów i obserwował jej desperackie przeszukiwania domowej apteczki. Był schludnym, wysmukłym mężczyzną, pięć centymetrów niższym od swojej starszej córki. Czas nie zmniejszył jego zdolności do odczytywania jej nastrojów.

- Rozumiem, że nie jesteś tym zachwycona.

- Delikatnie to wyraziłeś. Nie jestem zachwycona, widząc go w Mishawa. Nie jestem zachwycona, że mam go za pacjenta na moim oddziale. I jestem w największym stopniu niezadowolona, że mieszka przy końcu mojej alejki. - Popiła aspirynę dużym haustem wody. Jej grube czarne brwi skupiły się nad czołem, wyrażając zdziwienie. - Nie sądzisz, że to trochę dziwne, że Muriel wynajęła mu pokój? Nigdy nie wyrażała takich chęci.

Hugh mruknął coś niezrozumiałego i pochylił się, by wyciągnąć brytfankę z piekarnika. Gdy się podniósł, szczupłe policzki tryskały czerwienią pod wpływem ciepła, a jego błękitne oczy nieco przesłaniała para znad "Strogonowa".

Ze stojącego na blacie zestawu wyciągnął łyżkę z długą rączką i zanurzył w aromatycznej masie klusek i mięsa.

- Któż może jeszcze wiedzieć, co myśli Muriel, odkąd zamknęła się w tym swoim mauzoleum pełnym kotów. Ona potrzebuje kogoś kto sprawi, że jej krew znowu zacznie krążyć. Może Jace będzie do tego dobry.

- Myślę, że najwyższy czas, żeby był dla kogoś dobry - odpowiedziała sucho Rebeka.

- Ale nie dla ciebie?

Potrząsnęła głową.

- Już nie, tatku. Nie tym razem. Nie był dla mnie dobry przedtem.

- Nie całkiem tak to pamiętam. O ile sobie przypominam, byłaś w nim zakochana.

- Byłam - czas przeszły. Dostałam nauczkę.

- Może zbyt się nią przejęłaś - zamruczał pod obfitymi wąsami, niosąc kolację na stół.

Rebeka spojrzała na tył jego białej głowy, gdy pochyłał się nad stołem. I co on chciał przez to powiedzieć? Przez chwilę wydawało się jej, że wcale nie chce się tego dowiedzieć, nie w tym momencie przynajmniej. Wszystko, czego teraz chciała, to kolacja, gorący prysznic i wcześnie do łóżka.

Obraz jej i Jace'a rozciągniętych na materacu mahoniowego olbrzymia przemknął jej przed oczami. Jej miękkie usta skrzywiły się na to wspomnienie.

Justin krygował się przez jakiś czas, w końcu wyrzucił z siebie prośbę o psa. Rebeka rzuciła mu karcące spojrzenie i zebrała z półmiska resztkę stygnących pyszności.

Nietrudno było toczyć lekką rozmowę podczas kolacji z daleka od Jace'a. Towarzyski, zawsze pełen humoru Justin, miał zwykle w zanadrzu sporą ilość historyjek do zrelacjonowania pod koniec dnia.

Ojciec Rebeki nie angażował się zbyt w rozmowę, aż do chwili, gdy córka spytała go o ostatnią rewelację techniczną. Odkąd, po przejściu na emeryturę, przestał nauczać, spędzał większość czasu w piwnicy, pracując nad skomputeryzowanymi systemami bezpieczeństwa i drobnymi wynalazkami przydatnymi w gospodarstwie domowym.

Jego zainteresowanie wynalazczością ujawniło się przed laty, gdy nieuleczalna choroba zaczęła podkopywać fizyczną sprawność matki Rebeki. Pojawiał się wtedy co chwila ze śmiesznymi mechanicznymi maskotkami, by uczynić łatwiejszym życie Gabrieli, lub choćby tylko, by wywołać uśmiech na jej ślicznej twarzy. Teraz zajmował się swoimi wynalazkami dla rozrywki i po to, by utrzymywać w aktywności swój wysoce wyspecjalizowany umysł.

Najnowszym projektem był robot. Programowanie szło dobrze, poinformowała ją, ale trzeba było jeszcze opracować drobiazgi dotyczące konstrukcji.

- Jace był zawsze dobry w rękach - zauważył Hugh. - W technicznym tego słowa znaczeniu, oczywiście. Być może zadzwonię do niego po poradę, ponieważ będzie miał teraz dużo wolnego czasu.

Rebeka rzuciła mu spojrzenie, w sposób oczywisty dając do zrozumienia, jego zdradziecką postawę.

- Postępujesz zbyt twardo z tym chłopcem.

- Jak słusznie zauważyłeś, jest on tylko chłopcem, co znaczy, że musiesz jeszcze dorosnąć.

Ojciec oparł łokcie o stół i nieruchomo utkwiał w niej wzrok, który przez lata przyspilał do siedzenia niejednego studenta Notre Dame.

- Jesteś na ogół za twarda wobec ludzi, córko, włączając w to siebie samą. To, co stało się z tobą i Jace'm, było dawno temu. Oboje byliście trochę więcej niż dziećmi. Nie sądzisz, że czas już przebaczyć i zapomnieć?

Ciężko pracowała na to, by zapomnieć. Aż do dzisiejszego dnia powiedziałyby, że jej się to udało. Okazało się jed-

nak, że nie pozwoliła odejść wspomnieniom, że tylko je uspiła.

Co do przebaczenia, to nigdy nie przychodziło jej to łatwo. Życie miało swoje reguły. Ludzie muszą ich przestrzegać. Zawsze wydawało jej się to proste. Jace złamał reguły. Kochała go całym sercem młodej dziewczyny. Przyjął ten dar, a potem ją zranił. Jak mogła mu wybaczyć? Dlaczego ktokolwiek tego od niej wymagał?

Te pytania prześladowały ją przez cały wieczór, wracały do niej podczas każdej czynności, aż w końcu nie mogła znieść tego dłużej.

Już w swojej bawełnianej koszuli nocnej, z okularami na nosie, ułożywszy się w łóżku, położyła przed sobą kartkę papieru i pióro. Zamaszystym pociągnięciem spisała następnie listę spraw, które przysparzały jej zmartwień, co w sumie sprowadziło się do dwóch słów: Jace Cooper. Sporządziła listę możliwych rozwiązań i wyeliminowała te, które niewystarczająco do niej przemawiały.

Wyłoniona w ten sposób koncepcja zdawała się być tą najbardziej sensowną: Pozostaw przeszłość za sobą i traktuj Jace'a Coopera tak, jak traktowałabyś każdego innego pacjenta lub znajomego. Nie chcesz się angażować, więc nie angażuj się.

Pogratulowała sobie. To było proste i logiczne. To był inteligentny sposób radzenia sobie z sytuacją. Ułożywszy okulary na nocnym stoliku, zgasiła światło i lepiej otuliła się kołdrą.

Przez ozdobione koronkowymi firankami okno widziała fragment alejki prowadzącej do tylnego wejścia domu Muriel Marquardt. Pojedyncze światło paliło się w oknie pokoju na dole.

W ciemnościach, straciwszy z oczu logiczne rozwiązanie z kartki leżącej na nocnym stoliku, Rebeka nie mogła oprzeć się rozmyślaniom, co też wciąż jeszcze robi Jace. Czy bolała go noga? Czy czuł się samotny? Czy myślał o niej?

Podciągnęła kołdrę pod samą szyję, potrząsnęła głową i pomyślała o Misiu Yogi, który pewnego razu, w stanie głębokiej koncentracji, powiedział: "Dopóki się nie skończy, nie jest skończone".

4.

Świt przyszedł jako ukoronowanie długiej, bezsennej nocy. Rebeka wyczołgała się z łóżka i zaczęła rutynowe poranne czynności. Szybko stało się oczywiste, że rozpoczął się jeden z tych dni, gdy żaden ciuch nie leżał dobrze, nic do niczego nie pasowało, a włosy nie dawały się ułożyć. Zrezygnowana włożyła w końcu prostą czarną sukienkę i spięła włosy w koński ogon.

Skrzywiła się, zobaczywszy swe odbicie w lustrze nad toaletką. Była blada i miała okropne worki pod oczami. Szminka tylko podkreślała opadające kąciki ust. Była w czarnym nastroju.

- Wyglądasz, jakbyś szła na pogrzeb - powiedziała do siebie. - Jako gość honorowy.

Wzruszyła ramionami, a potem wstała i wyszła z pokoju. Wygląd pasował do nastroju. Po co go zmieniać?

- Kto umarł? - spytał cicho Hugh, gdy Rebeka weszła do kuchni, wyłączyła ekspres i nalała sobie kawy.

Rzuciła ojcu groźne spojrzenie.

- Może jajka? - zapytał niewinnie, wskazując drewnianą łyżką na patelnię stojącą w kuchni.

- Nie, dziękuję. Dziś tylko napiję się kawy.

Justin wkroczył do pokoju ze złowieszczą zmarszczką na zwykle pogodnym czole.

Stanął przed Rebeą, oparł rączki na biodrach i zaczął niecierpliwie bębnić o linoleum swoim małym bucikiem.

- Jak to jest, że ja muszę jeść jajka, a ty nie?

- Ponieważ ja jestem większa od ciebie - powiedziała Rebeka.

Usiedli we trójkę przy kuchennym stole, by zacząć jeden z milczących posiłków.

Nagle Justin przewrócił kubek z mlekiem, rozlewając je po swoim ubranku i podłodze.

- Och, Justin! - krzyknęła Rebeka, zrywając się z krzesła po ręcznik. - Teraz będziesz musiał zmienić ubranie. Spóźnisz się do szkoły, aja spóźnię się do pracy.

Spojrzał na nią, gdy ścierała szmatką mleko rozlane na podłodze. Nagle odezwał się.

- Gdybyśmy mieli psa, mógłby to zlizać.

Rebeka pogroziła mu palcem.

- Nie zaczynaj teraz sprawy psa. Nie jestem w nastroju.

- Właśnie że jesteś - odparł, rozdrabniając tosta na swoim talerzu. - Jesteś w złym nastroju.

- Idź, zmień rzeczy - Rebeka wymawiała wyraźnie każde słowo.

Ześliznął się wolno z krzesła, kusząc los tak bardzo, jak tylko mały chłopiec potrafi.

- Mamo, mogę iść zobaczyć się z panem Cooperem dziś po szkole?

Rebeka poczuła uderzenie serca. Pragnęła widzieć Jace'a i Justina razem tak bardzo, jak chciała zarazić się malarią. Bez podnoszenia głowy dała odpowiedź tonem, który nie zachęcał do dyskusji.

-Nie.

Spojrzenie Justina, w sposób oczywisty, czyniło ją najnieświeższą matką pod słońcem, nawet w całym wszechświecie.

- Ale dziadzio powiedział, że on jest wielką gwiazdą baseballu, że jest sławny i w ogóle.

- To nie uprawnia cię do zwracania mu głowy.

- Przrzekam, nie będę mu przeszkadzał.

-Nie.

- Ale mamoo...

- Justin - urwała Rebeka - proszę w tej chwili iść się przebrać. Nie chcę już słyszeć ani jednego słowa o Jace'ie Cooperze.

- Hmm... - westchnął Hugh, potrząsając gazetą. Wąsy opadły mu niepokojąco, gdy obserwował swego wnuczka demonstracyjnie opuszczającego kuchnię.

- Nie zaczynaj tato. Nie zaczynaj ze mną - powiedziała Rebeka.

- Czyja coś mówiłem?

- Tak. Powiedziałeś "h m m" - oskarżyła. Opadła na krzesło i skrzyżowała ręce.

Hugh zrobił zdziwioną minę i grzecznie wrócił do swojej gazety.

- Wygląda na to, że nie można dziś z tobą rozmawiać, nie wyprowadzając cię z równowagi.

- Nie jestem wyprowadzona z równowagi - odpowiedziała obrażona.

- Po co więc naskakiwać na Justina tylko dlatego, że chce poznać gwiazdę sportu?

- Nie chcę, żeby widywał się z Jace'm.

- A to dlaczego?

Ponieważ, gdyby Justin zaczął widywać się z Jace'm, skończyłoby się nieuchronnie na tym, że ona zaczęłaby się z nim widywać. To był właśnie problem, który skutecznie nie dał jej zasnąć przez całą noc. Po tym, jak zareagowały jej zmysły na pocałunek, Rebeka nie mogła pozwolić sobie na przebywanie w bliskości Jace'a, gdziekolwiek poza gabinetem terapeutycznym.

- Ponieważ będzie miał na niego zły wpływ - odpowiedziała, zdawszy sobie sprawę, że ojciec czeka na odpowiedź.

- Acha - przeżuł z rozmysłem kęs jajeczniczy i popił łykiem soku pomarańczowego. - Boisz się, że Justin może zacząć robić nienormalne rzeczy, na przykład grać w baseball?

- Nie to mam na myśli i ty dobrze o tym wiesz.

- Córko, robisz z Jace'a prawie bandytę. O ile pamiętam, on bardzo dobrze radzi sobie z dziećmi. Zwykł być pomagać wprowadzeniu ligi młodzieżowej. Dzieciaki go kochały.

- Ty za to robisz z niego model doskonałego ojca.

- Hmm...

- Znowu zaczynasz z tym "hmmm" - powiedziała, poruszona raczej przez nagle wyobrażenie Jace'a jako ojca, niż przez komentarze własnego taty. - Wygląda na to, że masz bardzo wygodną pamięć, gdy chodzi o Jace'a. Pamiętasz tylko jego dobre cechy.

- A ty pamiętasz tylko złe - odrzekł Hugh i zagłębił się w dziale plotek towarzyskich.

- Bo one są nieśmiertelne - usprawiedliwiła się Rebeka, biorąc łyk wystygłej kawy.

Tak naprawdę, gotowa była dołożyć coś od siebie do listy wad Jace'a. Przez niego ma za sobą bezsenność, kłótnię z rodziną i zimną kawę na śniadanie. Jego pocałunek sprawił, że nie wie już kim jest, ani czego chce.

Wmieszał się w jej życie, kiedy wszystko wydawało się iść tak dobrze. Doprawdy, ten człowiek był katastrofą.

A w dodatku będzie czekał na nią tego ranka, uświadomiła sobie spoglądając na zegarek.

Co za cholerny dzień. I pomyśleć, że nie ma jeszcze ósmej.

Gdy Rebeka weszła do pokoju zabiegowego, Jace właśnie zabawiał towarzystwo. Siedział na stole otoczony wianuszkiem pacjentów, lekarzy i pielęgniarek.

Być może znudzono się już nim w Chicago, ale tutaj był wciąż w centrum zainteresowania.

- Wygląda na to, że mogłaby ci dobrze zrobić - powiedziała Dominika, wręczając Rebecę filiżankę kawy.

Rebeka przygnębionym wzrokiem rozejrzała się po pokoju. Tłumek wokół Jace'a właśnie wybuchnął głośnym śmiechem w odpowiedzi na coś, co powiedziała. Stanowczo powinno się zabronić komuś tak nieodpowiedzialnemu rozsiewać wokół siebie tyle czaru.

- Mogłabym utopić się w swojej kawie, ale i tak nie sądzę, że to by pomogło.

- Nie mogłaś zasnąć, martwiąc się, że zobaczysz go dzisiaj tutaj, czy nie?

- Nie mogłam zasnąć, wiedząc, że właśnie wprowadził się do domu sąsiadki.

Dominika przeciągnęła ręką po bordowej dzianej sukience, która wdzięcznie podkreślała jej niesamowitą figurę.

- Hmm...

Rebeka westchnęła.

- Błagam, tylko nie to, Dominiko.

- Co ja takiego powiedziałam?

Rebeka nie podjęła tematu. Tymczasem grupka otaczająca Jace'a znowu wybuchnęła śmiechem. Doktor Cornish wyglądał, jak gdyby miał za chwilę umrzeć z braku powietrza. Zgrabna, jasnowłosa pielęgniarka z ortopedii oparła się o Jace'a i chichocząc, klepała go poufale po ramieniu.

Dopiwszy kawę Rebeka zgmiotła styropianowy kubek i rzuciła go do kosza, po czym stanowczym krokiem przemierzyła pokój. Stała tuż przed grupką adoratorów i oparła ręce na biodrach.

- Fascynująca historia niepowodzeń Super Coopera będzie musiała zostać odłożona na jakiś czas. Teraz ja przynajmniej mam tu coś do zrobienia - powiedziała ostrym tonem.

Na dźwięk jej głosu tłumek rozstał się jak Morze Czerwone. Wystarczyło, że spojrzeli na wyraz jej twarzy, by zrozumieć, że nic tu po nich. Rebeka nie odwróciła się, żeby zobaczyć jak wychodzą. Mimo woli jej wzrok utkwiony był w Jace'a. Siedział na stole, z nogami luźno spuszczone i wpatrywał się w nią swymi ciemnoniebieskimi oczami. Gorąco rozlało się po niej jak ogień, na wspomnienie ich ostatniego spotkania.

- Witaj Beko - powiedział miękko. - Dobrze spałaś?

- Świetnie - skłamała.

Jace zamierzał wymówić jej to, ale w końcu zmienił zdanie. I tak wyglądała na wystarczająco zdenerwowaną.

- Ja nie - przyznał.

- Ze względu na kolano?

- Częściowo. Bardziej przeszkadzało mi sumienie - dodał uczciwie.

- Przykro mi, że zagrałem wczoraj tak bezpardonowo.

"Cholera - pomyślała Rebeka - on robi to znowu".

Całkowicie pozbawiał ją argumentów. Jace, jakiego pamiętała, nie tłumaczył się ze swoich czynów, nieważne jak bardzo były bezczelne. Miała zamiar ostro go zganić za dezorganizowanie pracy połowy oddziału. Teraz kilka mięk- kich słów odebrało wiatrzej żaglom.

No cóż, pomyślała, czując nagły przypływ melancholii, je- go głos dziwnie na nią działał. Kiedy mówił w ten ciepły po- ufały sposób, było tak, jak gdyby rozpinał w jej umyśle deli- katną pajęczynę, skutecznie pozbawiając ją możliwości logi- cznego myślenia.

Sparaliżowana, obserwowała regularne linie jego ust, klasyczny łuk górnej wargi i maleńką bliznę tuż nad nią. Za- skakujące było, jak ten drobny fragment jego ciała potrafił naruszyć jej równowagę. Choć trzeba przyznać, że był to fragment wyjątkowo wszechstronny i niebezpieczny. Potrafił usypiać ją słowami, parzyć pocałunkami.

- Przykro mi, że wytrąciłem cię z równowagi, ale nie żału- jem, że mogłem cię pocałować.

Rebeka o mało nie upadła na dźwięk jego głosu, ale ze- brała się w sobie i postąpiła krok do przodu.

- Przestań patrzeć na moje usta - powiedziała stłumionym głosem.

Jace zaśmiał się cicho.

- Patrzyłem na twoje usta? To zapewne dlatego, że przy- pomniało mi się, jak smakowały.

Rebeka uświadomiła sobie, że nie byli sami, że pokój pe- łen był wdzięcznych słuchaczy. Dominika obserwowała ich kątem oka, pracując z panią Krumhansle. Pani Krumhansle była jeszcze mniej dyskretna. Bob Wilkes siedział na pochyl- ni w drugim końcu pokoju i, leniwie podnosząc ciężarek,

wpatrywał się w nich bez żenady. Było niemal słychać, jak wysiła się, by usłyszeć choć jedno słowo z ich rozmowy.

Jace uśmiechnął się. To nie był uśmiech ze zdjęć w prasie. To nie był uśmiech obłudy. To był uśmiech, który pamiętał intymne spotkanie - leniwy, pewny, wiedzący. Gdy zaczął mówić, jego głos był miękki jak flanela.

- O czym myślałaś, gdy patrzyłaś na moje usta?

- Dosyć - ucięła Rebeka. Wyciągnęła rękę w stronę drzwi.

- Do mojego gabinetu. W tej chwili.

- O rany, kochanie - zażartował - nie możesz poczekać, aż przyjdziemy do domu?

Rzuciła mu kule i z furią ruszyła w stronę gabinetu, ledwo odpierając pokusę otworzenia drzwi kopniakiem.

Jace pospieszył za nią, wzdrygając się, nie tyle z powodu bólu w kolanie, co na myśl o awanturze, jaka z pewnością go czekała.

- Uważaj, Jace - powiedziała, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. - Nie zamierzam tolerować podkopywania mojego autorytetu na oddziale. Zgodziłam się prowadzić rehabilitację twojego kolana. Prosta przyzwoitość nakazuje, abyś szanował moją pozycję.

- Robię to.

- Czyżby? - spytała, nerwowo spacerując po pokoju.

- Tak - powiedział łagodnie, starając się nie wywołać kłótni. - Mam dla ciebie cały należny szacunek, zapewniam cię Beko. Nie sądzę, że trochę niewinnych żartów może podkopać twój autorytet. Czy nie jest tak, że inni pacjenci żartują z tobą równie często?

Tak było, ale ogromna różnica polega na tym, że nie miała przeszłości z innymi pacjentami. Jeśli czasem pozwalali sobie na rubaszne żarty, to dla niej nic one nie znaczyły, były zwykłymi popisami. Jace'a były prawdziwą torturą.

- Chodzi o całą twoją postawę, Jace - powiedziała, przywołując wszystkie rezerwy gniewu skumulowanego przeciw niemu. Jedyną rzeczą, którą mogła teraz zrobić, było trzymanie go na dystans. - Nie chcę, żebyś zamieniał ten oddział w

cyrk. Przyszedłeś tu, żeby pracować, a nie organizować spotkania fan klubu.

- Hej, ja nie zapraszałem tutaj tych ludzi - powiedział, podnosząc ręce w obronnym geście.

- Nie mów, że nie starałeś się przyciągnąć ich uwagi.

- Jestem dla nich czymś w rodzaju wydarzenia. To wzrasta wraz z oddalaniem się od Chicago. Co miałem zrobić? Zastrzelić ich? Trzymać ich na odległość, kręcąc sznurkiem czosnku? Może powinienem był przybyć incognito? - Figlarny błysk pojawił się w jego oczach. - Mogłem założyć mój kostium Tomm'iego Lasordy.

Rozbrajająco śmieszny obraz sprawił, że Rebeka z trudem powstrzymywała uśmiech. Pamiętała dokładnie przyjęcie karnawałowe siedem lat temu. Bawiła się wtedy jak nigdy przedtem. Oczywiście Jace zorganizował ten show, wcielając się w postać popularnego trenera. Teraz Rebeka przycisnęła usta pięścią, by powstrzymać wybuch głośnego śmiechu.

"To na pewno z powodu braku snu" - pomyślała. Nagle, zamiast gniewu, poczuła gwałtowną wesołość. Naturalnie nie dopuszczała do siebie myśli, że ten dziwny stan miał cokolwiek wspólnego z przebywaniem sam na sam z Jace'm. Nie chciała myśleć, że mógł rozbroić ją tak łatwo.

- Po prostu małe wydarzonko, tak? - spytała. - Zawsze jesteś taki skromny?

- Nie - przyznał ze śmiechem, przerzucając jej pióro z ręki do ręki. - Zawsze z samego rana jesteś taka przyjemna dla pacjentów?

- Nie - jej zielone oczy zalśniły jak diamenty. - Tylko czasem. Gdy mam ciotkę.

Przez chwilę śmiali się razem, jak starzy przyjaciele i Jace zaczął mieć nadzieję. Rany Rebeki były wciąż świeże, ale nie zniszczyły całkiem jej uczuć. Mogła się z nim śmiać, z czasem więc będzie umiała go pokochać. Jeśli będzie miał szczęście i jeśli będzie ostrożny. Będzie to wymagało delikatnego popchnięcia i zachęty i ciągłego przekonywania, że rzeczywiście się zmienił. Czuł, że stąpa po linii zawieszanej nad po-

lem minowym, ale nagroda za zwycięstwo była warta tej pró-
by.

Spędził pół nocy, wyobrażając sobie ich - jego, Bekę i Ju-
stina -jako rodzinę. Justin. Miał ochotę przywołać swa mat-
kę i spytać się jej, czy miał piegi jako sześćioletni smyk.

- Może powinniśmy jeszcze raz zacząć ten dzień - zasuge-
rował. Natychmiast też pomyślał w jaki sposób chciałby go
zacząć - z Beką w ramionach. Było czystym masochizmem
leżeć w łóżku i przypominać sobie chwilę, gdy miał ją przy
sobie, gdy budził się, czując jej przytulone ciało. Kosztowało
go niemało wysiłku, by odsunąć od siebie te wspomnienia.

Mógł się spokojnie założyć, że Rebeka nie spała ani od-
robinę lepiej. Oczywiście zrezygnował z zakładania się, ale
pozostawało faktem, że miała głębokie cienie pod oczami i
nie panowała nad sobą. Widział, jak po północy paliło się
światło w jej pokoju.

- Rozejm? - zapytał.

Przez długą chwilę Rebeka rozważała możliwości. Jeśli
zawrą rozejm, to jej sprzeciw mimo to będzie trwać. Będzie
mogła utrzymywać między nimi dystans, bez męczącego
uzewnętrzniania gniewu. Pomyślała o liście, którą robiła po-
przedniego dnia. Czy właśnie rozejm? Powiedziała sobie, że
będzie go traktować jak starego znajomego i oto nadarza się
okazja, by nadać ich stosunkom taki właśnie układ.

- Rozejm - powiedziała w końcu, skinąwszy głową. - Ale
musisz zrozumieć podstawowe zasady, Jace. To moje pod-
wórko. Jestem tu szeryfem i dyktatorem. Konieczne jest,
żebym trzymała nad pewnymi rzeczami kontrolę. Rozu-
miesz?

Rozumiał. Kazała mu pilnować swojego miejsca. Pokiwał
głową, ale powstrzymał się od komentarza. Zrozumieć, a
zgodzić się z nią, były to dla niego dwie różne rzeczy.

- Dobrze - powiedziała. - Obejrzyjmy kolano.

- Beko? - zapytał, naciskając klamkę.

- Słucham.

- Jak na dyktatora, jesteś stanowczo za ładna.

Jeśli Rebeka sądziła, że po tym, jak Jace obiecał poprawnie się zachowywać, wszystkie problemy zostały rozwiązane, to rzeczywistość pokazała jej, jak bardzo się myliła.

Jace siedział na stole zabiegowym w granatowych szortach, prezentując w całej okazałości swoje muskularne nogi. W jakiś sposób Rebecce udawało się nie myśleć o tym, że będzie musiała go dotykać. Często.

Będzie musiała kłaść ręce na jego udzie, czuć pod dłońmi falujące włosy, napinanie i rozluźnianie mięśni i nigdy nie będzie mogła się zdradzić, że pamięta. Jeśli pozwoliłaby sobie choć na chwilę słabości i przypomniała sobie, jak masowała jego uda, gdy się kochali, byłaby stracona. Ze wstydu spaliłaby się na garstkę popiołu i w tej postaci została na podłodze. To zapewne nadszarpnęłoby jej pozycję szefa oddziału.

Westchnęła ciężko i dalej wpatrywała się w jego kolano, próbując zebrać myśli i przywołać rozsądek, który zawsze rządził jej rozumowaniem.

- Jak to wygląda? - nerwowo spytał Jace. - Czy opuchlizna zeszła wystarczająco?

- Hm?

- Beko, proszę, powiedz mi, że dziś nie będzie żadnych igieł.

- Och! - uświadomiła sobie nurtujący go problem. - Nie, dziś wygląda to o wiele lepiej.

Profesjonalizm, Rebeko, powiedziała sobie. Jesteś profesjonalistką. Z tą myślą, nieco trzęsącymi się rękami, zaczęła powoli badać kolano Jace'a. Odetchnęła nieco, stosując serię wypróbowanych testów sprawnościowych. Znała wszystkie na wylot i mogła wykonywać je rutynowo, bez obaw o nieprzewidziane reakcje.

- Czy wykonywałaś już ćwiczenia izometryczne?

- Z religijnym nabożeństwem. Czy będę już mógł przejść do ćwiczeń siłowych?

- Zobaczymy. Tak ci spieszno, by wydostać się z Mishawaka?

- Nie - powiedział, ostrożnie dobierając słowa. - Tak mi spieszno wrócić do baseballa. Chcę, żebyś rozumiała, co to dla mnie znaczy, Beko. Zarząd "Chicago Kings" nie liczy na mój powrót. Tak naprawdę, są całkiem przekonani, że nie wrócę. Odesłali mnie tutaj w nadziei, że odczuję to jako policzek i zrezygnuję.

- Dlaczego mieliby to robić? Mówiono mi, że jesteś wystarczająco dobry, aby trudno cię było zastąpić.

- Byłem także wystarczająco niezdolny, bychcieć się mnie pozbyć - powiedział, marszcząc czoło. - Oni nie są ani odrobinę bardziej skłonni wierzyć, że się zmieniłem, niż ty.

Rebeka badała kolano w ciszy, próbując poradzić sobie z uczuciem winy. Nie, nie była skłonna uwierzyć, że się zmienił. Ton jego głosu wskazywał na to, że jej postawa go raniła.

- Nigdy nie musiałem pracować tak ciężko, by dostać coś, czego pragnę - mówił dalej. - Być może kilka lat temu nie byłbym w stanie tego osiągnąć, ale teraz poświęciłbym wszystko co mam, by to udowodnić.

Z pewnością brzmiało to szczerze. Jako jego terapeuta, Rebeka powinna mu wierzyć. Jako kobieta, musi się go bać. Winna to jest samej sobie. W jaki sposób ma to pogodzić?

"Najpierw konkrety" - pomyślała, ostrożnie rozluźniając jego nogę.

- Musimy pogodzić się z faktami. Przygotuję ci program możliwie najbardziej intensywny. Nie próbuj przedobrzyć. Twoje kolano będzie w stanie znieść tylko tyle.

Jace pokiwał głową, kładąc nogi prosto przed sobą, jak go poinstruowała.

- Ty tu rządzisz.

- Nie zapominaj o tym - odrzekła z uśmiechem, obejmując ręką jego udo tuż nad zranionym kolanem. - Napnij przś ten mięsień. Mocniej, mocniej. Dobrze. Rozluźnij.

- No więc co z dzisiejszą kolacją? - zapytał odrobinę za głośno.

W jednej chwili gabinet fizykoterapii ucichł. Ani jeden przyrząd nie poruszył się. Ani jedna osoba. Słyszać było tylko oddechy. Wszystkie oczy wpatrzone były w ich dwojga. Jak na sekundę przed wielkim występem.

- Co, z czym? - Rebeka spytała spokojnie.

- Co byś chciała zjeść? Coś z kuchni chińskiej, może włoskiej?

Atmosfera w pokoju zgęstniała do granic możliwości.

Uśmiechnęła się obojętnie do Jace'a i pogratulowała sobie za to w duchu. To był przecież moment, na który czekała.

- Przykro mi Jace, nie umawiam się na randki z pacjentami - nigdy.

Pomruk przeszedł przez pokój, rosnąc i opadając jak fala.

Jace zmrużył oczy, studiując wyraz twarzy Rebeki. Wydawało jej się, że może czuć się zabezpieczona. Cóż, udało mu się kiedyś obejść tę zasadę, może zrobić to jeszcze raz.

- Spytaj kogo chcesz - powiedziała Rebeka. - Każdy ci to potwierdzi.

- Czasy się zmieniają, Beko. Ludzie się zmieniają, zasady życiowe też.

- Nie tutaj.

Przez dłuższą chwilę wytrzymał na sobie jej spojrzenie.

-Zobaczymy.

Nagle dłoń odziana w grubą skarpetę wyrosła tuż przed nosem Jace'a. Gwałtownie odskoczył i spojrzał ze zdziwieniem. Na skarpecie wymalowana była twarz - wyraźne brązowe oczy, duży nos z przyczepionymi małymi wąsikami, czerwone usta. Kilka nitek czarnej niegrempowanej wełny zastępowały włosy.

- Ona nie chodzi na randki z pacjentami, kochaneńki - powiedziała skarpetka śmiesznym, cienkim głosikiem. - Masz strasznego pecha, waźniaku.

Jace pytająco spojrzął na Rebeke. Ta, nieporuszona, przyglądała się przez jego ramię właścicielowi pacynki.

- Cześć Turk - powiedziała.

Mężczyzna wynurzył się spod stołu i stanął przy niej. Był wysoki i wysmukły jak wierzbowa witka, a wyraz jego twarzy miał w sobie coś z gęsi. Śmiesznie wyglądające wąsy przypominały egzotyczne, suto owłosione dżdżownice. Stał z podniesioną ręką tak, że maskotka znajdowała się na wysokości jego ramienia.

- Jace, poznaj Turka Lacey - jego spojrzenie znacząco spoczęło na skarpetce - i pana Pepi.

- Bardzo mi miło - wymamrotał Jace. Wysunął rękę, ale zaraz ją schował.

Turk prawdopodobnie by nie chciał, żeby ucisnął pana Pepi. W każdym razie nie był pewny, że by tego chciał.

- Turk - rzekła tymczasem Dominika, kładąc mu rękę na ramieniu. - Czekam na ciebie.

Pan Pepi zalotnie zamrugał rzęsami, podczas gdy Turk niewinnym wzrokiem rozglądał się po pokoju.

- Już pędzę, moja królowo. - Pacynka jeszcze raz odwróciła się do Jace'a. - A z tobą pogadam później. Super Cooper.

Pozostawiwszy pana Pepi, Turk odwrócił się i podreptał za terapeutką. Dominika spróbowała przez chwilę zrównać się z nim wzrostem, stając na palcach i rzuciła mu nie pozbawione rozsądku spojrzenie.

- Pan Pepi powinien zwracać większą uwagę na to co mówi, albo wkrótce może potrzebować cerowania.

Turk ledwo wzruszył ramionami, a jego pocieszne wąsy drgnęły nerwowo.

- Twój znajomy? - spytał Rebeke Jace.

- Twój kolega z drużyny - odpowiedziała, uśmiechając się złośliwie. - Mam nadzieję, że będziecie się również często widywali podczas zabiegów.

- O rany, Beka, ty masz jakąś żyłkę sadystyczną - powiedział Jace i obejrzał się, by przyjrzeć się Turk'owi Luceyowi.

Dominika w skupieniu badała bark pacjenta w sposób, w jaki zwykle bada się zwichnięcie stawu.

- On gra dla "Mavericks"?

- Jest absolutnym asem wrzucaniu piłki.

- To wiele wyjaśnia. - Spojrzał na nią - Beko, ten facet mówi za pomocą pacynki.

- O, zauważyłeś?

Bob Wilkes podjechał na wózku do stołu, na którym leżał Jace.

- Ten facet ma rzut, który zmiotłby twoje obydwie rzepki kolanowe, gdybyś stanął mu na drodze.

Jace się wstrząsnął.

- Hej, hej, przepraszam, nie chciałem - powiedział Wilkes. Popatrzył na Rebekę i potrząsnął głową.

- Ona naprawdę nie umawia się z pacjentami, ale każdy facet tutaj będzie życzył ci szczęścia, jeśli zechcesz spróbować.

- Bob - powiedziała Rebeka przez zęby - nie powinieneś przypadkiem być w tej chwili w basenie - głową w dół?

Usunął się pospiesznie z zasięgu jej ręki i dodał, mrugając do Jace'a:

- To tygrysica. Trzymaj się, stary.

Jace'owi udało się stłumić wesołość, ograniczając się do słabego uśmiechu, pod wpływem lodowatego spojrzenia Rebecki.

- Chyba trochę utarł ci nosa, Beko.

- Dziwię się, że nie chciałeś się z nim założyć o to, czy uda ci się umówić ze mną na randkę - powiedziała sucho. - Twoje szanse nie powinny cię powstrzymywać.

- Nie zakładam się już, w ogóle porzuciłem hazard.

Rebeka spojrzała z niedowierzaniem w oczach.

- Pozwól, że powtórzę. Rzuciłeś palenie, rzuciłeś hazard. Czy słońce wciąż jeszcze wstaje na wschodzie, czy zapomniałam wymienić także i tę monumentalną zmianę?

- Słońce wciąż wstaje na wschodzie - odrzekł spokojnie. - Możesz być o to tak spokojna, jak io to, że będziemy mieli randkę.

- W takim razie powinniśmy zawiadomić naukowców, bo ja nie zamierzam zacząć widywać się z tobą, Jace.

Zakończyła temat tak, jakby nie spowodował gwałtownego przyspieszenia jej tętna i skupiła się na kolanie.

- Spróbuj oderwać nogę od stołu, przeciwstawiając się naciskowi mojej ręki.

Jace pilnie wykonał serię ćwiczeń. Rebeka wyliczyła mu siedem więzadeł kolanowych. Następnie wyjaśniła, że miał uszkodzenie wewnętrznego więzadła krzyżowego oraz przerwany menisk i wyznaczyła program, który, jej zdaniem, przywróci kolanu sprawność tak szybko, jak to jest bezpieczne z medycznego punktu widzenia.

Co było najśmieszniejsze w tej rozmowie, to to, że Jace naprawdę słuchał. W najmniejszym stopniu nie wyglądał na znudzonego jej naukową terminologią. Rebeka przypomniała sobie, jak usiłowała kiedyś wyjaśnić mu szczegóły dotyczące kontuzji barku. Jediną rzeczą, która go interesowała było to, jak dotknąć ręką jej piersi, gdy sprawdzała zasięg ruchu w stawie barkowym.

Teraz słuchał uważnie, a nawet przerywał jej, by pytać o liczbę i rodzaj ćwiczeń, jakie miał wykonywać w domu. Potakiwał, gdy wyjaśniała plan dodatkowych ćwiczeń równoległych i lekki trening siłowy, który miał zacząć.

Być może, zastanawiała się Rebeka, mimo wszystko trochę dojrzał.

- A jak długo będziesz jeszcze masowała moje udo? - spytał nagle.

Rebeka spojrzała na jego nogę. O Boże, znowu to robiła! Jej palce zsunęły się z kolana i rytmicznie masowały mięśnie wysoko na udzie. Twarz przybrała żywy rumieniec i Rebeka gwałtownie oderwała rękę. Starła się jednak zachować zimną krew.

- Badałam tylko kondycję twojego czworogłowego.

- Hmm... nie miałabyś ochoty przetestować kondycji innych części mojego ciała? - zapytał głośno. - Polecałbym szczególnie jeden przydatek, który wydaje się być w świetnej kondycji.

Rebeka westchnęła. Tyle było jego dojrzałości i ich rozejmu. Jace złożył obietnicę, po czym złamał ją przy pierwszej sposobności. Wyprostowała się i odsunęła od niego.

- Myślę, że na dzisiaj sesja skończona.

Jace potulnie wzruszył ramionami.

- Jeśli ty tak mówisz. A co z naszą kolacją?

- A co z naszym rozejmem?

- Nie uważam, aby zaproszenie na kolację przeciwstawiało się naszej umowie.

Westchnęła, czując się przede wszystkim zrezygowana, nie miała już siły być zła. On się nie zmienił, to się nigdy nie stanie.

- Piętnaście minut kąpieli w basenie, potem jesteś wolny.

- A może by tak masaż?

- Nie dzisiaj - powiedziała, odwracając się od niego. Nie chciała dać po sobie poznać, jak bardzo była rozczarowana, że ich układ nie dał takich rezultatów, jakich oczekiwała. "Najlepiej było mieć wciąż na uwadze, że nie był osobą, na której można polegać" - pomyślała sobie.

- Wymigiwanie się od obowiązków, pani terapeutko? - Jace bardzo chciał sprowokować, żeby dotknęła go znowu. Mogła udawać, że nic jej z nim nie łączy, ale jej palce wydały inną opinię, gdy dotykały jego ciała.

Rebeka pochyliła się nad nim, nie bardzo już panując nad swoim gniewem.

- Ten oddział jest zawsze do twojej dyspozycji. Jeśli potrzebujesz masażu - dodała, niecierpliwie rozglądając się po sali - to mam nadzieję, że Max będzie mógł ci służyć.

Jace przełknął ślinę na widok Maxa - jasnówłosego atlety, przy którym Conan przypominał Kubusia Puchatka.

- Czy on jest jakoś spokrewniony z Goliatem? - spytał.

- Owszem. Max to jego młodszy brat.

- Właściwie, może przełożę ten masaż na kiedy indziej. Muszę jeszcze pomóc Muriel w myciu okien.

- Twój wybór - powiedziała odchodząc.

Jace obserwował ją przez chwilę, podziwiając delikatne kołysanie bioder, gdy szła. Szansa na ponowne jej zdobycie zdawała się być nikła, ale nowy Jace Cooper odkrywał powoli słodki smak tego wyzwania.

Podskoczył wyrwany z rozmyślań na widok pana Pepi, który nieoczekiwanie znów wyrósł tuż pod jego nosem.

- Co się stało Cooper? Nic nie wywalczyłeś?

Jace spojrzął wilkiem.

- Co byś powiedział, gdybym cię spruł?

Rebeka wyskoczyła na równe nogi z łóżka na dźwięk pierwszych taktów melodii "Weź mnie ze sobą na mecz", które wdarły się do jej pokoju przez otwarte okno. Muzyk, wykonujący swe dzieło najwyraźniej na organach, doszedł do przebijającego bębni w uszach crescendo, po czym, nie robiąc przerwy, prześliznął się w zupełnie inną tonację rozpoczynając "Damę Hiszpanii".

Oczywiste było, że organista miał więcej entuzjazmu, niż talentu. Było też jasne, że znajdował się niedaleko. Wszystkie psy w sąsiedztwie zaczęły wyć.

Walcząc z rękawami szlafroka, Rebeka przeczłapała przez pokój i wychyliła się przez okno. Odsunęła włosy z oczu. Był piękny sobotni poranek.

Świeciło słońce. Puchale białe chmury wyglądały na niebie jak dmuchawce. Bez wątpienia, zanim nastąpił atak organowy, słyhać też było śpiew ptaków. Powietrze było czyste i delikatne, a Jace Cooper z uśmiechem na twarzy zbliżał się po trawniku do jej okna.

Poruszał się ostrożnie, z wdziękiem, który przychodził mu tak naturalnie. W dzinsach i bawełnianej bluzie był uosobieniem męskości. Elastyczna opaska ściśle obejmowała kolaro, ale kule zniknęły.

Rebeka zeszywniała, jak sarna oślepiąa światłami samochodu. Dwa tygodnie obcowania z nim, jako pacjentem, w najmniejszym stopniu nie zmniejszyły jej obaw przed nim, jako mężczyzną. To, czego obawiała się najbardziej, to jego ciała. Jak dotąd nie potrafiła przestać myśleć o tym, jak pod dotykiem jej ręki napinały się i rozluźniały jego mięśnie, jak gładka i ciepła była jego skóra.

Nie przestawała dziwić się także determinacji, jaką okazywał. Ani razu nie zdarzyło się, by narzekał na nadmierne

przeciążenie ćwiczeniami, które mu zadawała. Prosił ją nawet, by pozwoliła mu korzystać z przy oddziałowej siłowni, aby mógł zachować sprawność pozostałych mięśni. Gdy spytała, co się stało z całym drogim sprzętem, który posiadał, odparł tylko, że po prostu już go nie ma.

Zastanawiała się nad tym, jakie motywy kierowały nią samą, gdy zgadzała się na to, by przebywał na jej oddziale dłużej, niż było to konieczne. Na początku powiedziała sobie, że świadczy to o obojętności, że jego obecność nie robi na niej wrażenia. Ale to była zła strategia. Miała dwie lewe ręce, gdy Jace był w pobliżu, uderzając się, potykając i upuszczając rozmaite rzeczy. Aż dziwne, że sama nie skończyła w szpitalu. I wyglądało na to, że nie mogła oderwać od niego oczu. Był jak zakazany owoc - piękny, kuszący, niebezpiecznie przyciągający.

Sądziła, że być może Jace po obowiązkowych zajęciach, chciał mieć tylko więcej czasu na chodzenie za nią krok w krok. Nie przestawał prosić ją o spotkanie, wciąż zachęcając i żartując sobie z niej podczas ćwiczeń. Ale dodatkowe godziny rzeczywiście spędzał pracując i oferując pomoc innym pacjentom i było całkiem jasne, że nie robił tego, by zdobyć u niej punkty. Wiele razy zdarzało się, że spojrzał na nią szczerze zdziwiony widząc, że go obserwuje. Jego zdziwienie przemieniało się wtedy w uśmiech, ciepły i sympatyczny, podobny do tego, z jakim zbliżał się teraz do niej po trawniku.

- Naprawiłem organy Muriel - powiedział z dumą, stając przed oknem jej pokoju znajdującym się na parterze.

- Właśnie słyszę - Rebeka skrzywiła się na którąś z kolejnych pomyłek Muriel, tym razem w meksykańskim tańcu z kapeluszami. - Na twoim miejscu nie rozpowiadałabym tak tego w sąsiedztwie. Obawiam się, że większość nie doceni twojego poświęcenia.

Jace przysunął się do okna i spojrzał na nią tak uwodzicielsko i szczerze zarazem, że Rebeka poczuła, iż ma kolana jak z waty.

- Chcę tylko, żebyś ty mnie doceniła.

- To zamknij to pudło - powiedziała. - W sobotnie ranki śpię.

- Nie mogę, kochanie. Muriel musi ćwiczyć.

- Bez żartów - jęknęła. - Bach musi przewracać się w grobie.

- Przyznaję, że trochę wyszła z wprawy, ale wkrótce będzie o wiele lepiej - stwierdził optymistycznie. - Załatwiłem jej pracę organisty podczas wszystkich meczów drużyny "Mavericks" na własnym boisku. Jest strasznie podniecona.

Rebeka wpatrywała się w niego zaskoczona.

- Przekonałeś Muriel, żeby wzięła pracę? Odkąd umarł Winston, rzadko kiedy w ogóle opuszczała dom. Prosiła nawet, żeby kupowano jej nabiał, a ty przekonałeś ją, żeby zaczęła pracować?

- Ona musi wychodzić - wyjaśnił krótko. - Ludzie potrzebują zajęcia i kontaktu z innymi ludźmi.

Jace'owi zależało, by jej w tym pomóc. Nie bardzo wiedząc co powiedzieć, Rebeka popatrzyła na stary budynek z odchodzącą brązową farbą. Świeżo zasadzone nagietki rozjaśniały brzegi wyboistej alejki, prowadzącej do domu. Pół tuzina kotów wygrzewało się w słońcu na werandzie.

Staromodne brokatowe zasłony poruszały się na lekkim wietrze. Oczy Rebeki zaokrągliły się ze zdziwienia. Muriel otworzyła okna. Nie otwierała tych okien od zeszłego lata, kiedy przypadkiem zapaliła się jej kuchnia.

Jace odpowiedział na jej zdumione spojrzenie wzrokiem młodej owieczki, potem spojrzął na swoją koszulę i zaczął zdejmować z niej strzępki kociego futra.

- Powiedziałem jej, że czytałem gdzieś, iż domy powinny być regularnie wietrzone, by uniknąć wybuchu nagromadzonego w powietrzu gazu.

Rebeka roześmiała się.

- W tym przypadku cel chyba uświęcił środki. Muszę przyznać, że te kotary drgające na wietrze to bardzo piękny widok.

Ciemne brwi Jace'a uniosły się, gdy przesunął po niej wzrokiem.

- Ten tutaj też nie jest najgorszy.

Rebeka spojrzała na siebie. Szlafrok rozsunał się, a jej bawełniana koszula zwisała luźno, odsłaniając piersi, gdy wychylała się przez okno. Bez tchu, zaciśniętą dłońią przycisnęła szlafrok do samego gardła, wyprostowała się i ... mocno uderzyła głową w podniesioną ramę okienną.

- Auu! Do cholery, Jace Cooper! - zaciśnęła oczy z bólu.

- Doprowadzisz mnie do śmierci!

- Czy wszystko w porządku?

- Nic nie jest w porządku - powiedziała poirytowana, próbując znaleźć bolące miejsce na głowie.

- Mam przyjść i pocałować to?

Rebeka spojrzała groźnie.

- Jużja ci powiem, co możesz pocałować, ty skończony...

- Aj, Beko - powiedział ostrzegawczo. - Nie przy dzieciach.

Zobaczyła, że Justin człapał właśnie w stronę okna w swojej astronautycznej piżamie, szurając papciami po niebieskim dywanie. Najwyraźniej dopiero wstał z łóżka. Czarne jak atrament włosy pokrywały czoło i oczy. Pod pachą ścisnął obszarpanego pluszowego psiaka.

- Cześć mamó. Czy znowu uderzyłaś się w głowę?

Rebeka zaciśnęła zębina nadspodziewanie dobrą pamięć dziecka, ale pochyliła się, by go pocałować. Był naprawdę najśłodszym dwunożnym stworzeniem, jakie znała i kochała do szaleństwa. Rozgarnęła mu włosy z oczu i ucałowała w czoło.

- Tak słoneczko, uderzyłam się w głowę - powiedziała z uśmiechem. - To wszystko wina pana Coopera.

Justin wyrztał przez okno na Jace'a. Ciekawość rozbudziła go bardziej, niż muzyka Muriel Marquardt.

- Cześć wujku Jace. Czyjesteś podglądaczem?

- Nie - Jace roześmiał się, myśląc o tym, jak bardzo chciałby unieść chłopca w górę i uściskać. Przez dwa tygodnie są-

siadowania z nim zdążył się do niego przywiązać. Justin był naprawdę uroczy i wyglądał dokładnie tak, jak Rebeka - z wątkiem błękitnych oczu.

- Twoja mama i ja po prostu rozmawialiśmy sobie.

- Gdybyśmy mieli psa, przeganiałby wszystkich podglądaczy, prawda?

Jace uśmiechnął się i przytaknął.

- Tak przypuszczam.

Rebeka westchnęła z rezygnacją i odsunęła zbłąkany kosmyk włosów, który spadł Justinowi na czoło.

- Justin, kochanie, po raz stutysięczny powtarzam ci, że nie możemy mieć psa. Gdybyśmy mieli psa, musiałyby być wciąż w domu. Dostałabym strasznej wysypki i buzia by mi spuchła, i miałabym okropnykatar, i zażawione oczy, i byłabym nieszczęśliwa. Przecież nie chciałbyś tego, prawda?

Chłopiec zastanowił się przez chwilę, zmarszczywszy w skupieniu brwi.

Przytulił mocniej zabawkę i spojrzał na podłogę.

- Chyba nie - wymamrotał przygnębiony.

Justin kochał psy od kołyski. Rebecę o mało nie pękło serce, gdy musiała mu odmawiać. Jednym z jego pierwszych słów było "piesiek". Próbowwała przekonać samą siebie, że alergia nie czyniła z niej jeszcze strasznej matki. Ta myśl przypominała jednak coś innego: jedną z gorzkich uwag jej siostry, że będzie idealną matką, ponieważ we wszystkim jest najlepsza. Przygryzła wargę na to przykre wspomnienie.

- Justin - powiedział Jace, patrząc na nagle posmutniałą Reбекę. Była bardzo blada.

- Zobacz, czy dziadzio zaczął już smażyć naleśniki, do brze?

Gdy chłopiec wyszedł z pokoju, Jace oparł się o parapet.

- Beko? - powiedział cicho. Żałował, że nie był w środku, by mocją teraz objąć i przytulić. Wyglądała, jakby potrzebowała kogoś, na kim mogłaby się oprzeć. Był zdecydowany stać się tym kimś. I stanowczo postanowił zrobić coś z pro-

blemem mieszkania-nie-w-tym-domu. Im szybciej, tym lepiej. - Kochanie, dobrze się czujesz?

- Nic mi niejest.

- Od kiedy zaczęłaś kłamać?

"Od kiedy wróciłeś" - pomyślała.

Jego ponowne pojawienie się w jej życiu, zmusiło ją do przyjęcia wielu złych zwyczajów. Kłamstwa, ukrywania potrzeb, tajenia uczuć. Zastanawiała się, czy wiedział, że otworzył w jej wnętrzu prawdziwą puszkę Pandory.

- Bardzo źle ci to idzie - dodał z czułością raczej niż przysięgą.

- Dzięki.

- Nie ma sprawy. - Jeszcze raz głos Jace'a zabrzmiał w ten sposób, że Rebeka zapragnęła się nim owinać. - Beko, to ja, pamiętasz? Nikt nie zna cię tak, jak ja. Możesz mi powiedzieć wszystko.

"A potem mnie zostawisz" - pomyślała. Zrobiło jej się smutno.

- Czy mogę powiedzieć ci, żebyś sobie poszedł?

- Jasne. Tylko, że nie pójdę.

- Dlaczego?

- Ponieważ cię kocham.

Rebeka musiała oprzeć się na chwilę o ramę okienną, czując nagłą słabość i zawroty głowy.

- Poza tym - powiedział Jace, odsuwając się od okna - twój ojciec zaprosił mnie na śniadanie.

Rebeka patrzyła w osłupieniu, jak lekko kulejąc, oddalał się w stronę tylnych drzwi domu. Jak on może powiedzieć coś takiego, a potem spokojnie sobie odejść? Czy to nie było dokładnie w jego stylu, zdenerwowała się nagle. Zapewne powiedział to tylko po to, by zrobić większe wrażenie.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Jace przy drzwiach odwrócił się.

- To prawda - powiedział śmiertelnie poważnie. - Mówię to całym sobą.

Nacisnął kilka przycisków na pulpicie systemu alarmowego i wszedł do domu.

Hugh i Jace rozmawiali o elektronice, gdy Rebeka w końcu weszła do kuchni. Włożyła luźne, sportowe spodnie i bawełnianą bluzę, ułożyła włosy i nałożyła na rzęsy tubkę tuszu. Nie, żeby się stroić, jak chciała to sobie wmówić, po prostu liczyła na to, że Jace już sobie poszedł.

Jego wyznanie miłości wstrząsnęło nią do głębi. Każdego dnia mówił coś, co podważało opinię o nim. A teraz jeszcze to. Jak miała zareagować? Kiedyś, w przeszłości, nie posiadałaby się ze szczęścia, słysząc od niego te słowa. Nie posiadała się ze szczęścia. Przyjmowała jego miłość z pełnym, młodzieńczym entuzjazmem i dawała w zamian swoją, tak lekko. Ale to również Jace nauczyła, jak płytka mogła być miłość, jak szybko inne rzeczy mogły go przyciągnąć, jak bardzo mogło to boleć.

Bojaźń i złość przeważały teraz w jej sercu. Mimo jego słów, nie mogła pozwolić, żeby mu zaufała i była wściekła, że mógł tak łatwo bawić się jej uczuciami.

"Tak czy owak, niech go diabli" - pomyślała. Wydawało mu się, że kim był, roszcząc sobie prawo do przewracania na opak jej życia?

Jace'm Cooperem - oto kim był. Ale Jace'm Cooperem, którego znała kiedyś, czy tym, którego pokazywały te głębokie oczy - starszym, mądrzejszym, zmienionym w jakiś głębszy sposób?

Nie chcąc o tym myśleć, Rebeka przeszła przez kuchnię, pocierając ręką bolące miejsca i otworzyła szafkę z lekarami w poszukiwaniu aspiryny.

Hugh spojrział na córkę.

- O co tym razem się uderzyłaś?

Rebeka posłała ojcu palące spojrzenie, nalewając filiżankę kawy, następnie przygwoździła Jace'a tym samym wzrokiem.

- Pod moim oknem był podglądacz.

Hugh zmarszczył brwi.

- Znowu Robby Costmeyer? Doprawdy, ten dzieciak ma nadmiar hormonów.

- Nie - odpowiedziała Rebeka, wciąż patrząc na Jace'a. - To był inny dzieciak z problemami hormonalnymi.

- Ta okolica zupełnie schodzi na psy - mrukiwie stwierdził Hugh, wracając do planów wynalazku, które rozłożył na stole.

- Zupełnie się zgadzam - potwierdziła Rebeka, wrzucając dwie kromki chleba do tosterka.

- Jesteś piękną kobietą, Rebeko - skomentował Jace, czując, że jego spojrzenie staje się gorętsze, gdy ogarniał całej jej postać od twarzy i ust, przez jędrne, pełne piersi, krągłości bioder, aż do długich nóg.

O mały włos spojrzałaby w dół, żeby upewnić się, czy nie zapomniała się ubrać. Jego spojrzenie sprawiło, że czuła się naga. Ale, z drugiej strony, Jace przecież dobrze wiedział, jak wtedy wyglądała.

- Dla większości mężczyzn piękno jest czymś, czemu trudno się oprzeć.

- Czy pięścią w nos jest również pociągające? - spytała przez zęby.

Zbliżyła się do tosterka i z rozmachem przycisnęła guzik. Chleb wystrzelił jak rakieta. Cofnęła się przerażona, unikając w ten sposób niechybnego uderzenia między oczy. Tost przeleciał nad nią zgrabnym łukiem i wylądował na stole, dokładnie na planach Hugh'a.

Ten pokręcił głową, podczas gdy Jace przygryzł wargę, próbując powstrzymać śmiech.

- Człowiek nie mógłby marzyć o lepszej, mądrzejszej córce, ale niestety, ma ona dwie lewe ręce, jeśli chodzi o obsługę czegokolwiek.

Rebeka podniosła grzanekę i nachyliła się nad ojcem, mówiąc mu na ucho:

- Poczekaj aż zobaczysz, jak sobie radzę z nowoczesną bronią. Zamorduję cię za to, że go zaprosiłeś, nie ostrzegając mnie wcześniej.

Stary Bradshaw wymamrotał coś, czego Rebeka nie rozumiała, a co kończyło się na "... i oto jak mi się dziękuje".

Spojrzała zdziwiona, a potem wzięła tost, kawę i wyszła do jadalni, żeby móc spokojnie zjeść, nie czując na sobie spojrzenia Jace'a i nie być zmuszoną spoglądać na niego. Czuła, że ogarniają zły nastrój.

Frontowe drzwi otworzyły się na oścież i wpadł Justin rumiany z podekscytowania.

- Mamo, Mamo! Zobacz, co wujek Jace mi dał! - Wjednej chwili zatrzymał się, żeby zademonstrować rękawicę, która wyglądała na wystarczająco dużą, by mógł ją sobie wsadzić na głowę. Sekundę później wpadł do kuchni, pokazując w szerokim uśmiechu szczerbę po niedawno utraconych, przednich mleczakach. - Wujek Jace dał mi tę rękawicę i piłkę do baseballa ze swoim podpisem na niej. Fajowo, co?

Rebecce trudno było podzielać jego entuzjazm. Tak naprawdę powstrzymywała się tylko od tego, by mu pokazać, jak bardzo ją to załamało. To było to, co mogło zniszczyć jej życie. Ona była dużą dziewczynką, wiedziała, czego może od Jace'a oczekiwać, wiedziała, że jego obecność była tylko tymczasowa - ale nie zniesie czynienia krzywdy dziecku, które patrzyło teraz na nią ufnymi niebieskimi oczami.

- Wujek Jace nauczy mnie jak obchodzić się z kijem baseballowym.

- Wujek Jace poczuje go na swoich gnatach - powiedziała pod nosem, podnosząc się z krzesła na widok Jace'a, który nie spiesząc się wstał od stołu.

- Och, wujek Jace - wycedziła - mogę cię prosić na słówko?

Jace'a przeszedł dreszcz, gdy zobaczył minę Rebeki.

- Leć już na dwór, synku - powiedziała do Justina - będę tam za chwilę.

Justin wyturlał się z pokoju nieświadomy gęstości atmosfery, która dla dorosłych stawała się nie do wytrzymania.

- Po raz ostatni - rzekła niskim głosem Rebeka. - On nie jest twoim synem.

Jace skrzyżował ręce, przygotowując się do nadchodzącej sprzeczki.

- Nie wierzę ci.

- Nie obchodzi mnie, w co wierzysz. - Przyjechała dłonią po włosach i zaczęła przechadzać się nerwowo tam i z powrotem wzdłuż stołu.

- Nie zgodzę się, byś dalej to robił, Jace. Nie zniosę tego. Nie zgodzę się, byś usiłował dotrzeć do mnie przez Justina.

Oczy Jace'a pociemniały. Mocniej splótł ręce na piersi, by nie sięgnąć nimi w kierunku Rebeki i nie potrząsnąć nią.

- Nie wykorzystuję Justina. Jeśli spędzam z nim czas, to dlatego, że świetnie się z nim czuję. To fantastyczny dzieciak i mam szczerzy zamiar poznać się z nim lepiej.

Rebeka potrząsnęła głową, czując, że za chwilę przestanie kontrolować to, co mówi.

- Nie pozwolę, żebyś owinął sobie Justina wokół małego palca tak, aż zaczniesz cię idealizować, a potem, gdy wyjedziesz, złamiesz mu serce zostawiając go. Tak, jak zrobiłeś to mnie.

Słowa te zawisły w ciszy między nimi. Gniew powoli wyparował z Jace'a. Rebeka miała pełne prawo go unikać. Nie mógł czuć się obrażony tym, że ma o nim tak złą opinię, jeśli sam na nią zasłużył.

Podszedł bliżej, wiedząc, że jest zbyt dumna, aby uciekać przed nim na drugi koniec stołu. Podniósł rękę, by dotknąć jej policzka. W palcach poczuł mrowienie, gdy pogłaskała drażniąco gładkie, ciemne włosy. Kciuk musnął jej wystającą kość policzkową.

- Nie skrzywdzę go, Beko. I nie skrzywdzę ciebie'. Nie tym razem. Przyrzekam.

- Nie czyń obietnic, których nie będziesz umiał dotrzymać, Jace - powiedziała zmęczonym głosem. - To w sumie tylko pogarsza wszystko.

Wycisnął na jej ustach krótki pocałunek i cofnął się, z nim zdążyła zareagować. Nowy Jace Cooper nie łamał obietnic, ale nie było sensu tego wyjaśniać.

Będzie musiał jej to udowodnić.

- Lepiej już pójdę - powiedział, wskazując na drzwi frontowe. - Justin czeka na mnie.

Rebeka zmarszczyła brwi. Ten sam stary Jace. Robił, co mu się podobało i niech diabli porwą wszystkich innych razem z ich uczuciami.

Przechylił głowę i śmiesznie skrzywił twarz.

- Nie martw się o Justina. My tylko gramy w baseball.

- Przy moim szczęściu, zapewne nauczysz go także słuwać i przeklinać.

Sobotnie wieczory Bradshawowie tradycyjnie spędzali poza domem. Rebeka pamiętała jak wychodzili razem, gdy była w wieku Justina - rodzice, siostra i ona. Robili rundki do restauracji i cichych barów na południu Mishawaka. Czasem, po kolacji, szli do kina, na spacer do parku lub na mały rekonesans po okolicy.

Zawodowa skłonność Hugh'a do nauczania, przekształcała każdą wycieczkę w mini wykład i Rebeka, zawsze głodna wiedzy, chętnie połykała wszelkie informacje, czy były to historyczne detale budynku lub krajobrazu, czy też lekcje astronomii, gdy obserwowali gwiazdziste, letnie niebo. Elen, która była dwa lata młodsza i w najmniejszym stopniu nie zainteresowana astronomią, ani w ogóle niczym przypominającym szkołę, niezmiennie kończyła, pakując się w jakieś kłopoty.

Kiedy choroba przykuła matkę Rebeki do wózka inwalidzkiego i zmusiła do ciągłego pozostawania w domu, rodzinne wyprawy zastąpione zostały wizytami w pobliskiej kafece lub "piknikami" w pokoju Gabrieli. Tradycja ta odeszła

razem z Gabriellą Bradshaw, by powrócić dopiero po wielu latach.

Wszystkie te wspomnienia nieustannie zaprzętały myśli Rebeki, gdy samochód wiozący ich trójkę podjeżdżał pod "Kapitana Jack'a". Na tylnym siedzeniu Justin bez przerwy trajkotał na temat zawiłości gry w baseball z prawdziwym graczem i prawdziwą rękawicą. Hugh próbował skierować rozmowę na postęp, jakijemu i Jace'owi udało się osiągnąć w pracy nad ostatnim wynalazkiem. Rebeka kiwała głową i wypowiadała monosylabiczne komentarze w odpowiednich momentach. Zaparkowała hondę obok dziwnie znajomo wyglądającego czarnego DeSoto, który był przynajmniej tak stary, jak ona.

Knajpka ulokowana w budynku ze starej cegły miała coś do zaoferowania każdemu. Dekoracje były mieszaniną eklektyzmu i ekscentryczności. Na ścianach wisiały rozmaite przedmioty, poczynając od poroży upolowanych kiedyś łosi, kończąc na kołpakach, zdjętych z kół samochodów gwiazd filmowych. Okna restauracji wychodziły na rzekę Świętego Józefa. Ale "Kapitan Jack" był czymś znacznie więcej, niż restauracją. Była tam ogromna sala gier wypełniona samochodopodobnymi automatami, poruszonymi przez wrzucanie monet i grami wideo dla dzieci.

Tuż przy sali gier znajdował się parkiet do tańczenia z wielką, staromodną, świecąca neonami szafą grającą, która stała na podium w głębi.

Pani w stroju pirata wręczyła Justinowi jego osobistą koronę Króla Korsarzy i powiodła całą trójkę do stolika otoczonego miękkimi siedzeniami. Jak zwykle w sobotnie wieczory, restauracja pełna była rodzin. Hałas rozmów siedzących przy stołach ludzi wraz z mechanicznym stukaniem gier i muzyką z szafy grającej, składały się na atmosferę festynu. Rebeka obiecała sobie odrzucić męczącą melancholię i dołączyć do ogólnej zabawy.

Stąpając po drewnianej podłodze jadalnej byli w połowie drogi do stolika, gdy Rebeka zobaczyła go - czy raczej ich.

Jace i Muriel zajmowali szeroką kanapkę przy narożnym stoliku. Serce Rebeki zaczęło bić nieregularnie, gdy nieprawdopodobna para zbliżyła się, by przywitać się z nimi.

- Mamó, zobacz! Tb wujek Jace i Kocia Dama! - Justin podekscytowany pociągnął Rebeke za rękę.

- Kochanie, proszę cię, nie nazywaj pani Marquardt Kocią Damą - powiedziała Rebeka zmęczonym głosem. Nagle poczuła się wyczerpana ciągnąc ucieczką przed Jace'm. Było jasne, że przez czas pobytu w Mishawaka, będzie częścią jej życia. Być może nadszedł czas, by się z tym pogodzić.

- O rany, właśnie myślałem, że to musi być samochód Muriel, ten stary wóz, obok którego zaparkowaliśmy - powiedział Hugh, ze zdziwieniem prawdziwym, jak plastikowe owoce.

Rebeka już była gotowa do wygłoszenia gorzkiego komentarza, dziękując ojcu za poinformowanie Jace'a, gdzie będą spędzać wieczór, ale powstrzymała się. Jej tato miał dość niezwykły błysk w oczach, gdy zbliżył się do stolika. Albo miała halucynacje, albo naprawdę miał na policzkach rumieniec, witając się z Muriel Marquardt.

Jej ojciec i Muriel Marquardt?

- Tracę głowę - skostatowała.

- Nie bądź taka spięta, kochanie - powiedział Jace, ujmując ją za rękę i prowadząc do stolika. - Wszystko, czego potrzebujesz, to dobra pizza.

Spojrzała na niego ze złością.

- Tb nie jest randka. Jeśli uznasz to za randkę, będziesz podłym szcurem.

Jace zmartwiony potrząsnął głową, odrzucając z czoła kilka niepośluszych kosmyków.

- Od kiedy jesteś tak dosadna w słowach?

- Odkąd wróciłeś do miasteczka.

Gdy Rebeka siadała za stołem, zdobył się na zuchwałość i delikatnie pocałował ją w policzek, tuż nad prawym uchem.

- Ależ, miła, jestem tylko sponiewieranym kochankiem, ale przecież kochankiem, pamiętasz?

Czy pamiętała? Pamiętała każdy dotyk, każda czułą pieszczotę, każde z namiętnością wyszeptane słowo. Każdą noc, od jego powrotu, spędziła leżąc w łóżku i rozpamiętując. Najmniejsza prowokacja sprawiała, że wspomnienia powracały tak wyraźnie, że drżała, nagle i na nowo pragnąc.

Wiedziała, że gdyby teraz zamknęła oczy, przeniosłaby się do miejsca i czasu, gdy Jace trzymał ją w ramionach i jego usta dotykały jej policzka w gorącym ogniu pocałunków. Czuła gniotące się pod nią prześcieradło, czuła wpływające w nią mocne ciało Jace'a, czuła narastające doznanie i jego kulminację.

- Czy wszystko w porządku, Rebeko, kochanie? - spytała Muriel, przechylając się przez stół i mrużąc oczy zza swoich okularów.

Rebeka ocknęła się z transu.

- Tak, tak, Muriel, jestem tylko trochę zmęczona.

Oczy Muriel powiększyły się w przerażeniu.

- Byłaś straszona? Ale któż mógłby mieć ci coś za złe? Jesteś taką dobrą dziewczyną!

- Nie straszona, zmęczona - krzyknął Hugh, nachylając się nad Kocią Damą.

Muriel spojrzała na niego i odetchnęła z ulgą przyciskając do piersi swoją pulchną dłoń.

- Dzięki Bogu! - Posłała Rebecę macierzyński uśmiech. - Wszystko, czego ci potrzeba, to wyjść gdzieś i pobawić się. Zabawa jest najwspanialszym napojem na świecie. Tak mówi Jace.

Rebeka spojrzała na Jace'a.

- Nie wątpię - powiedziała sucho.

Zdołała przebrnąć przez kolację, nie wypowiadając na raz więcej niż pięciu słów. Przy opowieściach Justina na temat swojej nowo odkrytej miłości do baseballu, podniecenia Hugh'a z powodu nowego projektu i problemami słuchowymi Muriel, Rebeka naprawdę nie musiała mówić dużo.

Nagle Hugh i Muriel wstali i poszli spróbować szczęścia w grach, a Rebeka została sama z Jace'm i Justinem, który wciąż jeszcze kończył swój deser.

- Dobrze się bawisz? - spytał Jace, patrząc na nią jakoś tak, że nie mogła odwrócić wzroku.

- Nieprawdopodobnie - powiedziała pośpennie.

Justin popatrzył na nich uśmiechnięty od ucha do ucha, ze śladami lodów owocowych i czekolady na brodzie.

- Ja bawię się świetnie. "Kapitan Jack" to moje ulubione miejsce.

- Chyba będziemy musieli przyjść tu znowu, co? - powiedział Jace, ścierając serwetką słodkie resztki z brody chłopca.

Rebecce zwilgotniały oczy na widok delikatności tego dotyku i spojrzenia w oczach Jace'a. Ona był naprawdę dobry dla Justina. Nie miało to nic wspólnego z wykorzystywaniem chłopca.

Justin poprawił sobie piracką koronę i, nie wiadomo dlaczego, oświadczył nagle.

- Ja nie mam taty.

Rebeka poczuła, że blednie.

Jace popatrzył na nią przez moment a potem, w skupieniu, spojrzał na Justina. Jak miał obronić taki strzał?

"Tylko ostrożnie, Jace, staruszkule. To nie jest czas na wypełnianie błędów" - pomyślał.

- Jak się z tym czujesz?

Justin wzruszył ramionami, rozcierając plamkę z czekolady na swojej kolorowej koszulce.

- Czasem robi mi się smutno. Większość moich kolegów ma tatusiów. Czasem ich rodzice są rozwiedzeni. Za to ja mam dziadka. Dziadek jest świetny. A teraz mam ciebie, wujku Jace. Ty jesteś super świetny.

Wstał ze swojego siedzenia i objął Jace'a rączkami, przytulając go z całej siły. Jace przycisnął go do siebie z zamglozonymi oczami. Jak to się stało, że przez tyle czasu żył, nie wie-

dząc, co znaczy pragnąć - żony, domu, miłości, syna? Patrząc w przeszłość, ostatnie lata wydawały mu się taką stratą czasu, talentu, wszystkiego co miało znaczenie.

- Możemy teraz iść zagrać, mamó? - zapytał pogodnie Justin, nie puszczając z objąć Jace'a.

Rebeka nie ufała swojemu głosowi. Zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową. Gdy Justin ześlizgiwał się z kolan Jace'a, poczuła nagłe napięcie. Z pewnością wykorzysta tę okazję, by jeszcze raz poruszyć temat swojego ojcostwa. Ze spuszczonej oczami przesuwając się z końca siedzenia i zaskoczona, spojrzała, gdy jej biodro uderzyło o biodro Jace'a.

Jego spojrzenie wyrażało tę samą czułość i troskę, z którą patrzył na Justina.

- Jesteś wspaniałą matką, Beko - powiedział miękko, szczerze.

Łzy wypełniły jej oczy. Potrafił być najkochańszym człowiekiem na świecie. To było takie niesprawiedliwe, że umiał być także najbardziej niestały. Przez chwilę jednak z radością powitała jego słowa i ukryty w nich sentyment, przypominając sobie, że kiedyś był jej najlepszym przyjacielem.

- Dziękuję - wyszeptła, próbując uśmiechnąć się i pociągnąć nosem w tym samym czasie. - Staram się.

- Wiem, że tak. - Przeciągnął ręką po jej ciemnych włosach błyszczących w bursztynowym świetle. Jak było już zwyczajem, nachylił się i pocałował ją miękko. Nie zaprotestowała, co było wystarczającą zachętą, by się uśmiechnął. - Jesteś gotowa rozłożyć mnie na łopatki w PacManie?

Rebeka jęknęła.

- Wiesz jak ja umiem obchodzić się z maszynami.

Jace wysunął się zza stołu delikatnie rozprostowując lewą nogę. Potem podał rękę Rebecce. Wystawiając na próbę swoje szczęście, objął ją ramieniem.

- Pozwolę ci oszukiwać.

Rebeka nie była pewna, czy widok był bardziej interesujący, Jace'a i Justina, czy Hugh'a i Muriel. Jej ojciec zdawał się bawić jak nigdy w życiu. Z Muriel Marquardt. Kto mógł-

by przewidzieć, dziwiła się. Z Muriel, mieszkającą przez wszystkie te lata po drugiej stronie alejki.

Rebeka poczuła się trochę winna, ale nigdy naprawdę nie przypuszczała, że jej ojciec mógłby myśleć o jeszcze jednym romantycznym związku. Kochał Gabrieleę w sposób, który zdarza się raz w życiu. Rebeka nigdy sobie nie uświadamiała, że potem mógł jeszcze tęsknić za kobietą.

- Tato i Muriel świetnie się bawią - powiedziała, gdy Jace zmęczony osunął się na siedzenie stolika, który zamówili obok sali gier.

Jace patrzył za Justinem, upewniając się, że chłopiec bezpiecznie przecisnął się przez tłum w kierunku maszyny, na której grał jego dziadek.

- Mhm. Hej, ta Muriel jest całkiem niezła w te klocki. Trzeba na nią uważać. - Odwrócił się do Rebeki. - A ty, słiczności? Dobrze się bawisz?

Spuściła głowę w uśmiechu, zakłopotana, że wciąż umiał sprawiać, że czerwieniła się na samego jego spojrzenie.

- Jest bardzo miło.

- Hej, mogłabyś nie wydawać się taka zdziwiona? Męskie ego to bardzo delikatne stworzenie.

- Delikatne stworzenie, rozmiarów kaszalota - poprawiła, śmiejąc się.

Jace przechylił się przez stół i utarł jej nosa. .

- Hej, patrz! To Cooper! - Ponad hałasem sali rozległ się jakiś głos.

Jace spojrzał w górę i uśmiechnął się widząc, jak dwóch kolegów z drużyny z dziewczynami przeciskało się przez tłum, niosąc pizzę i dzbanek piwa.

Ostatnio zaczął chodzić na spotkania drużyny, oczekując dnia, gdy sam będzie mógł pracować z "Mavericks", a w końcu grać z nimi.

Drużyna była wielobarwną zbieraniną przypadkowych graczy, kończących raczej, niż zaczynających karierę, ale byli oni w większości sympatycznymi facetami. Jace natychmiast dogadał się z nimi.

- Beko - powiedział wstając - to Pat Wylie, "Łapacz", Jerome Tarvin, obrońca na drugiej bazie i Elvis "odtwórca wszechról".

Jerome przeciągnął ręką po mocno nabrylantowanych włosach, wykrzywił wargi i zaśpiewał kilka taktów "Psa gończego". Wszyscy roześmieli się i zaczęli bić brawo. Gracze przedstawili swoje dziewczyny, po czym zapytali Rebekę, kiedy będą mogli ubrać Jace'a w strój gracza "Mavericks".

- Wkrótce - przyrzekła. - Robi duże postępy.

- To i tak za wolno - powiedział Wylie. - Camitzki jest jak sito na trzeciej bazie. Wszystko dokładnie przechodzi przez niego. Ten facet musi być po prostu ślepy.

- W takim razie powinien zostawić trzecią bazę i zostać sędzią - zaproponował Jace chichocząc.

Jerome zakołysał biodrami i zaśpiewał linijkę "Nie bądź okrutny".

- To będzie inne życie, gdy dołączy do nas Super Cooper - oświadczył Pat, rozlewając do kufli pieniące się, zimne piwo i rozstawiając je na stole. - Za pomyślność. Do dna!

Jace popatrzył na kufel, który Pat postawił przed nim.

- Nie, dziękuję.

- No już, Jace - zaśmiał się Jerome - masz prawo trochę się rozerwać, zanim staniesz w szranki.

Rebeka obserwowała Jace'a ze zdziwieniem. Wyglądał jak człowiek, który umiera z pragnienia, a któremu pod karą śmierci, zabronione jest się napić. Wsadziła mu w rękę szklanekę wody mineralnej i posłała jego kolegom kwaśny uśmiech.

- Przykro mi chłopcy, on nie może pić w czasie rehabilitacji.

Jace zmusił się do uśmiechu i wzruszył ramionami.

- Co ja mogę powiedzieć? Ona jest tu szefem.

Gdy tylko koledzy odeszli, by dołączyć do innej grupy znajomych, Jace zaproponował, by zaczerpnąć świeżego powietrza na zewnątrz. Nie odezwał się ani słowem, dopóki nie

doszli do DeSoto Muriel, stojącym w pewnej odległości od budynku.

Oparł się o brzydką sylwetkę samochodu i spojrzał w górę, na niebo.

- Śliczna noc, prawda?

Rebeka stanęła obok niego, wkładając ręce do kieszeni swojej obcisłej w talii spódnicy.

- Przestałeś pić - powiedziała cicho.

Po raz pierwszy Jace nie pospieszył z bystrą ripostą. Spojrzał w dal i zaczął szurać podeszwą buta o drobny żwir parkingu.

- Chyba teraz moja kolej, by powiedzieć, że kiedyś byliśmy przyjaciółmi - powiedziała. - Cokolwiek innego stało się lub się stanie, możesz wciąż do mnie mówić, Jace.

Rebeka zdawała sobie sprawę, że w ten sposób otwierała drzwi, na których dotychczas się opierała, chcąc trzymać je zamknięte. Ale w momencie, gdy kumpel postawił przed nim piwo, zobaczyła w Jace'ie coś, co przekonało ją, że on naprawdę próbował dokonać zmian w swoim życiu. Zobaczyła słabość, strach i determinację, by się temu nie poddać. Był człowiekiem, który walczy, człowiekiem, który kiedyś był najlepszym przyjacielem na całym świecie.

- Nie wypilem kropli alkoholu przez cztery miesiące.

- Czy było ci trudno?

Zaśmiał się.

- Nie uważałem tak - dopóki nie przestałem pić.

To było w pewnym sensie śmieszne, jak bardzo uważał się za niepokonanego. Bawił się, bo lubił się bawić. Pił, bo go to bawiło. Nigdy, przez jedną chwilę, nie myślał o konsekwencjach.

Ten pomysł na życie skończył się pewnej nocy w złomie zmiażdżonej karoserii na Dan Ryan Expressway.

Przez cztery ostatnie miesiące odkrył, co to znaczy potrzebować alkoholu, błagać o zapomnienie, o uspokojenie.

Odmawianie sobie tych przyjemności odbierał jako część swojej kariery. Nie zasługiwał, by zapomnieć o tym, co się zdarzyło. Tę pamięć winien był sam sobie.

- Zmieniłem się, Beko - powiedział, patrząc na nią w słabym świetle neonów "Kapitana Jacka". - Potrzebuję żebyś w to uwierzyła. Potrzebuję, żebyś uwierzyła we mnie.

Rebeka podniosła rękę, by dotknąć jego twarzy. Jej kciuk musnął małą bliznę przy ustach. Tak bardzo próbowała zachować przed nim dystans, ale jednocześnie docierało do niej, że więzy starej przyjaźni były trudne do zerwania.

Patrząc teraz na Jace'a, mogła widzieć zmiany, jakie w nim zaszły. I mogła poznać, że były to zmiany, które zawdzięczał długiej i wyczerpującej pracy nad sobą. Ona pilnowała się, broniła swoich potrzeb. Jace również miał potrzeby, głębsze niż te fizyczne.

Mimo to powstrzymała się. Ofiarowała mu poparcie, na jakie było ją stać.

- Wierzę, że się starasz, Jace. Chcę, żeby ci się udało.

Widząc, że musi się przed nią uwiarygodnić, Jace próbował zignorować przykre ukłucie, jakie wywołało jej powątpiewanie. Wierzyła przynajmniej, że czynił wysiłek. Chciałby tylko, żeby wiedziała, ile kosztował go ten wysiłek czyniony samotnie.

- Dzięki - wyszeptał, nachylając się, by ją pocałować. Rebeka chętnie pozwoliła, by ją objął. Spędziła zbyt wiele nocy śniąc o jego pocałunku, by teraz się nie zgodzić. Było coś, czego potrzebowali oboje z tej samej przyczyny. Potrzebowali siły i oparcia czyichś ramion. Potrzebowali słodkiego rauszu namiętności, by przemyć stare rany i niepewności, by powstrzymać napór faktów, które były zbyt bolesne.

Przez moment Rebeka odrzuciła wszystkie myśli, które kłębiły się w jej logicznym, analitycznym umyśle i myślała tylko o tym pocałunku, o smaku męzczyzny, którego nigdy nie zapomniała. Trzymała ją tak, że mogła słyszeć ich serca bijące razem. Całował ją z głodem, który graniczył z desperacją, a jednak był słodki i boleśnie czuły.

Po długiej chwili Jace podniósł głowę i spojrzał w jej oczy.

- Beko, ja...

- Lepiej wejdźmy już do środka.

Wiedziała, co chciał jej powiedzieć. Nie mogła teraz usłyszeć tych słów, nie, gdy była taka niebezpiecznie bliska zakochania się w nim od nowa. Nie, gdy nie miała dość siły, by się powstrzymać.

Jace powstrzymał westchnienie.

- Sądzę, że lepiej będzie, gdy poczekamy tu jednak kilka minut.

- Dlaczego?

- Ponieważ - odrzekł, uśmiechając się i przyciskając znowu jej biodra swoimi - jeżeli wrócimy teraz, wszyscy w "Kapitanie Jacku" dowiedzą się dokładnie, jak bardzo cię lubię.

Oczy Rebeki rozszerzyły się, gdy poczuła jego napięcie i twardość.

6

Rehabilitacja Jace'a posuwała się z szybkością dającą mu satysfakcję, ale nie mogła zaspokoić jego potrzeby szybkiego powrotu do baseballa. Osiemdziesiąt mil stąd "Chicago Kings" byli na drugim miejscu w tabeli, grając poprawną, ale nie porywającą piłkę. "Mavericks" z Mishawaka zajmowali właściwe sobie miejsce w klasie "A" - w dolnej części tabeli.

Jace'owi wydawało się, że wszyscy potrzebowali obrońcy na trzeciej bazie. Jemu zabronione było robić cokolwiek innego poza ćwiczeniem, ćwiczeniem, ćwiczeniem.

Rebeka zapewniała go, że zranione kolano bardzo dobrze wraca do dawnej sprawności. Podkreślała, jak ważne jest, by nie próbował wrócić zbyt wcześnie.

Osiąganie postępów z Rebeką poza oddziałem, szło o wiele wolniej. W niespełna trzy tygodnie od wieczoru w "Kapitanie Jacku", pozwoliła mu przedsięwziąć wszystko, co mogło odnowić ich przyjaźń, ale po tym wyznaczała granicę. Była to linia, która rozmazywała się, gdyczasem ukradł jej całusa lub gdy udawało mu się przypomnieć jej o namiętności, którą niegdyś dzielili, ale granica pozostawała wciąż ta sama.

Mimo to Jace czuł, że nie może narzekać na rozwój wydarzeń. Wiedział, że rozpoczynanie wszystkiego na nowo nie będzie łatwym ani szybkim procesem, ale czuł, że stawia solidne fundamenty, na których będzie mógł zbudować resztę życia. To było trochę jak rzucanie piłki. Nie można przecież nauczyć się perfekcyjnego strzału w ciągu trzech minut.

Kiedyś wszystko to razem przyjdzie do niego. Czuł to, czuł, że gdy chodziło o Rebekę, fortuna powoli przechylała się najego stronę. Naturalnie, nowy Jace Cooper nie zamierzał polegać tylko na szczęściu w grze jego życia.

Rebeka siedziała przy biurku, przeglądając plany proponowanej rozbudowy oddziału i szukając miejsc, które mogłaby wyłączyć z użycia bez narażania na szwank rehabilitacji pacjentów.

- Może przerwa na kawę? - spytała Dominika, wkładając głowę w drzwi jej gabinetu.

Rebeka zdjęła okulary i rzuciła je na stertę papierów pokrywających jej biurko. Skrzywiła się.

- Chętnie bym coś zniszczyła.

- Nie zazdroszczę ci obowiązków administracyjnych - powiedziała Dominika, otwierając drzwi biodrem i wnosząc tacę z kawą i pączkami.

- I nie powinnaś.

Rebeka oceniła spojrzeniem wygląd swojej koleżanki. Grzywa jej czarnych, kręconych włosów spięta była z tyłu w koński ogon, obficie wijąc się wzdłuż ramion. Pod standardowym białym, szpitalnym kitem miała złoto połyskującą bluzkę i czarną skórzaną spódniczkę, prezentującą z całym wdziękiem jej milowej długości nogi.

Rebeka pokręciła głową z podziwem.

- Jak ty to robisz? Ja czuję się jak szczur laboratoryjny, biegając w koło w fartuch u, a ty wyglądasz jakby przed chwilą zdjęli cię z okładki "Cosmopolitan".

- To się nazywa ekstrawagancja - odpowiedziała Dominika siadając i nalewając sobie kroplę śmietanki do kawy. - Twoja prawdziwa elegancja przykryta jest fartuchem. Moja ekstrawagancja zamienia go w niezbędny dodatek. Jeszcze jakieś głębokie pytanie, na które mam odpowiedzieć? Na temat twojego życia uczuciowego na przykład?

- Nie mam życia uczuciowego - powiedziała Rebeka kwaśno. - Żyję w stanie chaosu.

- A to dlaczego?

Westchnęła i oparła się na krześle.

- Jace mówi, że się zmienił. Potrzebuje, żebym w niego wierzyła. Widzę te zmiany, ale nie potrafię mu zaufać. Boję się.

- Zrozumiały - przytaknęła Dominika, odrywając kawałek pączka. - Na ile mogłam, przypatrzyłam się Jace'owi-Asowi. Wydaje się być niesfałszowany, a ja poznaję lewego faceta zanim ktokolwiek zdąży wywąchać zapach jego wody kolońskiej.

Rebeka wyduła usta w charakterystyczny dla siebie sposób.

- Problem w tym, że Jace nigdy nie był fałszywy. Zawsze mówił dokładnie to, co myślał.

-Ale?

- Ale... - spojrzenie Rebeki utkwіło nagle w oknie sali terapeutycznej, gdzie, z powodu gromadzącego się personelu i pacjentów, zaczynało się tworzyć niezłe zamieszanie. - Co, do licha, się tam dzieje?

Dominika wzruszyła ramionami i zignorowała to.

- Niech Max sobie z tym radzi. My jesteśmy po służbie.

Na zewnątrz biura wybuchł śmiech i tłum rozstał się. Rebeka z przerażeniem obserwowała, jak do jej okna zbliżył się robot. Miał około metra dwadzieścia wysokości i tyleż samo szerokości. Świeący aluminiowy kanister służył mu za korpus, szklaną głowę tworzyła ogromna żarówka. Ubrany był w za duży kitel lekarski z plakietką: Dr Merlin, przyczepioną nad górną kieszenią. Słuchawki lekarskie zwieszały mu się z szyi. Zatrzymał się przed oknem, zamrugał do Rebeki światłami i podniósł zakończone haczykiem ramię w geście pozdrowienia.

- Skąd się to-to wzięło? - Dominika wyglądała na zaskoczoną.

Rebeka ze śmiechem pokręciła głową.

- Mam powody, by sądzić, że z mojej piwnicy. Tato i Jace przesiadywali w niej tygodniami, pracując nad nim.

Zostawiły kawę i weszły do sali zabiegowej, by przyjrzeć się mu bliżej. Robot zakręcił się na swoich kółkach i podje-

chał do Rebeki, świecąc guzikami jak bożo narodzeniowa choinka. Zatrzymał się pół metra przed nią, zgrzytając i brzęcząc, dopóki zielonopaskowany wydruk nie wysunął się z otworka w środkowej części korpusu.

Wahając się chwilę, Rebeka wyciągnęła w końcu rękę po informację, oddarł ją i przeczytała na głos:

- "PACJENT: REBEKA BRADSHAW. DIAGNOZA DOKTORA MERLINA: PRZEPRACOWUJE SIĘ. DOKTOR MERLIN ZALECA: WIECZÓR Z JACE'M COOPEREM"

Życzliwy śmiech przebiegł po zgromadzonych.

- To brzmi jak fachowa rada, Rebeko - powiedział doktor Cornish z pogodnym uśmiechem.

- Ona nie chodzi na randki z pacjentami - znacząco zauważył siedzący w basenie Bob Wilkes.

Pan Pepi, słodka skarpeciana kukiełka, pokazał się nagle tuż przed oczami Rebeki, mrugając swoimi długimi rzęsami.

- Polecenie lekarza, panno Bradshaw. Gorąca randka z Jace'm-Asem. Co byś powiedziała na to?

- Powiem, że nie omawiam prywatnego życia z trykotażami.

Robot znowu ożył, co tak przestraszyło Rebekę, że odskoczyła. Zamigał światełkami i wypluł następną kartkę. Rebeka sięgnęła po nią i tym razem odczytała wydruk po cichu. Uśmiech uniósł kącik jej ust. Doktor Merlin obiecywał romantyczną kolację w wykwintnym lokalu z dekoracjami z przełomu wieków, lampami z muślinu, befsztyk z najdelikatniejszej polędwicy i następującą po tym przejażdżkę przy świetle księżycy po rzece Świętego Józefa, na pokładzie dwupoziomowej łodzi "Księżniczka Mishawaka".

Kto, oprócz Jace'a, mógł być tak postrzelony, żeby zalecać się do niej za pośrednictwem robota? Któż inny mógł być taki słodki? Kto, oprócz niego mógł znać jej miłość do rzeki przy świetle księżycy?

- Jaki jest werdykt? - spytała leżąca na macie pani Krumhansle.

Rebeka uśmiechnęła się.

- Chyba pójde na randkę z doktorem Merlinem.

- Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł - powiedział Jace, wchodząc do sali z małym pudełkiem zakończonym anteną, którym sterował robotem. - Wiesz jaka jesteś, gdy chodzi o maszyny, Beko. Biedy Merlin zostałby zredukowany do stosu śrubek zanim skończyły się wieczór.

Rebeka zaśmiała się i pogroziła mu palcem.

- Jesteś ohydny.

- Moim celem jest wywołać twój uśmiech - odpowiedział, rosnąc ze szczęścia. Miał głębokie uczucie, że Rebeka stała się skłonna do wymazania linii, którą wyznaczyła między nimi.

- Na razie wyceluj swoje siedzenie w stół ćwiczeniowy - rozkazała, zwiężając swój szeroki uśmiech. - Mamy trochę pracy do zrobienia.

Tłumek zaczął się przerzedzać, chociaż część pacjentów najwyraźniej nie miała ochoty odejść.

Rebeka zignorowała ich. Jej kontakty z Jace'm były głównym tematem rozmów na trzecim piętrze szpitala, przebijając nawet plotki na temat sekretarki oddziałowej i przystojnego rezydenta ortopedii. Zdecydowała, że najlepszym sposobem rozwiązania problemu było postępować tak, jak gdyby go nie było.

Traktowała zaloty Jace'a tak, jak innych pacjentów - przynajmniej publicznie.

Posługując się pilotem, Jace usunął robota w bezpieczne miejsce.

- Ty i tato zrobiliście niezły kawał roboty przy tym małym dziwołagu - powiedziała.

- Twój ojciec jest geniuszem. Pomogłem tylko przy śrubkach i zawiasach - odrzekł Jace, układając się na stole. - Prosił, bym pomógł mu to sprzedawać, jak skończy się sezon baseballowy.

- Naprawdę?

"Czyżby w taki subtelny sposób dawał mi do zrozumienia, że Hugh wierzy w jego powrót" -pomyślała i dodała głośno:

- Połóż się płasko na brzuchu.

Po zdjęciu opaski uniosła jego nogę, zgięła w kolanie i zaczęła poruszać stopą, podczas gdy drugą ręką delikatnie badała uszkodzony staw.

- W końcu nie odpowiedziałas.

- W końcu nie odpowiedziałam na co? - Trzymając jego kolano zgięte pod kątem około dwudziestu stopni, ostrożnie pociągnęła nogę, chcąc ocenić integrację więzadła krzyżowego.

- Na kolację i przejażdżkę. Spotkasz się ze mną?

- Nie umawiam się z pacjentami.

Śmiejąc się, Jace potrząsnął głową. Wykręcił szyję, żeby móc zobaczyć wyraz jej twarzy.

- Ten kruczek już nie zadziała. Wyszliśmy już przecież razem.

- To nie była randka, to był zbieg okoliczności. O ile pamiętam, powiedziałam, że cię przetrzepię, jeśli nazwiesz to randką.

Uśmiech, który mu posłała był tajemniczy i tak kobiecy, że Jace o mały włos nie westchnął rozmarzony. Po raz pierwszy był wdzięczny, gdy oderwała ręce od jego ciała. Przez częsty dotyk i świadomość, że była o krok od pełnego zaakceptowania go, stawał się cholernie pobudzony. Nie wystarczyły mu już noce, w których przywoływał w snach chwile, gdy się kochali. Pamięć o tym, jak ciepła i czuła była w łóżku, zaostrzyły jego głód do tego stopnia, że gotów był ją porwać, jeśli nie umówi się z nim wkrótce.

- Dodaj jeden kilogram do twoich ćwiczeń siłowych. Możesz także zacząć jeździć na rowerze, jako dodatkowe ćwiczenie wzmacniające, ale pamiętaj, nie przeciążaj się - powiedziała, gdy wstawał. Tylko dla jego uszu dodała: - O tej randce możemy pogadać po pracy.

Jace przewyciężył chęć pocałowania jej na oczach pacjentów i kadry. Zamiast tego, mrugnął do niej i ześliznął się ze stołu.

- Będę milczał jak grób.

Rebeka obserwowała, jak podchodził do ciężarków. Po drugiej stronie sali kilku pacjentów i terapeutów zebrało się w grupce zażarcie dyskutując.

Ruszyła w ich stronę, chcąc wysłać ich z powrotem do zajęć, ale zatrzymała się gwałtownie, gdy strzępki rozmowy dotarły do jej uszy.

- Robot był pierwszorzędnym strzałem.

- Mówię wam, że jest już po fakcie. Słyszałeś jak mówił, że byli już razem.

- A ona zaprzeczyła, więc zakłady są dalej ważne.

- Mowy nie ma.

- Niech Jace to wyjaśni.

- Niech Jace co wyjaśni?

Wszystkie twarze znieruchomiały, słysząc głos Rebeki. Bez wątpienia płynna lawa zastygłaby na dźwięk tego tonu. Stała z rękami opartymi na biodrach, ze spojrzeniem powstrzymującym czyjekolwiek usprawiedliwienia. Bob Wilkes siedział na swoim wózku pośrodku zgromadzonych z rozłożoną na kolanach kartką. Rebeka podeszła i złapała ten kawałek papieru. **ZAKŁAD: CZY I KIEDY REBEKA UMÓWI SIĘ Z JACE'M?** - widniało na górze, wydrukowane dużymi, czarnymi literami.

Cisza narastała. Gdy Rebeka nie poruszona wpatrywała się w kartkę, odezwało się kilka przestraszonych głosów, mrużąc usprawiedliwienia i banały.

- To tylko tak, dla zabawy.

- To nie miało niczemu służyć.

Ale wszystko, co zapamiętała, to jedno zdanie, które przed chwilą niechcący podsłuchiwała. **Niech Jace to wyjaśni.**

Furia narastała w niej i zdecydowanym krokiem podeszła do maszyny, na której Jace zamierzał właśnie rozpocząć ćwiczenia. Rzucając mu kartkę w twarz, powiedziała:

- W moim biurze. Natychmiast.

Poszedł za nią i zamknął drzwi gabinetu, obserwując cicho jak z gniewem spuszcza żaluzje, pozbawiając się ewentualnej widowni.

Odwróciła się i wskazała na kartkę, którą trzymał w rękach.

- Czy i według ciebie to jest zabawa? Myślisz, że moje życie jest zabawą? Powinam była wiedzieć, że wymyślisz coś takiego!

Jace rzucił papier na stół i spojrzał kamiennym wzrokiem.

- Nie miałem z tym nic wspólnego, Rebeko.

- Oczekujesz, że w to uwierzę? - spytała kpiąco. - Przecież to ty zakładałeś się o wszystko, od wyścigów łódek, do przychodzących na świat noworodków. Na tym jest napisane twoje imię.

- Powiedziałem ci. Skończyłem z hazardem.

Roześmiała się, chociaż nie znajdowała nic zabawnego w tej sytuacji. Była tak bliska wybaczenia mu dawnych grzechów.

- I ja ci wierzyłam, ależ byłam głupia.

Jace w pasji uderzył pięścią w drzwi, szukając ujścia dla swojej wściekłości.

- Do cholery, Beko, dlaczego nie możesz ufać mi choćby odrobinę? Chcę udowodnić ci, że się zmieniłem w jaki chcesz sposób, ale byłoby miło, gdybyś zaczęła wierzyć w to, co mówię. Przyznaję się, że popełniłem błędy. Żałuję ich. Czy ty nigdy nie popełniłaś błędu?

- Tak - odpowiedziała gorzko, czując szczypiące oczy. - Patrzę na niego.

Jace cofnął się, jak gdyby go uderzyła. Powietrze było duszne od napięcia, bólu i zdrady. W następnej chwili zniknął.

Rebeka opadła na krzesło, czując łzy spływające po zasto- nie jej długich, czarnych rzęs. Oparła głowę na stole, płacząc nad swoją bezsilnością, nad wyrazem cierpienia na twarzy Jace'a, nad okrutnym zrządzeniem losu, który kazał jej kochać mężczyznę, któremu nie potrafiła zaufać. Ból i wstyd płynęły w postaci słonych łez, które zalewały raporty rozbu- dowy szpitala. Tracąc poczucie czasu płakała tak, jak nie zda- rzyło jej się od siedmiu lat.

Gdy łzy obeschły, poczuła się tak wyczerpana, że zasnęła. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła znajomą skarpetkę z wyma- lowaną twarzą, spoglądającą na nią z krawędzi jej biurka. Ponieważ nigdzie nie mogła dostrzec Turka Luceya, wywnio- skowała, że musiał leżeć na podłodze. "Cóż za dziwaczny człowiek z niego" - pomyślała.

Pan Pepi zrobił smutną minę.

- Przeze mnie płakałaś. Jest mi smutno, Rebeko, skarbie mego serca.

- Nie rozumiem, co zrobiłeś, panie Pepi? - powiedziała Rebeka zachrypniętym głosem. "Boże, mówię do skarpetki" - uświadomiła sobie po chwili.

- Jace-As nie zrobił tego zakładu. To Turk Lucey był głu- pcem, który wpadł na ten pomysł.

Poczuła ucisk w żołądku.

- Jace nie miał z tym nic wspólnego?

Pan Pepi zmarszczył swoją buzię i przytaknął, potrząsając wełnianymi włoskami.

- O, nie - wyszeptała Rebeka.

Wyglądało na to, że resztką siły, którą jeszcze miała, uciekła z niej wraz z tym westchnieniem. Znów łzy napłynęły jej do oczu. Wiedząc dobrze, jak bardzo Jace'owi potrzebna była jej wiara w niego, oskarżyła go o przyjmowanie zakła- dów dotyczących ich związku. Tak łatwo gotowa była uwie- rzyć we wszystko zło, które dotyczyło jego osoby.

"Chcesz być bardziej święta od papie- ża, czy nie tak, Rebeko?"

To był gorzki głos przeszłości, oskarżający ją o zbyt pochopne sądzenie ludzi.

"Jesteś zbyt twarda wobec ludzi, dziecko."

"Czy nigdy nie popełniłaś błędu?"

Mój Boże, popełniła ich miliony, myślała zaciskając oczy z bólu. Wobec siebie była nie mniej krytyczna, niż wobec innych. Kara, którą wyznaczała sobie, była może nawet bardziej surowa. Przebaczenie nigdy nie przychodziło jej łatwo, szczególnie gdy ona sama potrzebowała przebaczenia.

- Głupiemu Laceyowi jest strasznie przykro - powiedział pan Pepi podejrzanie drżącym głosem. - On nie chciał, żebyś płakała. On nie chce, żebyś się martwiła. On wszystko naprawi.

Rebeka potrząsnęła głową.

- Nie, panie Pepi. To ja popełniłam najgorszy błąd. Będę musiała sama wyjaśnić to z Jace'm. Mam nadzieję, że mi wybaczy.

Wszystko zmówiło się przeciw Rebecce. Telefony do Muriel i Hugh'a nie pomogły jej w ustaleniu miejsca, w którym mogłaby znaleźć Jace'a. Z boiska treningowego "Mavericks" poinformowano ją, że Jace był tam, ale już poszedł.

Pod koniec dnia była wyczerpana, zniechęcona i załamana.

Gdy przygotowywała się do zamknięcia biura i pójścia do domu, w myślach wymierzyła sobie następnych czterdzieści batów.

Elektroniczne piski i pobrzękiwania towarzyszyły Merlinowi, który wjechał do pokoju zabiegowego. Rebeka podeszła do drzwi i otworzyła je patrząc, jak mała trzęsąca się maszyna podjechała do niej, przycisnęła ją prawie do krawędzi biurka i stanęła. Migając światłami wypuściła kawałek komputerowego papieru. Z sercem w gardle Rebeka oddała kartkę i przeczytała wiadomość: "PROSZĘ PÓJŚĆ ZA MNA, PANNO BRADSHAW".

Nie będąc pewna, czy było to przyjacielskie zaproszenie, czy rozkaz, Rebeka zgrnęła swoją torebkę i podażyła za robotem, zamykając za sobą drzwi. Merlin poprowadził ją holem do windy. Kiedy dotarli na parter, podjechał do drzwi prowadzących na parking.

Jace, z włosami połyskującymi złotem w zachodzącym słońcu, stał oparty o jej niebieską hondę. Serce Rebeki забиło mocno. Wydawał się jej bardziej przystojny, niż siedem lat temu. Podobały jej się ostre rysy, których czas dodał jego twarzy. Stojąc przy samochodzie w wytartych dżinsach i granatowej koszuli, wyglądał na twardego i zdecydowanego mężczyznę. Wyprostował się, gdy ich spojrzenia się spotkały, napięcie usztywniło mu ramiona.

- Cześć.

- Cześć - powiedziała Rebeka, czując że jest zdenerwowana jak nastolatka. Straciła umiejętność odczytywania ludzkich nastrojów. Patrzyła na Jace'a i czuła przeszywający strach. Co będzie, jeśli nie przyjmie jej przeprosin? Jeśli ma już dosyć jej postawy?

Dlaczego miało to takie znaczenie?

Przygryzła wargę i odrzuciła od siebie to pytanie.

- Przepraszam. Nie miałam racji - powiedziała cicho.

Jace poczuł szarpnięcie w sercu. Rebeka wyglądała jak Anna Boleyn gotowa stanąć przed katem. Był wystarczająco zły tego ranka, by na ochotnika wykonać to zadanie, ale ten gniew już przeszedł. Tak naprawdę, dał mu ujście ćwicząc na boisku, czy raczej tylko uderzając piłki, które mu rzucano. Gdy opuszczał boisko, jedyną rzeczą, która miała dla niego znaczenie było to, że był zakochany w Rebecce i że chciał spędzić z nią resztę swego życia. Nowy Jace Cooper nie zamierzał wycofać się przez jedno nieporozumienie.

- Nie powinnam była ciebie oskarżać, Jace - powiedziała Rebeka. W jej zielonych oczach zawarta była prośba o przebaczenie, na które, jak sądziła, nie zasługiwała.

Jace przygarnął z czułością i objął ramieniem swój skarb. Była jego wybawieniem. Wspomnienia jej miłości były dla

niego męką. Wiedział, że tym razem nie straci szansy, którą los mu ofiarował. Jak mógł nie wybaczyć jej czegokolwiek, jeśli tyle był jej winien? Zanurzając nos w hebanowym jedwabiu jej włosów pocałował jej ucho i wyszeptał:

- W porządku, radości moja. Kocham cię.

Rebeka zacisnęła oczy i objęła Jace'a tak mocno, jak potrafiła. Nagle stało się jasne, dlaczego jego wybaczenie było dla niej tak ważne.

Nie miało to nic wspólnego z poczuciem honoru i sprawiedliwości, a bardzo dużo z uczuciem, od którego próbowała uciec. Ale teraz, zamknięta w ramionach Jace'a, nie miała dokąd uciekać. Słowa urodziły się w niej samej i Rebeka przyjęła je za nieodwracalne zrządzenie losu.

-Ja też cię kocham.

Było to prawdą, czy chciała tego czy nie. W jej głosie wyczuwało się bezsilność. Jace otrząsnął się z bólu, który zdawał się znów nadchodzić. Rebeka kochała go. Wszystko co musiał teraz zrobić, to przekonać ją, że wart był tej miłości. Wtedy zacznie mu ufać.

Nieoczekiwanie Merlin popsuł nastrój, rozpoczynając oszalały taniec wokół własnej osi, któremu towarzyszyły ostre dźwięki wydawane przez mechanizm. Przerażona Rebeka ukryła głowę w ramionach Jace'a.

- Wszystko w porządku - powiedział, śmiejąc się. - Merlinowi trzeba jeszcze poprawić kilka rzeczy.

Udało mu się uciszyć robota i z pomocą Rebeki zapakować do bagażnika.

- Twój tato i Muriel wzięli Justina i kilku jego kumpli na kiełbaski z rożna - powiedział Jace, podnosząc z asfaltu duży wiklinowy koszyk. - Mam nadzieję, że zdołam zainteresować cię piknikiem. - Uniósł brwi, podnosząc serwetkę przykrywającą koszyk i pozwolił wydobyć się kuszącemu aromатовi. - Muriel z całą pewnością umie upiec kurczaka, a ja mogę rozłożyć koc na trawie i podzielić się z tobą najpyszniejszym z nich.

Jace wskazywał kierunek, a Rebeka prowadziła. Wydostali się z miasta i wjechali w boczną leśną drogę, zaparkowali przy dojeździe do wielkiej łąki. To było miejsce, które przysporzyło Rebecce prawie tyle samo wspomnień, ile mężczyzna obok niej. Tamtego lata, lata ich fatalnego romansu, przyjeżdżali tu wiele razy, by spędzić czas we dwoje. Czasem się kochali. Czasem tylko siedzieli i rozmawiali. Jace słuchał uważnie, jak opowiadała mu o swoich nadziejach, snach, obawach, trudnych stosunkach z siostrą.

W milczeniu weszli na łąkę, obydwójce instynktownie zmierzając w stronę zagajnika, który zasłaniał ich przed widokiem z drogi. Z drugiej strony drzew, szeroki brzeg łągodnie schodził do strumienia. W oddali, świeciło zachodzące nisko za wzgórzem słońce. Rozłożyli miękką matę na trawie, słysząc śpiew lelków wśród drzew.

- To miejsce przywołuje wiele wspomnień - powiedziała miękko Rebeka.

Jace podszedł z tyłu i objął ją, opierając brodę na jej ramieniu.

- Nie wszystkie z nich są złe, prawda Boko?

Poczuła łzy w oczach.

- Nie - wyszeptała. - Żadne z nich nie jest. Nie z tego miejsca.

Chowając twarz w jej włosach, Jace pocałował miękko, wrażliwą skórę na jej ramieniu, potem wzdłuż szyi, w końcu obrócił ją w ramionach i dotknął jej słodkich ust swoimi. Całował ją wolno, mocno, spijając ich smak, próbując wymazać z jej pamięci wszystkie, oprócz najlepszych, wspomnienia. Jego język zdobywał w posiadanie terytorium, które kiedyś należało do niego, które było jego znowu. Tym razem na zawsze, przysięgał sobie.

Rebeka nie walczyła z ogarniającym ją pożądaniem. Próbowana już nazbyt długo trzymać je pod kontrolą. Teraz zapaliło się w niej jak ogień, przypalając końcówki nerwów, rozgrzewając skórę, obejmując wszystkie miejsca bolące od dotyku mężczyzny. Nigdy nie zapomniała chwili, w której

sprawił, że tak się czuła. Trwała w niej wciąż od czasu, gdy po raz ostatni była z Jace'm.

Gdy przestał ją całować i spojrzął w jej oczy, jego własne ciemne od namiętności, miały kolor nieba o zmierzchu.

- Musisz tego chcieć, Beko - powiedział z uczuciem. - Nie ma nic, czego pragnę bardziej niż kochać się z tobą, tutaj i teraz, ale nie uwiodę cię. To musi być twój wybór.

"Wybór? - Rebeka zdziwiła się. - Jakiego wyboru mogę dokonać?" Pomyślała, że jeśli kiedykolwiek istniał, jej serce dokonało go siedem lat temu. Kochała Jace'a Coopera. Czy będzie jej przez to jedno lato, czy przez całe życie, nie miało naprawdę znaczenia. Straciła wystarczająco dużo czasu, zwalczając w sobie pragnienie bycia z nim.

Nic nie mówiąc uniosła ręce i zaczęła rozpinać jego koszulę. Jej spojrzenie śledziło ruchy palców odkrywających gładką skórę jego piersi. Gdy dotarła do dżinsów, Jace złapał ją za nadgarstki i unióś jej ręce, by głaskały wypukłości jego mięśni napinających się i drżących, pod dotykiem jej długich, wspaniałych palców.

Usta Rebeki podążyły szlakiem, który wyznaczyły jej dłonie. Jakby szepcząc, muskały delikatnie jego skórę. Jego smak rozniecał iskrę w jej ciele, płomień pożądania ogarnęły ją mocniej, zagłuszając kontrolę, rezerwę, logikę. Jedyna logika tej chwili należała do natury i natura dyktowała jej kochać tego mężczyznę sercem i ciałem. Było to prawo tak stare i tak uświęcone, jak samo życie.

Nie czując nieśmiałości, nie wahając się, Rebeka rozpięła jego spodnie.

Wiele czasu minęło, ale ona wciąż znała jego ciało tak dobrze, jak swoje własne. Zdejmowała powoli jego dżinsy i slipy, pozwalając pocałunkom zejść aż do ud. Myśląc tylko o sprawieniu mu przyjemności, pieściła najwrażliwsze miejsca dłońmi i ustami, całując, drażniąc, smakując.

Jace jęknął, coraz intensywniej odczuwając mieszaninę przyjemności i wspomnień. Ile nocy, od momentu wypadku, marzyło tej kobiecie i pięknie fizycznej harmonii, która kie-

dyś między nimi istniała? Przeżywanie wszystkich marzeń na jawie stało się emocją, która zagłuszyła kontrolę.

Obejmując jej ramiona, podniósł Rebeke, by jeszcze raz ją pocałować, tym razem gwałtowniej i mocniej. Drżącymi rękami zdjął jej bluzkę i biustonosz, uwalniając jej pełne piersi. Przechylił ją w tył, a ona wygięła się oferując bolące sutki jego gorącym, chętnym ustom.

W pierwszej chwili Rebecę zaparło dech. Usta Jace'a pieszczące jej piersi wysłały fale wstrząsów, które przeszły przez jej ciało, by dać się w końcu odczuć jako nagłe uczucie pustki między udami, pustki, którą Jace uśmierzał, gdy jego gorące ręce zdejmowały jej bieliznę.

Głaskał ją czule, poznając dłońmi słodkie, ciepłe płatki jej ciała. Gdy ułożył ją na kocu, a Rebeka uniosła biodra szepcząc jego imię, odkrywał jej wyczekiwanie. Instynktownie weszła w rytm, który narzuciło jego ciało, przysmakując oczy, gdy okrywał pocałunkami jej brzuch, biodra, uda. Jej dłonie zaciskały się na kocu, potem na jego blond włosach i całowała go tak głęboko i mocno, jak on ją.

- Jace, proszę - wyszeptwała, gdy prześliznęła się po jej ciele, by pocałować drżącą od tętna krwi skórę na jej szyi. Oplatała go swymi długimi nogami, zapraszając by wypełnił ją swoją męskością. - Proszę.

- Czy jesteśmy bezpieczni, kochanie?

- O, tak, Jace, proszę. Chcę cię tak bardzo.

- Czy marzyłeś o tej chwili tak bardzo, jak ja? Marzyłem o kochaniu się z tobą, o tobie pragnącej mnie znowu. Śniłem, jak gorąca i napięta bywałeś, jak byłeś czuła.

Słowa Jace'a działały na Rebeke tak, jak jego dotyk. Włożyła rękę pomiędzy ich ciała, by znaleźć go wyczekującym jej przewodnictwa. Gryząc usta wyprężyła się pod nim, gdy on próbował ułożyć się w niej.

- Spokojnie, kochanie - wymruczał czule. Jego oddech stał się krótki, gdy ostrożnie wchodził w jej ciało, pozwalając jej dostosować się do niego chwila po chwili, dopóki wypełni nie znalazł się w objęciach jedwabnej rękawiczki jej kobie-

kości. Przewyciężył nadchodzący szczyt, gdy Rebeka mocniej zacisnęła się wokół niego w falach zbliżającego się doznania.

- Rozluźnij się, najśłodsza.

Rebeka objęła go za szyję i schowała głowę w jego ramiona, gdy nadszedł orgazm. Bez względu na to, jak słuszne były jej obawy wobec Jace'a, to było dobre, to było wspaniałe. Kiedy dochodzili razem w ten sposób, ich połączenie było daleko głębsze, niż tylko fizyczne. Ich związek był między ciałem i duszą. To doznanie było mieszaniną predestynacji i przyjemności - cudownej, nieopisanej przyjemności.

Napięcie jeszcze całkiem nie opadło, gdy Jace na nowo zaczął rozbudzać rozkosz. Przesuwał się po niej i w niej z naturalną gracją i Rebeka harmonijnie dostosowała się do niego. Uniosła biodra, by odpowiedzieć na jego głębokie pchnięcia i wygięła piersi, które natychmiast dotknęło gorąco jego ust.

Jej dłonie głaskały go po plecach i ścisnęły mięśnie pośladków, drażniąc go, nagłąc go. Westchnienia rozkoszy zmieniły się w jęki, gdy seksualne napięcie narastało w niej, wiodąc do następnej eksplozji.

Jace pocałował ją w ucho.

- Kocham cię najmilsza. Kocham dawać ci przyjemność.

Rebeka poczuła, że zbliża się do granic błogiego zapomnienia. Jace powiedział jej, jak blisko był tej samej przepaści. Przypomniała sobie chwile, gdy przeprowadzili się wzajemnie przez tę granicę. Jace pamiętał je także. Teraz ta chwila znów stawała przed nimi, kusiła ich bardziej z każdą pieszczotą, z każdym wymruczonym słowem. Wreszcie Jace przekroczył ją, wymawiając jej imię, a Rebeka podążyła za nim.

Milczeli potem przez długą chwilę. Reka obróciła się na bok, by patrzeć na strumień i zachód słońca. Jace położył się za nią i nakrył ich drugą częścią koca, czując ochładzające się powietrze.

- Gdzie stąd pójdziemy? - spytał miękko, zakładając ciemny kosmyk jej włosów za delikatną muszelkę ucha. - Wiesz, że cię kocham, Beko. Nigdy więcej cię nie zranię.

Odwróciła się i przyłożyła dwa palce do jego ust.

- Żadnych obietnic, Jace, proszę. Ż a d n y c h o b i e - t n i c , k t ó r y c h n i e m o ż e s z d o t r z y m a ć . .

Ból w jego ciemnoniebieskich oczach zranił jej serce.

- Wciąż we mnie nie wierzysz.

- Wierzę, że zmieniłeś się w wielu sprawach.

- Ale nie w tej, która najbardziej się liczy. - Zły, podniósł się i zaczął nakładać na siebie ubranie. - Wstrzymujesz oddech czekając na mnie, by móc wrócić do tego tematu, tak?

Rebekę ogarnął smutek. Usiadła, przykrywając piersi częścią koca. To, co przed chwilą zaszło między nią a Jace'm było cudowne, cudowniejsze niż cokolwiek, czego doświadczyła. Ale wiedziała, że to nie będzie trwało. Jace odizolowany od swego otoczenia, potrzebował jej. Kiedy skutki wypadku będą już tylko nieprzyjemnym wspomnieniem i "Chicago Kings" powołają go do drużyny, odejdzie. Zostawią tak, jak zrobił to niegdyś. Wróci do stylu życia, w którym nie ma czasu na wspomnienia, a jej zostaną tylko one.

W dzinsach i w rozpiętej koszuli Jace stanął i spojrzał na nią.

- Pojedziesz ze mną jutro do Chicago?

- Jutro? Dlaczego?

- Chcę ci pokazać dlaczego się zmieniłem i dlaczego te zmiany są trwałe. Nie wystarcza ci moje słowo, więc dam ci na to dowód. I módl się do Boga, żebyś tak bardzo nie znienawidziła tego czym byłem, że nie będziesz mogła na mnie patrzeć.

Rebeka zmarszczyła się na gorczy w jego głosie, ale skinęła potakująco głową. Być może to, co miał jej do pokazania spowoduje, że mu uwierzy. Być może ukaże jej przyczynę bólu, który sprawił, że jego piękne oczy postarzały się tak bardzo. Może pozwoli to jej sercu kochać go tak całkowicie, jak tego chciała, tak mocno, jak tego pragnęła.

Jechali do Chicago w kompletnej prawie ciszy. Był pochmurny sobotni poranek, wilgoć w powietrzu zapowiadała burzę. Rebeka prowadziła, wiedząc, że od czasu wypadku Jace nie lubił nawet wsiadać do samochodu. Z tego co mówił zdołała wywnioskować, że nie miał już prawa jazdy - poważna zmiana w życiu człowieka, który kiedyś trzymał w swoim garażu trzy sportowe wozy.

Jace patrzył na szarą drogę, która rozciągała się przed nimi i na szary horyzont poza nią. Siedział, nerwowo bawiąc się pasami i wyglądał jak gdyby jechali na spotkanie z przeznaczeniem gorszym niż śmierć. Boże, jak tęsknił za papierosem albo drinkiem, albo za jednym i drugim. Zawsze, gdy jechał zobaczyć Casey'a, pragnął ich bardzo silnie. W takie dni strach targał nim, błagając o tarczę, by bronić go przed tym, co zrobił.

Nigdy nie poddał się, nigdy nie chciał poddać się temu uczuciu. Z Rebeką siedzącą obok, czuł się jeszcze gorzej. Wkrótce nie bądzie miał przed nią żadnych sekretów. Zastanawiał się, czy nie byłoby lepiej zostawić tej części rzeczywistości tylko dla siebie. Im byli bliżej Chicago, tym bardziej czuł, że wolałby zostawić wszystko po staremu. Istniała możliwość, że gdy Rebeka dowie się o nim całej prawdy, to odejdzie. Czuł, że nie przeżyłby tego.

Kątem oka obserwował Reбекę. Miała na sobie białą bawełnianą bluzkę z wyciętym na dekolcie wzorem z kwiatów i liści, przez który przeświecała jej mleczna skóra. Błękitna spódniczka z gazy była delikatnie zebrana w talii. Jej profil wart był wyrzucia w najszlachetniejszym z metali.

Była śliczna i zupełnie nie zdawała sobie z tego sprawy. Obawiała się bowiem, że jest w niej zbyt dużo intelektu, a za mało kobiecości.

Czułość wezbrała w sercu Jace'a. Nie znał innej kobiety, która miałaby więcej od niej prawdziwego kobiecego piękna. Dla niego Rebeka była wszystkim, czym kobieta być powinna. Bardziej niż czegokolwiek pragnął, by zgodziła się z nim zostać. Rozumiał i znał ją całą - jej siłę, strach, słabości - i za to wszystko ją kochał. Gdyby ją stracił...

Gdyby stracił Reбекę i Justina prawdopodobnie byłoby to, na co sobie zasłużył, myślał kierując ją do zjazdu z autostrady.

Rebeka wyczuwała napięcie wzrastające w nim z każdym kilometrem.

Mimo to nie zadawała pytań dotyczących celu podróży. Najwyraźniej nie chciał o tym rozmawiać. Nawet wtedy, gdy zaparkowała pod pięknym, nowoczesnym szpitalem w ekskluzywnej dzielnicy Chicago, Jace nie próbował niczego wyjaśnić. W milczeniu wyszli z parkingu. Zaczął padać deszcz.

Wewnątrz szpitala panowała typowa sobotnia cisza. Nie było słychać krzątania się ludzi czekających na wyznaczone wizyty lub wyklócających się o błędy w swoich rachunkach. Personel złożony z pielęgniarek i dyżurnych lekarzy patrzących zmęczonym wzrokiem, skutecznie wypełniał swoje obowiązki. Odwiedzający rozmawiający przygaszonymi głosami platali się po holu godnym luksusowego hotelu.

Jace minął informację i od razu skierował się do wind. Niecierpliwie bębniąc butem o podłogę czekał, aż otworzą się drzwi.

Gdy jechali na dziesiąte piętro, Rebeka obserwowała jak stawał się coraz bledszy. Strach widoczny w jego oczach sprawiał, że miała ochotę podejść i objąć go. Czy pragnęła w ten sposób pocieszyć, czy sama zostać pocieszona, nie wiedziała. Jej nerwy były mocno nadwerężone. Nie widziała jeszcze, żeby Jace był tak śmiertelnie poważny, nie uśmiechnął się nawet, odkąd kochali się poprzedniego popołudnia.

Przestraszyło ją, jak bardzo czuła się osamotniona teraz, gdy Jace zamknął się w sobie. Co stanie się z nią, gdy on odjedzie?

Drzwi windy otworzyły się na oddziale specjalnej opieki. W środku znajdowała się dyżurka pielęgniarek, otoczona ze wsząd salami. Fluorescencyjne lampki świeciły na obitych drewnem pulpitach uformowanych w pięciokąt. Dyżurna pielęgniarka, na oko pięćdziesięcioletnia, wyglądała na wystarczająco dużą i groźną, by okiełznać niedźwiedzia, ale gdy ujrzała Jace'a, zamieniła się cała w macierzyński uśmiech.

- Witaj przybyszu! Tęskniliśmy tu za tobą - powiedziała czystym, niskim głosem, który odruchowo ściszyła, by nie niepokoić pacjentów.

- Witaj, Zofio - powiedział Jace, z trudem wykrzywiając usta w uśmiechu. - Nie mogę bywać tutaj tak często, jak bym chciał. Mieszkam teraz w Mishawaka.

- Słyszeliśmyo tym - wruszyła ramionami. - Twardogłowy zarząd. Zdrowa logika mówi mi, że będziesz musiał wrócić, żeby zrobić porządek. Gra Linderfeldera budzi pusty śmiech. Nie dorównałby ci nawet gdyby się rozdziwił.

- Zobaczymy- odpowiedział, kończąc temat, jak gdyby był on równie błaży, co pogoda za oknem. - Jak się ma Casey?

Blask w oczach Zofii natychmiast zgasł w odruchu współczucia. Nie była w stanie się uśmiechnąć. To było spojrzenie, które Rebeka widziała wiele razy. Wiele razy też wysłuchiwała tego, co następowało potem, w czasach gdy choroba powoli odbierała życie jej matce. Ona sama patrzyła w ten sposób na pacjentów lub ich rodziny, gdy prognozy nie spełniały ich oczekiwań. Serce bolało ją ze względu na Jace'a, chociaż nie wiedziała jaki był jego związek z tym pacjentem.

- Bez zmian - powiedziała siostra. - Przykro mi, Jace. Jest ciągle tak samo. Chociaż to też może budzić nadzieję.

Z głębokim westchnieniem Jace skinął głową i odwrócił się. Wyciągnął rękę do Rebeki. Schwyciła ją, jak gdyby było to koło ratunkowe i poszła za nim w kierunku jednej z sal.

"Kim jest Casey - zastanawiała się. - Krewny czy przyjaciel?" Mężczyzna, czy kobieta? Dlaczego Jace nigdy przedtem nie mówił o tej osobie? Z jakim problemem medycznym mieli się zetknąć? Pytania przepływały przez jej umysł z

prędkością światła, ale nie było czasu na szukanie odpowiedzi. Weszli do sali znajdującej się naprzeciwko stanowiska pielęgniarek i Jace zamknął za nimi drzwi.

Był to pokój kogoś, kto był tu już przez jakiś czas, pomyślała Rebeka patrząc dookoła. Kolorowe kartki z życzeniami powrotu do zdrowia były poprzypinane do maty wiszącej na sterylnie białej ścianie. Dziecięce rysunki zwierząt, statków kosmicznych i graczy umieszczone pod nimi. Nad łóżkiem wisiał proporzec "Chicago Kings" z autografami. Na małej metalowej szafce, obok afrykańskiego fiołka i fotografii czyichś rodziców, stało zdjęcie drużyny. Ciepły pled z błękitnej i złotej wełny leżał równo złożony w nogach łóżka.

- Beko - powiedział miękko Jace - to Casey Mercer.

Był to przystojny mężczyzna w wieku może dwudziestu dwóch lub dwudziestu trzech lat, o wyraźnych rysach twarzy, krótkich, ciemnych włosach zaczesanych gładko do tyłu i długich, gęstych rzęsach dziecięco podwiniętych w górę. Miał zamknięte oczy, a Rebeka pomyślała, że być może są one brązowe.

Casey Mercer był w śpiączce. Ekran monitorów przekazywały sygnały świadczące o stanie jego organizmu, a on leżał nieruchomo na łóżku. Był chudy. Pod skórą połyskliwie przezroczystą, przypominającą delikatną porcelanę, wyraźnie rysowały się kości.

Jace zbliżył się do niego i wziął jego długą, wątlą rękę w swoją.

- Cześć, Mercer - powiedział miękko. - Uwaga, czerwone światło! W pokoju jest piękna kobieta. Przyprowadziłem moją przyjaciółkę, Rebekę. Pamiętasz? Opowiadałem ci o niej. Doszedłem do wniosku, że nadszedł czas, żebym powiedział jej o tobie.

Młody człowiek pozostał nieruchomy, ale Jace mówił dalej-

- Chyba powinienem być cię ostrzec, co? Mógłbyś się ubrać. Cholera, w ten sposób wyglądasz stanowczo zbyt ładnie. Taki starszy facet jak ja ledwo wytrzymuje taką konku-

rencję. Zresztą, nie musisz chyba podrywać mi dziewczyny, mając stadko pięknych pielęgniarek tylko czekających na twoje skinienie, mam rację? Pewnego dnia przyjdę i zastanę cię goniącego je wokół łóżka.

Rebeka zamrugała oczami, powstrzymując łzy na widok Jace'a, któremu wzruszenie odebrało głos. Nie знаła Casey'a Mercera, nie wiedziała co Jace'a z nim łączyło, ale nie było jej to potrzebne. Czuła wszystko, co czuł Jace - bezsilność, złość, smutek. Jego ból był jej bólem, ponieważ go kochała.

- Dzieciaku, drużyna cię potrzebuje - powiedział Jace niskim głosem. - Lepiej pozbieraj się i chodź stąd. Pamiętasz jak zawsze mówiłeś, że będziesz najlepszym obrońcą, jaki kiedykolwiek nosił spodenki. No więc dobrze by było, żeby tak się stało, jeśli nie chcesz, aby mówili o tobie, że jesteś głupi, jak ja.

Cisza była jedyną odpowiedzią jaką usłyszał.

Delikatnie położył rękę Casey'a z powrotem na łóżku. Dotknął dłonią jego policzka.

- Leż sobie tu, stary - wyszeptał ocierając oczy. - Przepraszam, że spieprzyłem ci życie.

Byli jedynymi odwiedzającymi na dziesiątym piętrze. Nikt nawet nie zapalił światła. Wokół panował mrok, w którym zarysowywały się cienie przedmiotów. Deszcz zmoczył szyby, nadając im wygląd srebrzyście połyskujących płócien. Jace usiadł na stole z chromowanymi nogami, patrząc tępo przed siebie, próbując zebrać myśli.

Oparł stopę o siedzenie plastikowego krzesła. Rebeka wpatrywała się w niego, cierpliwie czekając, aż się odezwie. W oddali zagrzmiało.

- To trudne, wiesz - powiedział powoli Jace, z wrokiem wciąż utkwionym w dal... - To po prostu dzieciak. Trochę kości i instynkt. Nigdy nie widziałem takiego jak on na boisku. Szybki jak kot.

- Co się stało? - spytała Rebeka szeptem.

Mięsień drgnął na policzku Jace'a, gdy poczuł przeszywający ból.

- Ja. Byłem jego idolem. Czymś w rodzaju idola - odrzekł gorzko, jego usta wykrzywiły się ze wstrętem. - Przeze mnie może spędzić resztę życia w tym pokoju.

- Wypadek - Rebeka dedukowała głośno. - Był z tobą?

Jace nie odpowiedział jej od razu. Spojrzał w dół i przejechał palcem po brzegu szklanej popielniczki, rozpaczliwie potrzebując papierosa. Po chwili zdecydował się mówić.

- Gdy powołali mnie do tak eksponowanej drużyny, doszedłem do wniosku, że świat leży u moich stóp. Byłem na fali, byłem rozchwytywany. Każdy chciał znać Jace'a Coopera. W ciągu roku zarabiałem więcej pieniędzy, niż niektóre małe państwa. To nie jest usprawiedliwienie, ale musisz zrozumieć, co takie pieniądze mogą zrobić. Po prostu czujesz się niezwyciężony. Rozrzucałem je wokół siebie, jak cukierki na paradzie. Wiesz, że zawsze lubiłem grać szybko i tracić dużo. Łatwo przyszło, łatwo poszło. - Dodał z uśmiechem, który szybko zgasł. - Lubiłem dobrze się bawić. Chciałem, żeby wszyscy wokół mnie dobrze się bawili.

- Większości z tego już nie ma. To, czego nie przegrałem lub nie straciłem na niefortunnych inwestycjach, poszło dla Casey'a. To jest wspaniały szpital, gdy chodzi o opiekę jakiej mu potrzeba. Jego rodzice nie mogli sobie na to pozwolić, a ubezpieczenie nie pokryłoby tego wszystkiego.

- Casey przyjechał w ostatnim sezonie z Lexington. Dla mnie było to jak *déjà vu*. Każdy pragnął poznać Casey'a. Od samego początku przyłączył się do mnie. Żadna impreza nie była udana bez Jace'a-Asa i Casey'a.

- Tej nocy, w której wydarzył się wypadek jeździliśmy moim porsche z jednego przyjęcia na drugie. Zapytał mnie, czy może poprowadzić, bo właśnie zamówił sobie takiego samego, aby robić wrażenie na kobietach. Pozwoliłem mu, chociaż wiedziałem, że był w stanie absolutnie wykluczającym siadanie za kierownicą. Oczywiście nie byłem ani trochę lepszy. Jechaliśmy 85 mil na godzinę na Dan Ryan Express-

sway, gdy spojrział na mnie ze swoim szerokim uśmiechem na twarzy i powiedział: - "Wiesz, Jace, chcę być dokładnie taki jak ty. Jesteś moim ideałem."

Wciąż widział młodą, przystojną twarz Casey'a, połyskującą w światłach tablicy rozdzielczej. Obraz tego uśmiechu został zamrożony na zawsze w jego pamięci, tak jak tamte słowa zawsze będą brzmiały w jego uszach.

- To były ostatnie słowa, jakie powiedział.

Rebeka zamknęła oczy. Pamiętała Jace'a, gdy był w wieku Casey'a, śmiałego, buńczuczego Jace'a, który wierzył, że jego szczęście nigdy się nie skończy. Teraz siedział, patrząc w szpitalne okno, gnąc się pod ciężarem odpowiedzialności, nie tylko za swoje własne błędy, ale także za Casey'a.

- Nic bardziej nie zmusza do zastanowienia się nad sobą, jak bliskość śmierci, do spowodowania której się przyczyniłeś - powiedział z sarkazmem. - Wyszedłem z tego z uszkodzonym kolanem, kilkoma połamanymi żebrami i jeszcze jedną szansą, na którą nie zasłużyłem. Nie zamierzam jej stracić. Coś dobrego musi z tego wyniknąć, albo to, co stało się z Casey'em, było na nic. Nie mogę pozwolić, by tak się stało.

Rebeka nie potrafiła znaleźć w sobie siły, by go potępić. Jace z całą pewnością sam potępił się już wystarczająco. Po raz pierwszy nie próbowała go sądzić. Przeszedł przez piekło. Będzie płacił za ten błąd do końca swego życia. Nie musiała mówić mu, że nie powinien pozwolić Casey'owi prowadzić samochodu. Tak naprawdę, chciała obwinić kogoś innego. Dlaczego gospodarz przyjęcia, na którym byli, pozwolił któremukolwiek z nich dwóch usiąść za kierownicą?

Zdawała sobie sprawę, że innym razem wskoczyłaby na swoją mównicę i wygłosiła mu przemowę. Był gwiazdą. Był kimś, na kogo patrzono. Powinien dawać przykład dzieciom, które go podziwiały. Ale ona obserwowała jego walkę. Widziała jego rany. Był tylko człowiekiem narażonym na popełnianie błędów tak, jak każdy. Gwiazdorstwo nie uczyniło go

odpornym ani nieśmiertelnym. Teraz musiał stawiać czoła prawdzie, a serce Rebeki cierpiało z miłości do niego.

Jace nie potrzebował teraz jej krytyki. Potrzebował jej oparcia i miłości.

Wzięła go za rękę i ścisnęła ją.

- Możesz sprawić, że to będzie miało znaczenie, Jace.

Jej siła sprawiła, że coś w Jace'ie odżyło. Ściągnął brwi i odwrócił się w kierunku okna. Przełknął ciężko. Wyczuwało się zmęczenie w jego głosie.

- Nigdy nie chciałem skrzywdzić kogokolwiek. Ani Casey'a, ani ciebie.

- Wiem - wyszeptała Rebeka, wstając z krzesła by podejść i objąć go. - Wiem.

- Wygląda na to, że Muriel i tato spędzają wieczór w mieście - powiedziała Rebeka, spoglądając na kartkę z wiadomością, którą Muriel zostawiła na dębowym stole w bibliotece. Gruby biało-czarny kocur wskoczył na stół, porwał kartkę z jej ręki i uciekł z nią. - Dziwi mnie to trochę, ale jednak jestem zadowolona, że zaczęli się widywać.

"Stało się to za sprawą Jace'a" - przypomniała sobie.

- Myślisz, że wygląda to poważnie? - spytał Jace, przeglądając swoją pocztę.

- Nie wiem. - Jak każdemu dziecku, małemu czy dorosłemu, trudno było Rebecce wyobrazić sobie swojego ojca w romantycznej sytuacji. - Dobrze się ze sobą bawią.

Jace spoważniał nagle.

- Kto opiekuje się Justinem?

- Spędza weekend u przyjaciela - odpowiedziała, starając się zbytnio nie cieszyć troskliwością Jace'a.

Mimo tego, co zobaczyła tego popołudnia, wciąż nie chciała nadmiernie przyzwyczaić się do jego obecności. Przecież nadal chciał wrócić do Chicago. Jeśli jego kolano wydobrzeje - wyjedzie i nie wiadomo czy wróci.

- Pracowałem nad prezentem dla niego - powiedział Jace. Po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin uśmiechnął się, a w jego głosie pojawiła się nutka entuzjazmu.

Omijając dwa baraszkujące na środku korytarza kocięta, poprowadził Rebekę na tył domu, do swoich pokoi. Z przyjemnością zauważyła, że w domu nie czuć było pleśni ani kotów. Pachniało natomiast aromatyczną mieszanką korzeni i ziół.

- Jest to w pewnym sensie również prezent dla ciebie - dodał Jace. - Poczekaj tutaj.

Rebeka zatrzymała się tuż przed drzwiami dużego pokoju. W kilka sekund później stanęła oko w oko z mechanicznym psem.

Był wielkości szpica i poruszał się na kółkach, tak jak doktor Merlin. Jego uszy wyglądały jak miniaturowe anteny satelitarne, ogon zastępowała antena. Zabawka nie miała może futra ani pcheł, ale z całą pewnością przypominała psa. Jace starannie wymalował mu duże brązowe oczy i wesołą mordkę. Założył mu nawet obrózkę. Psiak zatrzymał się przed nogami Rebeki, uniósł łebek i zaszczekał na nią przez mały głośnik umieszczony wewnątrz.

- Och, Jace, on jest wspaniały - wykrzyknęła. Uważając, by niczego nie popsuć, klękła, żeby przyjrzeć mu się bliżej. Pies tymczasem wyciągnął różowy, gumowy język i polizał jej rękę.

- Twój tato zrobił część elektryczną i sterującą - wyjaśnił Jace. - Ja go zaprojektowałem i zrobiłem części mechaniczne. Możesz być pewna, że nie zabrudzi dywanu ani nikogo nie ugryzie - nawet ciebie, która nie masz szczęścia do urządzeń mechanicznych.

Opierając się o drzwi, by dać trochę odpocząć choremu kolanu, Jace pomanipulował pilotem, który trzymał w ręku. Metalowy kundel przespacerował przez pokój, pobiegł do przodu, cofnął się, zaszczekał i zamachał ogonem. Potem Jace pokazał w jaki sposób pies aportuje metalową kość, za pomocą magnetycznego nosa.

Oburzone koty Muriel biegały we wszystkich kierunkach z przerażeniem w oczach, uciekając przed ruchliwym monstrem.

- Wiem, że nie jest tak dobry, jak prawdziwy pies, ale wydaje mi się, że powinien wystarczyć na jakiś czas - powiedział Jace, kierując psa z powrotem do swojego pokoju i wyłączając go.

Kusiło go by powiedzieć, że to stworzenie miało im służyć dopóki on, Rebeka i Justin oficjalnie nie staną się rodziną i nie przeniosą się do domu z wystarczająco dużym ogrodem, by trzymać psa na zewnątrz. To było marzenie, które pragnął ze wszystkich sił zrealizować - być ojcem dla Justina i mężem dla Rebeki. Nie powiedział jej o tym jednak.

Po opuszczeniu szpitala niewiele ze sobą rozmawiali. On był głęboko poruszony i podniesiony na duchu pierwszą reakcją Rebeki, ale nie miał prawa obiecywać sobie po niej zbyt wiele.

Rebeka podeszła, by pocałować go w policzek. Ściśnięte ze wzruszenia gardło nie pozwoliło jej wiele powiedzieć. Jak to miło ze strony Jace'a, że chciał spełnić marzenie chłopca. Nie oczekiwała czegoś takiego, wiedząc o jego niedawnych przeżyciach.

- Justin będzie uszczęśliwiony. Dziękuję ci.

Jace objął ją mocno.

- To wspaniały dzieciak. Szaleję na jego punkcie.

- On cię uwielbia - powiedziała cicho, skupiając wzrok na guziku u jego granatowej koszuli. Nie powiedziała, jak martwiło ją, że Justin był tak do niego przywiązany. Po co? To tylko zraniłoby uczucia Jace'a, a ona i tak musiałaby radzić sobie z rozczarowanym Justinem, gdy Jace wróci do ligi.

- Beko - wyszeptał Jace, zamierając w oczekiwaniu na odpowiedź - czy Justin jest moim synem?

Rebeka czuła napięcie, jakie w nim rosło. Drżało ono w jego mięśniach i wibrowało w powietrzu wokół niego. Wyglądało na to, że był to dzień na odkrywanie sekretów. Jace

otworzył już przed nią swoje. Prosił ją, by zrobiła to samo. Nie mogła mu tego odmówić.

Właściwie czuła, że chce powiedzieć mu prawdę, mimo iż przywołanie przeszłości było dla niej przykre. Potrzebowała podzielić się tym z Jace'm. Jest tak, jak kiedyś, jej przyjacielem... i kimś więcej. Instynktownie wiedziała, że rozumieją jak nikt inny.

- Beko?

- Nie - patrzyła wprost w jego oczyspojrzeniem, w którym krył się żal. - On nie jest twoim synem, Jace. Nie jest także moim.

Jace wpatrywał się w nią zaskoczony.

- Co? Co masz na myśli mówiąc to? Jesteś jego matką.

Rebeka wysunęła się z jego objęć i zaczęła niespokojnie chodzić po małym pokoiku, pełnym ciężkich wiktoriańskich mebli.

- Nie, nie jestem - nie biologicznie. Moja siostra, Ellen, jest jego matką. - Roześmiała się gorzko. - To znaczy, ona go urodziła.

- Ellen?

To wyjaśniało podobieństwo Justina do Rebeki. Jedną z niewielu rzeczy, które pamiętał na temat jej młodszej siostry to, że była ona niemal fizyczną kopią Rebeki. A niebieskie oczy chłopca? Cóż, był to zwykły zbieg okoliczności. Mnóstwo ludzi miało niebieskie oczy. Hugh Bradshaw miał niebieskie oczy.

Jace poczuł się nagle trochę głupio. Dlaczego był taki pewny, że jest ojcem Justina. Posmutniał, gdyż stracił coś, co nigdy naprawdę nie było jego. Próbował odsunąć od siebie te myśli, w miarę jak rodziły się w nim nowe pytania.

- Gdzie ona jest? - spytał. - Dlaczego Justin nazywa cię mamą?

Rebeka przeciągnęła ręką po włosach i westchnęła.

- Justin nie wie. Myślę, że małemu chłopcu trudno byłoby zrozumieć dlaczego jego matka po prostu odjechała i nigdy nie wróciła.

Mówiąc to, nie mogła pozbyć się goryczy na wspomnienie siostry. W tej samej jednak chwili przepełniło ją ogromne poczucie winy, odczuwalne przez każdy centymetr jej ciała. Walczące w niej emocje sprowokowały napływ łez.

Jace przerwał jej chodzenie po pokoju, delikatnie kładąc ręce na jej ramionach i jeszcze raz obracając ją ku sobie.

- Co się stało? - zapytał miękko, a potem czekał cierpliwie, aż się uspokoi i pozbiera wzburzone myśli.

- To było w kilka tygodni po twoim wyjeździe do Chicago - zaczęła w końcu. - Ellen miała się przygotowywać do powrotu do college'u, co nie budziło w niej specjalnego entuzjazmu. Tacie zależało jednak na tym, żeby jego córki miały takie wykształcenie. Ellen nie miała w sobie wiele ze studentki. Nie pomógł też fakt, że byłam tam przed nią i ukończyłam tę szkołę.

- Przyjechała do mnie, do szpitala i powiedziała, że nie wraca do collegu, ponieważ spodziewa się dziecka. Miałyśmy straszną kłótnię na temat odpowiedzialności i zawodu, jaki czekał ojca. Powiedziała, że nicją to nie obchodzi. Miała dosyć życia w moim cieniu, ponieważ nigdy nie czuła się równie dobrą. W końcu odeszła.

- Dokąd pojechała?

- Nigdy się nie dowiedzieliśmy. Przez miesiące, nie mieliśmy od niej żadnej wiadomości, nie wiedzieliśmy gdzie była, czy żyła... Kiedy wróciła Justin nie mógł mieć więcej niż trzy, cztery dni. Wręczyła go mnie i powiedziała, że będę bez wątplenia wspaniałą matką dla niego, ponieważ zawsze byłam dobra we wszystkim. - Wciąż jeszcze słyszała to zabarwienie w głosie siostry. To ciągle raniło. - Załatwiliśmy moją legalną adopcję Justina, potem wyjechała. Nie widzieliśmy jej od tamtej pory.

- Nigdy nie wróciła, żeby zobaczyć syna? - spytał Jace, nie wierząc, że matkę może tak mało obchodzić jej własne dziecko, szczególnie to, do którego tak się przywiązała.

- Ani razu. Nigdy nawet nie przysłała mu kartki na urodziny. Wyraźnie dała do zrozumienia, że nie chce mieć z nim nic wspólnego.

- A jego ojciec?

Rebeka smutno potrząsnęła głową.

- Nie wiemy kto nim jest. Ellen nie chciała mówić na ten temat.

Odsunęła się od Jace'a i zbliżyła do okna, w którym nowe, delikatne firanki przesłaniały widok na ciemny, deszczowy wieczór. Mimo że nie było zimno, objęła się rękami, żeby odegnać chłód.

- Legalnie Justin jest i zawsze będzie mój. Ale nie powinnam była wprowadzać cię w błąd, Jace. Lubię wyobrazać sobie, że tych problemów z Ellen nie było, że Justin jest moim synem, a ja jego prawdziwą matką. Ale pewnego dnia będę musiała mu o tym powiedzieć. - Zająknęła się i z trudem dookończyła: - Wtedy nie będę już mogła udawać.

Łzy, które popłynęły z jej oczu, wsiąkały w koszulę Jace'a, który przytulił Rebekę do siebie. Wsiąkały też w jego duszę. Cierpiał razem z nią. Czuł jej rozpacz i niepewność. Wszystko, czego pragnął, to moc ją pocieszyć i obronić.

- Jesteś jego matką, Beko, pod każdym względem.

- Czasem zastanawiam się co by się stało, gdybym tamtego dnia, gdy przyszła do mojego biura okazała jej ciepło, zamiast uderzać w wysokie tony. Odtrąciłam własną siostrę, będąc dla niej sędzią. W tym widać mój egoizm. I ta część mnie, cieszy się z tego, co się stało, ponieważ to dało mi Justina. Tak bardzo go kocham.

Uniosła głowę. Jej szmaragdowe oczy błyszczały od łez. Miękkie, słodkie usta drżały z emocji.

- Wczoraj pytałeś mnie, czy kiedykolwiek popełniłam błąd. Jace, popełniłam ich tak wiele...

I karała się za każdy z nich. Wciąż na nowo. Rebeka w stosunku do nikogo nie była tak surowa, jak wobec siebie. Jace wiedział o tym. Jej perfekcjonizm łączył się z poczu-

ciem obowiązku i odpowiedzialności. Ponieważ nie chciała nikogo zawieść, nie pozwalała sobie na robienie błędów.

Uśmiechając się czule, otarł jej łzy kciukiem i objął dłońmi jej głowę.

- Popełnianie błędów świadczy o tym, że jesteś człowiekiem, kochanie. Inaczej nie mógłbym cię kochać. A ja naprawdę cię kocham, Beko.

Jace zniżył głowę, by przycisnąć swoje usta do jej ust. Czuł jej łzy. Spił ten smak i ofiarował całą siłę, która została mu po długim, męczącym dniu. Ofiarował pocieszenie, opiekę, ciepło i zrozumienie.

Nikt nie wiedział więcej o popełnianiu błędów niż Jace. Jednym z największych, jaki kiedykolwiek popełnił, było opuszczenie Beki wiele lat temu. Teraz całował ją, próbując zapomnieć o przeszłości, chciał zabrać ją tam, gdzie nic prócz ich miłości nie miało znaczenia.

Rebeka przyjmowała to co ofiarował, chętnie, chciwie. Tego wieczora nieważna była niepewna przyszłość ani pełna bólu przeszłość. Całując go, otworzyła się dla Jace'a i dla tej magii, jaką tylko on mógł jej dać, nie zachowując nic dla siebie.

- Zostań ze mną dzisiaj - powiedział półgłosem, przytulając ją mocniej i całując czarne włosy przykrywające jej ucho, jak skrzydło kruka. - Potrzebuję cię. Potrzebuję cię przytulić.

Poczuła, że jej serce zabiło z uczuciem ulgi. Myśl o powrocie do domu, by spędzić noc w pustym łóżku, przyprawiała ją o dreszcz. Było już tyle takich nocy. Jakaś wyższa siła zbratała ich dusze. Nigdy nie było to dla niej bardziej jasne niż teraz, gdy dzielili między siebie swoje najbardziej bolesne sekrety.

- Powiedz, że zostaniesz całą noc, Beko - wyszeptał Jace, głaszcząc dłońmi jej giętkie plecy.

Uniosła kąciki ust w uśmiechu, zawsze tak samo łagodnie, gdy spoglądała na Jace'a.

- Nie chciałabym, żebyś z mojego powodu miał kłopoty z Muriel.

Uśmiechnął się w odpowiedzi i potarł koniuszkiem swojego nosa o jej.

- Ona nie kontroluje łóżek.

- To dobrze - powiedziała trzeźwiejąc. Dotknęła zimną dłońią jego policzka, wyczuwając głębokie linie spowodowane zmęczeniem i przeżyciem, które wyrzeźbiły głębokie bruzdy w jego twarzy. - Ponieważ nie planuję iść nigdzie, aż do świtu.

Wchodząc do sypialni Jace'a, zamknęli drzwi przed nosem dwóch ciekawskich kociąt. Mimochodem Rebeka zauważyła, że na ściany nałożono świeżą warstwę beżowej farby i zdjęto ciężkie, zielone kotary. Ale jej uwaga skupiona była na Jace'ie.

Przedtem zaspokajali swe pożądanía. Teraz potrzebowali czegoś innego, choć nie mniej intensywnie. Była to potrzeba pokrzepienia i bycia pokrzepionym, dawania siły i przyjmowania jej.

Rozbierali się powoli, całując się i pieszcząc. Jace usiadł na łóżku, rozpinając guziki na plecach białej bluzki Rebeki. Jego usta znaczyły bieg jej kręgosłupa, zatrzymując się tuż nad talią. Skubał ustami miękkie, pokryte meszkiem ciało, rozpinając zamek spódnicy. Jej oddech stał się drżący, gdy gazowa spódniczka ześliznęła się po biodrach i udach. Poczwała narastające podniecenie, gdy zdejmował jej jedwabne figi, znacząc ich ślad gorącymi pocałunkami.

Stanął za nią, głaszcząc dłońmi nagie, gładkie ciało jej brzucha i łona. Westchnęła i odepchnęła ręką jego ramię, gdy jego palce czesały bujne loki, skrywające najbardziej kobiece sekrety. Poczwała jego pobudzenie. Otarła się o niego, chcąc go, potrzebując tworzyć z nim jedno.

Gdy położyli się w poprzek wielkiego, mahoniowego łóżka, nie czuli żadnego pośpiechu, tylko potrzebę bliskości. Jeden długi pocałunek łączył się z następnym i następnym. Jedyne odgłosami były uderzenia kropli deszczu w okna pokoju. Noc zamknęła się nad starym domem, jak czarna sa-

tynowa peleryna, pozostawiając kochanków w miękkim migotliwym świetle witrażowej lampki.

Rebeka poczuła, że przeszłość i wszystkie jej rany blakną, gdy dłonie i usta Jace'a kołysły ją i pobudzały jednocześnie. Znał każdy centymetr jej ciała, wiedział, które miejsca dotykać i pieścić. Odszukał je wszystkie, każdemu poświęcając pełną uwagę, a potem pozwolił Rebecce zrobić to samo z jego ciałem. Czas mijał. Żadne z nich tego nie zauważyło ani o to nie dbało.

W końcu Jace wszedł w nią wolno, pieścizotliwie i do końca. Przez długą chwilę nie poruszali się, smakując swoje połączenie i poczucie spełnienia, które należało tylko do nich.

Wreszcie natura zainterweniowała. Ciało Rebeki potarło o Jace'a, bezgłośnie prosząc o uwolnienie. Jęknął i potem wolno zaczął kołysać biodrami. Ona wyprężyła się. Każdy ruch wolny i delikatny, miał na celu przedłużenie przyjemności i spotęgowanie jej. Rebeka czuła się jak wspaniale nastrojony instrument, na którym grał wirtuoz. To była słodka, czuła melodia, która dotykała najwrażliwszego miejsca w jej sercu i która, czego była pewna, wolno dążyła do niebotycznego crescendo.

Usiadła okrakiem na Jace'ie, podczas gdy on wsparł się plecami o oparcie łóżka. Palcami ścisnęła jego muskularne ramiona, gdy wprowadzała go w siebie, głębiej i mocniej za każdym ruchem. Jace objął ją mocno, gdy ich rozkosz osiągnęła szczyt, pozostawiając ich płynących na fali słabości i zaspokojenia.

Nasyceni i zrelaksowani, po raz pierwszy od wielu godzin leżeli razem, dzieląc poduszkę. Wsłuchiwali się w odgłosy deszczu i w jękliwe miauczenie kota, gdzieś przy tylnych drzwiach domu.

- Czy mogę ci coś wyznać? - cicho spytał Jace. Podniósł rękę, by odsunąć z twarzy kosmyk jej włosów.

- Czynie zrobiliśmy ich wystarczająco dużo, jak na jedną noc? - Rebeka nie chciała, żeby cokolwiek zakłócało spokój tej chwili: ani przeszłość, ani przyszłość.

Jace uśmiechnął się niewinnie, ignorując pytanie Rebeki.

- Byłem rozczarowany, gdy powiedziałaś mi, że Justin nie jest moim synem, chcę, żebyśmy mieli ze sobą dzieci, Beko. Chcę, żeby nasza miłość stworzyła coś jeszcze piękniejszego.

Silne uczucie tęsknoty przeszło Reбекę. Ona też tego pragnęła. Nie umiała zliczyć ile razy żałowała, że to nie ona urodziła Justina i, chociaż nigdy się do tego nie przyznała, Jace był jedynym mężczyzną, którego mogła sobie wyobrazić, jako ojca swojego dziecka. Czasem trudno jej było patrzeć na Justina i nie myśleć o nim jak o dziecku swoim i Jace'a.

Były to uczucia, o których chciała zapomnieć. Nie mogła sobie pozwolić na takie marzenia. Oznaczały one poważne inwestowanie w przyszłość, która była niepewna. Jace chciał budować na fundamencie zmian, jakie w nim zaszły i o które walczył. Było to pragnienie godne podziwu, ale Rebeka dobrze pamiętała dawne przyrzeczenia, które pękły razem z jej dziewczęcym sercem. Była też ta część jej, która nie chciała być częścią kary Jace'a. Jeśli ich związek ma być nierozzerwalnie złączony z poczuciem winy w stosunku do Casey'a Mercera i jego własnej przeszłości, co stanie się, gdy ból tej winy wyblaknie?

Jace nie skomentował braku odpowiedzi. Odsunął od siebie żal, ignorując milczenie Rebeki i utwierdzając się w myśli, że będą rodziną, rosnącą i kochającą się rodziną. Wszystko, czego potrzebowali, to czas. Nie można wyleczyć ran przez jedną noc ani oczekiwać, że Beka o nich zapomni.

Opierając się na łokciach, Jace spojrział na nią oczami w kolorze nieba o północy.

- Kocham cię, Beko. Nigdy nie powiedziałem tego innej kobiecie.

- Kocham cię - wyszeptała Rebeka, sięgając, by pocałować srebrzyste końce jego włosów, które opadły mu na czoło.

Nigdy nie powiedziała tych słów innemu mężczyźnie i coś mówiło jej, że nigdy nie powie. Na dobre i złe, Jace Cooper był mężczyzną, który posiadał jej serce. Mogła tylko mieć nadzieję, że tym razem nie zostanie ono zranione.

Pochylił się i dotykał jej ust najdelikatniejszymi pocałunkami.

- Jesteś wszystkim, czego mężczyzna mógłby kiedykolwiek pragnąć. Nie zasługuję na ciebie, ale niech mnie diabli, jeśli znów pozwolę ci odejść.

Potem zgasił lampkę, wziął Reбекę w ramiona i udowodnił jej swą miłość w jedyny sposób, w jaki potrafił.

Muzyka organów elektrycznych połączona z serią dźwięków przypominających murzyńskie tamtamy i trzęsienie ziemi nie były tym, co zwykle budzi Rebekę z samego rana. Zerwała głowę z poduszki. Obok niej najspokojniej spał Jace, wspaniale nagi, skopawszy prześcieradła. Głowę miał schowaną pod poduszką. Myśli Rebeki rozbiegły się, gdy chciwie wpatrzyła się w ten widok.

Cały złożony był z ostrych linii, załamania i czystych mięśni - oprócz bosko zaokrąglonych pośladków. Wymruczał coś we śnie i przewrócił się na bok, twarzą w jej kierunku. Serce Rebeki podeszło do gardła. Patrzyła na ciała każdego dnia - męskie, kobiece, zgrabne, bezkształtne - i mimo to, gdy natknęła się na ciało takie jak Jace'a Coopera, zaschło jej w gardle. Szramy, których się dorobił w ciągu ostatnich siedmiu lat tylko uwydatniły jego męskość.

Jace był atletyczny w każdym tego słowa znaczeniu. Był pięknie zbudowany, pełen siły i wigoru. Rebeka rumieniła się na samo wspomnienie. Gdy Jace kochał się z nią, było to jak magia. Nic i nikt nie mógł się z nim równać. Gdy kochali się, było to tak, jak gdyby przeszłość nie miała nad nimi władzy, jak gdyby nie istniało nic, oprócz doskonałej harmonii między nimi.

Leżąc na boku i studiując Jace'a w słabym świetle poranka, Rebeka myślała o tym, że chciałaby czuć się bezpieczna wiedząc, że to on jest jej wybrankiem.

Nagle twarz jej poszarzała. Spędziła całą noc w ramionach Jace'a, teraz był ranek, a ona zamknięta w jego pokoju znajduje się pod jednym dachem z właścicielką domu siedzącą w hallu i grającą melodię "Gdy przemija czas". Z właścicielką, która stanowczo zabroniła mu schadzek w pokoju, który od niej wynajmował.

- Jace, Jace, obudź się! - wyszeptała nagle, szczypiąc go po brzuchu.

- Mmmm... znowu, kochanie? - wymruczał niskim, rozleniwionym głosem i przewrócił się na plecy. - Pozwól mi spać jeszcze pięć minut.

Rebeka usiadła na nim i rzuciła mu poduszkę w twarz.

- Obudzisz się?

Powieki Jace'a podnosiły się wolno, równocześnie z rozszerzającym się uśmiechem. Pochylała się nad nim z dziko potarganą fryzurą. Naturalnie jego wzrok powędrował niżej, do jej pełnych piersi z dużymi, ciemnoróżowymi sutkami. Nietrudno było przypomnieć sobie, jak one smakowały. Był również świadomy ciepła jej kobiecości, miękko naciskającego jego goły brzuch. Boże, dzielić łóżko z taką kobietą przez resztę życia to niebo na ziemi.

Zaspanym głosem powiedział:

- Dla widoku takiego jak ten, nie tylko się obudzę, ale przeskoczę przez płonącą obręcz, jeśli tego zechcesz.

- Nie czas teraz na to, byś się nim rozkoszował - nakrzyczała na niego, próbując się odsunąć, ale Jace złapał ją w tali i przytrzymał, kciukami nęcąco masując jej brzuch.

- Zawsze uważałem, że poranek jest wspaniałą porą dnia - powiedział. - Zwłaszcza, gdy budząc się znajduję piękną kobietę siedzącą nago na moim...

- Jace Cooper - wyszeptała z twarzą płonąca rumieńcem - właścicielka tego pokoju jest w tej chwili praktycznie za drzwiami.

Jace potrząsnął głową, chcąc ukryć diabelski uśmiech.

- Nie bawię się w trójki. Beko, zadziwiasz mnie.

Porwała swoją poduszkę i przydusiła nią jego głowę.

- Już ja cię zadziwię...

Następnie uświadomiła sobie, że leży płasko na plecach, a ciało Jace'a rozkosznie wciskają w materac.

Stało się to tak szybko, że nie zdążyła nawet pisnąć. Patrzyła na niego, gdy tymczasem Muriel przeszła do "Rozjaśniasz moje życie".

- Jace, to poważna sprawa - powiedziała, próbując się skupić. - Co my zrobimy?

Schylił głowę i wyszeptał jej do ucha scenariusz, który sprawił, że poczuła się słabo.

- Miałam na myśli Muriel - powiedziała, próbując ze wszystkich sił zignorować sposób, w jaki Jace całował jej szyję. - Jeśli ona złapie mnie wyslizgującą się z twojego pokoju, będzie na ciebie wściekła.

- W takim razie powinienem po prostu trzymać mojego więźnia tutaj, w sypialni. Mmmm, pomysł mi się podoba - powiedział znad jej piersi. Podniósł głowę z włosami wpadającymi do oczu, które lśniły chęcią psoty. - Czy pozwolisz mi się związać?

- Jace!

Przesunął się w górę po jej ciele pomrukując i chichocząc diabolicznie. Pobudzony, zapuścił sondę między jej uda, łaskocząc językiem jej ucho.

- To nie jest śmieszne.

- Zgadzam się - przyznał. - Owiń nogi wokół moich bioder, kochanie.

Na te słowa gorąca fala przepłynęła przez ciało Rebeki, ale nie chciała się poddać Jace'owi.

- Muriel jest z innej generacji. Nie wyda się jej zabawne, że spędziliśmy razem noc. Najprawdopodobniej cię wyrzuci.

Jace scałowywał jej zmarszczki z czoła.

- Wtedy będę musiał zamieszkać w twojej sypialni. Pozwolę ci mnie związać.

- Powinno się ciebie zamknąć - powiedziała chichocząc, gdy łaskotała ją po żebrach.

- No chodź, kochanie - przymilił się zachęcająco. Wsunął rękę pomiędzy ich ciała, i Rebeka z trudem łapała oddech, gdy odnalazł najwrażliwszy fragment. - Otwórz się dla mnie. Nie mogę wyobrazić sobie lepszego sposobu na rozpoczęcie ranka, niż kochanie się z tobą. I możemy być tak głośno, jak tylko chcemy. Nikt na świecie nie zdołałby usłyszeć nas przez organy Muriel.

Muzyka ucichła nagle. Rebeka wykorzystała zaskoczenie Jace'a, wyśliznęła się spod niego i z łóżka. Gdy zbierała części swojej garderoby, organy zabrzmiały "Pewnego czarującego wieczoru".

- Bardzo się poprawiła odkąd ma aparat słuchowy, nie sądzisz? - spytał Jace, siadając przy oparciu łóżka i podziwiając Rebekę schylającą się, by podnieść figi.

- Będziesz musiał zejść do holu i odwrócić jej uwagę, żebym mogła wyjść tylnymi drzwiami - powiedziała Rebeka, walcząc z guzikami na plecach bluzki. Nie był to najlepszy moment do krytykowania muzycznych dokonań Muriel.

- Wszystko, co rozkażesz, najdroższa. - Jace wyszedł z łóżka i powędrował do drzwi, nagi jak w chwili urodzenia.

Z przerażeniem w oczach Rebeka rzuciła się w jego kierunku i zagrodziła mu drogę, przyklepiając się plecami do drzwi.

- Na miłość Boską, nałóż na siebie jakieś ubranie! Powiedziałam ci, żebyś odwrócił jej uwagę, nie żebyś przyprawił ją o atak serca.

- Ty tu rządzisz - powiedział, ciepłym wzrokiem ogarniając jej postać, jej długie nogi i białe, jedwabne majtki. Objął obiema rękami jej szyję i pochylił się do niej, tak że ich usta się muskały, gdy mówił:

- Ty wiesz, jak odwracać moją uwagę.

Rebeka zamknęła oczy, chcąc odsunąć falę pożądania, jaką wywołała jego bliskość i jęknęła z frustracją. Było to wszystko, co mogła zrobić, by powstrzymać się od zanurzenia swoich palców we włosach na jego klatce piersiowej. Czasem wydawało się jej, że jej słabość do niego jest silniejsza niż jakikolwiek narkotyk. Z pewnością była równie mocna.

-Jace...

- W porządku - powiedział, wodząc palcem po linii jej ust.
- Ubiorę się. Będę grzeczny. Ale musisz mnie najpierw pocałować na dzień dobry.

Wzrok, którym na niego patrzyła, z całą pewnością nie był rozbawiony.

- Tylko troszkę - dodał, uśmiechając się słodko. Założył jej włosy za ucho. - Nie chcesz chyba, żebym się poczuł jak tania zabawka na jedną noc, hm?

- Przenigdy - ton Rebeki był suchy, ale w oczach zamigotały isierki.

Zakładając mu ręce na szyję, przechyliła głowę i pocałowała go przekonana, że będzie się starał zaciągnąć ją znowu do łóżka. Gdy pocałował ją tylko delikatnie, zdziwiła się. Spojrzała w jego twarz i znów uderzyła ją dojrzałość w tych granatowych oczach, które tak dobrze znała.

- Chyba nie podziękowałem ci jeszcze za to, że zostałeś ze mną wczoraj - powiedział czule. - Nie myślę tylko o ostatniej nocy, chodzi mi o...

- Wiem o co ci chodzi.

- Nie byłem pewien, co będziesz czuła do mnie po tym, jak poznałaś Casey'a.

- Kocham cię - powiedziała, zdziwiona jak prosto zabrzmiały te słowa. A przecież nie było nic prostego w jej związku z Jace'm ani w rozterkach, które w niej walczyły, powodując że nie była pewna własnych uczuć.

- A co z dawnymi błędami i całą resztą? - spytał.

- Nie możemy zmienić przeszłości - odpowiedziała smutno.

O ile łatwiejsze byłoby ich życie, gdyby mogli cofnąć się w czasie. Jej oszczędzone byłoby cierpienie zawiedzionej miłości. On nie miałby złamanego życia.

"Rebeka nie może zmienić przeszłości, ani też nie chce jej zapomnieć" - myślał Jace.

Być może była w nim zakochana, wciąż jednak traktowała go z dystansem. Widział to w jej oczach. Słyszał w jej głosie ten delikatny odcień, który ostrzegał go, by nie sięgał zbyt głęboko, by nie naciskał zbyt mocno.

- Może więc powinniśmy porozmawiać o przyszłości - powiedział, świadomy, że przekracza granicę, czując że będzie chciała wycofać się z dyskusji.

"To śmieszne - myślał. - Nigdy nie uważałem się za masochistę".

Rebeka spojrzała na niego figlarnie, ale szybko odwróciła wzrok.

- Wydaje mi się, że jesteśmy zbyt rozebrani, żeby przeprowadzić poważną dyskusję.

Jace spojrział na siebie. Coś w tym było. Trudno rozmawiać poważnie stojąc nago, podczas gdy właścicielka mieszkania gra na organach w holu domu tango. Być może nie był to właściwy czas na tę rozmowę. Mógł zadowolić się tym, co dotąd było między nimi, dając jej czas, by mogła mu zaufać. Miłość, którą pragnął jej dać nie była marną imitacją, ale prawdziwym darem ofiarowanym jej całym sobą.

- Myślę, że masz rację - powiedział, odsuwając się. Podniósł krzesła spódnicę i podał jej. - Trzymaj. Będziesz mniej rzucać się w oczy, wymykając się z mojego pokoju, jeśli ludzie nie będą widzieli twojej bielizny.

Rebeka zdjęła jego slipy z klamki i rzuciła mu, uśmiechając się krzywo.

- A ty będziesz mniej zwracał na siebie uwagę, jeśli ludzie nie będą widzieli twoich... atrybutów.

Ubierali się szybko, mając nadzieję, że Muriel skończy ćwiczyć i pójdzie zjeść swą codzienną porcję owsianki i suszonych owoców. Ku ich rozczerowaniu, Muriel grała i grała cały swój repertuar z rosnącym entuzjazmem. Jace i Rebeka usiedli na starej sofie w dużym pokoju bawiąc się w "zgadnij co to za melodia" i czekali.

W końcu przebrzmiały ostatnie taktory "Wspaniałej miłości". Jace podszedł do drzwi i wsadził głowę w szparkę.

- Droga wolna.

- Spróbuję skorzystać - powiedziała Rebeka, biorąc do ręki sandały.

- Pocałuj mnie najpierw na do widzenia. - Jace przycisnął ją do siebie i dał jej krótki, mocny pocałunek. - Kocham cię. Zobaczymy się później. Hugh i ja zamierzamy usunąć dziś usterki Merlina.

- Dobra. Do zobaczenia.

Jace otworzył drzwi i Rebeka na palcach wysliznęła się do holu, wpadając prosto na ojca. Przez chwilę obydwójce zbaranieli. Potem każde odskoczyło w tył, patrząc na drugiego z otwartymi ustami i przerażeniem w oczach.

Hugh, w skarpetkach, z butami w ręce. Za nim Muriel, ze swoimi pulchnymi policzkami, teraz w kolorze dojrzałych pomidorów.

Nie mogłaby wyglądać na bardziej winną, nawet trzymając w ręku dymiący rewolwer. Rebeka była tak zaskoczona, że upuściła sandały. Zza stojącej w rogu parasolki natychmiast wyskoczył kot, porwał jeden z nich i uciekł.

- Tato! - krzyknęła poniewczasie.

- Cóрко! - wyrzucił z siebie Hugh, robiąc się czerwony.

- Ooooohhh... moje kociątko - wymamrotała Muriel, szorując dłonią po futerku Chestera, dopóki kot nie miauknął w proteście i nie wyskoczył z jej objęć.

Rebeka uświadomiła sobie, że jej ojciec i Muriel Marquardt spędzili noc... razem. Gdy mówiła Jace'owi, że dobrze razem się bawią, nie zdawała sobie sprawy, jaka jest to zabawa. Jej ojciec i Kocia Dama mieli ze sobą romans!

Nie bardzo wiedząc, jak się zachować, Rebeka spojrzała przez ramię. Jace stał oparty o framugę drzwi, najwyraźniej bawiąc się dobrze. Pomachał do Hugh'a i Muriel,

- Dzień dobry wszystkim. No i jak tam "Mavericks"?

Drużyna baseballowa "Mavericks" z Mishawaka zaliczała się do najbardziej nieszczęśliwych w historii tej wielkiej gry. Inne stawiały sobie za cel sezonu mistrzostwo ligi. "Mavericks" aspirowali zaledwie do mierności, a mimo to większość ludzi uważała, że sięgali zbyt wysoko.

"Mavericks" była drużyną emerytów, pechowców i nieudaczników. Jej gracze byli za niscy, za starzy, za wolni, za mało doświadczeni, za bardzo zwariowani. Mieli lewego atakującego, który byłby świetny, gdyby nie jego nerwowość, czyniąca go nadwrażliwym, przez co już szóstą kadencję nie

osiągnął żadnych efektów. Mieli Pata Wylie, dawniej gracza wielkiej ligi, który miał przestrzelone ramię. Mieli Turka Lacey, ze swoimi szybkimi piłkami i mówiącą pacynką.

"Mavericks" byli zjawiskiem wykraczającym poza dziedzinę sportu. Ich obrona miała więcej dziur, niż szwajcarski ser. Przeciętna strzałów wahała się wokół pysznej liczby dziewięćdziesiąt osiem. Podczas gdy sąsiednia drużyna w South Bend przyciągała tłumy, fani "Mavericks" uważali wyśiłki swoich ulubieńców za okazję do dobrego śmiechu.

Jace został włączony do drużyny w czerwcu. Pilnowany przez Rebekę powstrzymał w sobie chęć, by pełną parą włączyć się w walkę. Wiedział, że lekceważąc gojące się kolano ryzykował nową kontuzję, ale wyczekiwał chwili, gdy będzie mógł się sprawdzić. Czuł, że zbliżał się jego powrót do pełnej formy. Jeden z celów, jakie wyznaczył sobie od czasu wypadku, stawał się możliwy do zrealizowania i z całej siły chciał po niego sięgnąć.

Rebeka obserwowała jego postępy z mieszanymi uczuciami. Jej zawodowa ambicja nakazywała pomagać Jace'owi osiągnąć jego cel, sprawić, by wrócił do poprzedniej sprawności tak szybko, jak było to możliwe i bezpieczne, a także utrzymać go w szczytowej formie, by mógł wrócić do poprzedniego poziomu gry. Rebeka - kochająca kobieta nie wypatrywała tej chwili. Złapała się na tym, że była nadmiernie ostrożna podczas terapii, ponieważ w duchu nie chciała, by wrócił do baseballa. Baseball zabrał go jej kiedyś. Tak też miało być i tym razem,

W pewnym sensie ich związek ustabilizował się. Widywali się regularnie. Byli przyjaciółmi. Byli kochankami. Jeszcze wciąż czekała ich rozmowa o przyszłości. Rebeka wytrwale unikała tematu. Powiedziała sobie, że jeśli Jace nie będzie czynić obietnic, żadne z nich nie będzie cierpiało, gdy coś się nie uda. Myśl ta jednak nie przynosiła jej szczególnego komfortu.

W tym stanie chaosu mijało im lato. Spędzali ze sobą tyle czasu, ile pozwalały na to ich wypełnione rozkłady zajęć. Wy-

jazdowe mecze "Mavericks" często rozdzielały ich na kilka dni. Gdy Jace był w miasteczku, dzielił swój wolny czas między Rebekę, Justina, Hugh'a i jego wynalazki, Muriel oraz renowację jej domu. Ale większość czasu poświęcał baseballowi.

Pechowo dla "Mavericks", jego wysiłki nie znajdowały pokrycia w wynikach drużyny. Jeden utalentowany i zaangażowany gracz nie mógł wygrywać meczy, gdy na boisku było ośmiu facetów zawsze gotowych wszystko popsuć.

- Pytanie tylko, czy zachowają dotychczasowy styl i tempo? - spytała Dominika, gdy zajmowała miejsce w łoży, która zarezerwował dla nich Jace. - "Mavericks" mają dużą szansę na rekord wszechczasów klasy "A", jeśli chodzi o liczbę gier przegranych w ciągu jednego sezonu.

- Ja w nich wierzę - oświadczył doktor Cornish, poprawiając granatową czapkę, przykrywającą jego łysinę.

- Może posłuchalibyście gry Muriel? - spytał Hugh z rozmarzeniem, jak gdyby "Weźmnie ze sobą na mecz" była balladą miłosną.

- Mamo, zobacz! To wujek Jace! - Justin wisiał na barierce, machając do Jace'a za dużą rękawicą.

Jace spojrział, pomachał mu i uśmiechnął się, po czym wrócił do rutynowej rozgrzewki. Rebeka była pełna, uznania i podziwu dla jego siły. Nawet z opaską na kolanie każdy jego ruch charakteryzował się lekkością, a zarazem mocą. W dodatku było mu bardzo do twarzy w pasiastym, biało-granatowym stroju.

Zdziwiona, pokręciła głową, studiując jego ubiór. Drużyna nie umiała nawet zadbać o swoje stroje. W granatowym napisie wyszytym z przodu bluzy brakowało litery "s". Czytało się "Maverick". Najwyraźniej jednak nikomu to nie przeszkadzało.

Gdy reszta drużyny powoli zbierała się na linii, Jace pobiegł wzdłuż pasa ochronnego w kierunku łóż. Czuł, że serce mu rośnie na widok Rebeki i Justina, machających i śmieją-

cych się do niego. Nawet wybicie piłki Goodena poza boisko w Meczu Gwiazd nie dało mu tyle szczęścia.

Rebeka była cudownym zjawiskiem w swojej jedwabnej łośosiowej bluzce i zwiewnej letniej spódnicy, białej w wielkie kwiaty, także w kolorze łośosia. Justin był czarujący, uśmiechając się szczerbato spod za dużej na niego czapki "Mavericks". Zbliżywszy się do barierki, Jace wychylił się i naciągnął chłopcu czapkę na oczy.

- Cześć kumplu. Mam wybić dziś którąś z tych piłek specjalnie dla ciebie?

Justin poprawił sobie czapkę i spojrzał na Jace'a, jak gdyby ten był Świętym Mikołajem.

- Zrobiłbyś to, wujku Jace? Ale by było fantastycznie!

- Spróbuję. - Jace obrócił się i wskazał na płot przy lewym polu. - Widzisz ten drogowskaz do Muzeum Studebakera? W to będę celował. - Spojrzał na Rebeke ciepłymi niebieskimi oczami. - A ty, piękna? Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić?

- Wróc z boiska w jednym kawałku - powiedziała, śmiejąc się.

- O, nie. Wiesz, że mam najlepszego fizykoterapeutę na świecie.

- Czyżby¹?

- Owszem. I wiesz co jeszcze? - spytał, prosząc by przechyliła się przez barierkę, by mógł szeptać jej do ucha. - Jest równie świetna w łóżku.

Rumieniec, który oblał policzki Rebeki, miał kolor róż na jej spódnicy.

- Powinnaś nosić kapelusz - zażartował Jace. - Bardzo gwałtownie się opalasz.

Mrugnął do niej, pomachał reszcie i pobiegł z powrotem.

- Też bym się zaróżowiła, gdybyszeptał mi do ucha słodkie bzdurki - powiedziała Dominika, zakładając nogę na nogę.

Miała na sobie żółta marynarkę, która wspaniale podkreślała jej ciemną karnację. Słomkowy kapeluszek chronił jej egzotyczne rysy przed południowym słońcem.

Rebeka wzadumie i z lekkim smutkiem patrzyła, jak Jace oddalał się w kierunku kolegów. Słodkie bzdurki nie były tym, co chciała od niego usłyszeć, a jednak to ona powstrzymywała go od powiedzenia tego, za czym tęskniło jej serce.

Od początku gry był to typowy baseball drużyny "Mavericks". Zawodnicy wpadali jeden na drugiego, upuszczając lecące piłki. Gracz na drugiej bazie rzucił piłką w widownię i trafił nią księdza. Wynik pod koniec pięciu i pół części był sześć do zera. Jace strzelił dwa razy, ale zamieszanie na bazie sprawiło, że jego wysiłki ani razu nie przyniosły punktu. Najbardziej rozrywkową częścią programu było obserwowanie doktora Merlina, gdy przyszedł kolej na strzał "Mavericks".

Jace założył robotowi ochraniacz klatki piersiowej i przykleił czapkę drużyny do jego żarówkowej głowy. Merlin brzęcząc podjechał do oznaczonego miejsca, w którym stał strzelający, przegonił stamtąd sędziego i łapiącego piłkę i zaczął czyścić oznaczony okrąg wmontowanym w ramię odkurzaczem, podczas gdy Jace spokojnie rozgrzewał się na boisku.

Publiczność śmiała się do łez, dopóki Jace w końcu nie stanął na swoim miejscu. Był jedynym atrakcyjnym graczem drużyny i nie zawiodł swoich fanów. Wystrzelił piłkę wysoko, dokładnie w kierunku drogowskazu do Muzeum Studebake-ra po lewej stronie boiska. Biegając wokół trzeciej bazy uśmiechnął się i pomachał do szalejącego Justina i Rebeki.

W trakcie szóstej części gracz na lewym skrzydle zaczął dmuchać w papierową torbę. Musiał być pod wpływem hipnotyzera, gdy strzelając z torby dał sygnał do biegu po zdobyciu punktu. Niedługo potem, Turk Lacey wywołany został z ławki rezerwowych by stanąć na miejscu rzucającego.

Po dwóch mistrzowskich uderzeniach trzy razy spudłował - raz trafiając w Merlina, co spowodowało, że robot zaczął migać światłami i kręcić się wokół własnej osi. Za szóstym

razem gracz oczekujący z kijem baseballowym musiał we własnej obronie uderzyć piłkę - prosto w Turka. Turk złapał ją, obrócił się i z niewiadomych przyczyn, odrzucił piłkę na trzecią bazę, trafiając Jace'a w głowę.

Rebeca serce podeszło do gardła gdy zobaczyła, że Jace pada jak podcięte drzewo. Zanim zdała sobie sprawę z tego co robi, była już za barierką i biegła w jego stronę. Przecisnęła się przez krąg graczy stojących wokół, którzy spoglądali to na Jace'a, to na Turka.

- Jace! - Nie bacząc na spódnicę, uklękła na ziemi tuż przy nim i zsunęła mu z głowy czapkę. Mocno czerwony ślad wskazywał miejsce na skroni, które uderzyła piłka. Cała wiedza medyczna, którą posiadała, uciekła jej z głowy. Mogła myśleć tylko o tym, że go kocha, a on leży nieprzytomny. Co będzie, jeśli nigdy się nie obudzi? Łzy napłynęły jej do oczu.

- Cholera, Turk - powiedział Jerome Tarvin ściągając czapkę i przejeżdżając palcami po nabrylantynowanych włosach - dlaczego musiałeś trafić jedyne go porządnego gracza jakiego mamy?

Gęste wąsy Turka drgnęły nerwowo.

Trener drużyny przyłączył się do grupy, podczas gdy doktor Cornish ukląkł przy Jace'ie.

- Co z nim, doktorze?

- Nie wiem. - Doktor zmierzył puls Jace'a i podniósł jedną z powiek, sprawdzając reakcję na światło. - Jace? Jace, słyszysz mnie?

Jace otworzył oczy, ale nie widział doktora zbyt wyraźnie.

- "Och, gdybym był rękawiczką na twojej dłoni, bym mógł dotykać twych policzków" - wyrecytował nienaturalnym głosem. - Czy tym razem powiedziałem to dobrze, pani Brutworg?

Doktor Cornish spojrział w górę na trenera.

- Zgłupiał.

Rebeka przygryzła wargę i pogłaskała Jace po włosach.

- Jace, kochanie, to ja, Rebeka.

- Beka - uśmiechnął się bezmyślnie, wciąż wpatrując się w doktora. - Czy pójdziesz ze mną na przechadzkę? >
*

Łzy płynęły jej z oczu, gdy nieśli go do holu i rozbieralni.

- Nic mi nie jest - protestował Jace, siadając na stole w pokoju trenera, znajdującym się pomiędzy rozbieralnią i prysznicami. Potrząsnął głową, żeby to udowodnić, po czym skrzywił się z bólu i objął ją rękami czując, że zaczyna pulsować.

- Gdzie jesteś? - spytał spokojnie doktor Cornish, sprawdzając jego refleks.

- W szatniach, w Mishawaka.

- Kto jesteś?

- Jace Cooper.

- Myślisz, że "Chicago Kings" spróbują zdobyć propozycję?

- Cóż...

- Przestańcie! - wrzasnęła Rebeka.

Obydwaj mężczyźni obrócili się w jej stronę, całkowicie zaskoczeni. Rebeka nigdy nie krzyczała. Nie pamiętała wcale swym życiu momentu, w którym byłaby do tego stopnia wytracona z równowagi. Aż do tej chwili.

Rzuciła w doktora Cornisha mokrym ręcznikiem.

- Jak pan może zadawać tak idiotyczne pytanie, gdy Jace mógł doznać wstrząsu mózgu? Co się z panem dzieje?

- Nic, Rebeko, jemu absolutnie nic nie będzie. - Doktor mówił do niej wolno i uważnie, obawiając się, że w takim stanie nerwów grozi jej atak szału przy lada prowokacji. - Nie ma śladu wstrząsu mózgu.

Jace wzrokiem wypchnął doktora za drzwi, gdy tymczasem Rebeka rozpłakała się głośno. Doktor wzruszył ramionami i czmychnął.

Wolno zsunąwszy się ze stołu, Jace wziął Rebeke delikatnie w ramiona. Wtuliła nos w jego brudną koszulkę i łkała.

- Przeraziłeś mnie śmiertelnie!

- Przepraszam, kochanie. - Pogłaskał ją po włosach.

- Dlaczego musiałam zakochać się w t o b i e ? - spytała ze złością. - Doprowadzasz mnie do szaleństwa. Ja nigdy nie szaleję.

- Nie, kochanie - wymamrotał, całując ją w ucho - ty nigdy nie szalejesz.

- Dlaczego musiałam zakochać się w mężczyźnie, który ma tak niebezpieczny zawód?

- Baseball nie jest niebezpieczny, najmilsza. To był nieszczęśliwy przypadek.

Spojrzała na niego bykiem.

- Ta drużyna jest nieszczęśliwym przypadkiem.

- Na ten temat nie będę się kłócić - powiedział Jace. - Z odrobiną szczęścia nie będę już grać w niej długo.

Rebeka jeszcze raz ułożyła głowę na jego ramieniu. Przez długą chwilę nic nie mówiła, słuchając wody kapiącej z pryszniców. Gdy w końcu się odezwała, powiedziała to, czego wcześniej nie chciała przed nim odsłonić.

- Tego też nie chcę - powiedziała cicho.

Jace cofnął się o krok i spojrzał na nią zaskoczony.

- Nie chcesz, żebym wrócił do "Chicago Kings"?

- Chcę, żebyś osiągnął sukces, Jace. Naprawdę tego chcę. Ale drugie ja mówi mi, że cię stracę. Boję się, że gdy wyjedziesz, zapomnisz o mnie. - Spuściła oczy, patrząc na napis na jego stroju, w którym brakowało litery. - Nie wiem, czy będę w stanie przejść przez to wszystko drugi raz, Jace.

- Spójrz na mnie, Beko. - Gdy nie podniosła głowy, potrząsnął nią. Przestraszona, spojrzała mu w oczy. - W żadnym razie mnie nie stracisz. Kocham cię. Poślubiłbym cię jutro, gdyby nie to, że moja kariera wisi na włosku, a ja nie mam grosza przy duszy. Powiedz słowo, a zaręczymy się tu i w tej chwili.

Ale Rebeka nie mogła powiedzieć słowa. Utknęło jej w gardle.

- Czego ty chcesz. Beko? - spytał ze zmęczeniem.

Wszystkiego. Niczego. Zamknęła oczy, czując się zagubiona. Nie miała chwili spokoju odkąd wrócił do Mishawa-

ka. Jej serce nie miało chwili odpoczynku odkąd opuściła ją siedem lat temu.

- Po prostu obejmij mnie - wyszeptała, a łzy znów zaczęły płynąć po jej policzkach.

Jace przeklinał siebie. Jakim był człowiekiem, zmuszając ją do decyzji w chwili, gdy czuła się przestraszona i słaba? "Przestraszonym i słabym" - pomyślał.

Obejmował ją długo, myśląc o tym, jak dobrze było trzymać ją w ramionach. Tak dobrze pasowała do niego, jak część, której brakowało w układance jego życia przez długi, długi czas. Ona bała się go stracić? Myśl o powrocie do życia, które prowadził bez niej, przerażała go.

Nie straci jej. Nie pozwoli, by to się stało teraz, gdy tak niewiele brakuje, by osiągnąć wszystko. Raz już o mały włos nie zniszczył swojego życia. Teraz przezwyciężył wszystko, co niszczyło jego wysiłki i ułożył swoje życie jeszcze raz, by tym razem już nie przegrać.

Pragnął tylko, by Rebeka to dostrzegła i uwierzyła w niego.

- Przepraszam, że rozkleiłam się tak przed tobą - powiedziała, podnosząc głowę z jego ramienia.

Jace uśmiechnął się do niej czule.

- Hej, nie ma o czym mówić. Nawet ty masz prawo dostać bzika od czasu do czasu, panno Dumna - i - Błada. Czuję się pochlebiony, że dostałaś bzika z mojego powodu.

Rebeka pociągnęła nosem i roześmiała się, a potem odgarnęła mu włosy ze stłuczonego czoła.

- Mówiąc o bziku. Jesteś pewien, że z tobą wszystko w porządku?

- Przez jakiś czas zapewne będzie mnie boleć głowa, ale obiecuję, że nie zacznę rozmawiać z pacynką ani nic w tym stylu.

- To dobrze. - Jej oczy znowu zaszkliły się od łez, gdy wyszeptała: - Kocham cię.

- Wiem. - Wiedział również, że najbliższa przyszłość nie zachwycała jej, ale przyrzekł sobie, że to się zmieni. Wygry-

wał wszystkie bitwy, które zaczął od momentu tamtej strasznej nocy w Chicago. Tę wygra więc także.

- Hej - powiedział Jace, rozglądając się po zagraconym pomieszczeniu z figlarnym uśmiechem, błędzącym na ustach
- robiłaś to kiedyś w szatni?

- Cooper! - krzyknęła Rebeka i czując bijące serce, cofnęła się w stronę stołu. - Zwariowałeś?

- Jak najbardziej. Na twoim punkcie. Jego ręce wyjmowały jej łososiową bluzkę ze spódnicy, gdy ustami łaskotał jej szyję. - Co o tym sądzisz? Masz ochotę na chwilę zapomnienia?

Pomysł był tak absurdalny, że aż wydal się jej pociągający. Rebeka nie była z tych nastolatek, które łapano na paleniu w toalecie albo na całowaniu się z chłopakiem w kinie. Pomysłała, że być może zabawnie byłoby zrobić coś, co normalnie uznaliby za zabronione. A Jace był dokładnie tym mężczyzną, z którym można było zrobić coś takiego.

Zawsze tęsknił za przygodą. Już dawno temu dał jej poczuć ten rodzaj przyjemności. Teraz proponował jej to znowu. Mimo to starała się zachować rozsądek.

- Myślę, że ta piłka pomieszała ci zmysły. Może powinniśmy wziąć cię do szpitala na badanie mózgu?

- Zapewniam cię, że jestem w pełni władz umysłowych. - Spojrzał na nią z pożądaniem i przycisnął do siebie. - I wszystko inne jest także w najlepszym porządku. Chcesz zobaczyć?

Rebeka rzuciła okiem na zamknięte drzwi i z powrotem na Jace'a. Przygryzając dolną wargę wyszeptwała:

- Może.

"Mavericks" przegrali grę dziesięć do trzech. W tym czasie wynik w szatni był remisowy - obydwaj gracze udałi się do domu z uśmiechem na twarzy.

Była niedziela. Padało. Rebeka nie mogła być szczęśliwa. "Mavericks" mieli zaplanowany na dzisiaj występ na własnym boisku przeciwko "Kenisha", ale żadna gra nie zostanie dziś rozegrana. Spojrzała przez okno na jednostajnie padający deszcz i uśmiechnęła się.

Justin, Hugh i Muriel spędzali popołudnie razem, najpierw idąc na film Disneya, a potem do "Kapitana Jacka" na pizzę i gry video. Rebeka wykręciła się mówiąc, że ma do zrobienia pracę biurową.

Było to kłamstwo. Papiery miały pozostać tam, gdzie były - na biurku w jej gabinecie. Miała szczerzy zamiar spędzić popołudnie, skupiając swą uwagę na Jace'ie. Nie widziała go przez dziesięć dni. Jego drużyna była na dłuższym wyjeździe, a tego wieczora kiedy wrócili, Rebeka była na kolejnym posiedzeniu władz szpitala. Obowiązki rozdzieliłyby ich przez następne kilka dni, gdyby nie ten deszcz.

Chodziła po pokoju zapalając świece, zdjęła kapę z łóżka. Czekała na dzwonek do drzwi, układała świeże owoce i rogaliki na małym stoliku, który nakryła przy oknie.

Zgrzyty i pobrzękiwania u drzwi zwróciły uwagę Rebeki. Wjechał Merlin, trzymając przed sobą tacę, na której leżał storczyk i stała butelka musującego jabłecznika. Śmiejąc się, przyjęła tacę i postawiła na stole obok reszty zastawy. Kiedy się odwróciła, maszyna błysnęła strumieniem kolorowych świateł. Zamigała, po czym ruszyła na Rebece z rozłożonymi metalowymi ramionami, jak gdyby chciała ją objąć.

- Nie, Merlin - rozkazała Rebeka, cofając się. Robot zbliżał się coraz szybciej, bez przeszkód sunąc po dywanie. Rebeka odskoczyła do tyłu, próbując nie wpaść w metalowe objęcia.

- Stój, Merlin, noga, Merlin? Merlin! Ach!

Jace wpadł do pokoju właśnie w chwili, gdy Rebeka upadła na łóżko.

- Merlin!

- Merlin? - spytała oburzona, odgarniając włosy z czoła. - A ja?

- Ty jesteś jedyna w swoim rodzaju, kochanie - powiedział Jace, otwierając klapę na plecach Merlina i wykonując szybką operację - ale Merlin jest prototypem.

- No proszę, jak miło - skomentowała kwaśno. Lampki robota zgasty i wydawało się, że westchnął i zasnął. - Myślałam, że usunęliście już wszystkie usterki w tym mechanicznym malkontencie.

- Zrobiliśmy to, Merlin był w szczytowej formie. Ty musiałaś go zepsuć.

- Ja? Nie prosiłam by napadał mnie ten komputerowy Casanova.

Jace podniósł głowę rozbawiony.

- Wygląda na to, że on zawsze dostaje zwarcia, gdy jesteś w pobliżu. Musisz mieć jakieś dziwne pole magnetyczne wokół siebie.

Zatrzasnął drzwiczki robota i opadł na łóżko obok Rebece. Oczy świeciły mu jak węgielki, gdy uśmiechnął się do niej ciepło.

- W każdym razie przyciągasz mnie.

Mruknęła na jego żart, ale przyjęła pocałunek zdziwiona nagłym dreszczem, który wciąż przenikał jej ciało pod wpływem jego dotyku.

- Cześć - wymruczał, głaszcząc ją po policzku.

- Cześć - wyszeptała.

- Tęskniłem za tobą.

- Tęskniłam za tobą. Jak udało ci się wejść? Drzwi były zamknięte.

- Rozpracowałem system alarmowy.

Rebeka zrobiła głupią minę.

- Ja nie mogę wejść nawet z kluczem.

- Sądzę, że mam po prostu magiczne palce - powiedział Jace, ślizgając się czubkami tychże po gładkiej skórze jej szyi. Zamruczał z zadowoleniem czując dreszcz, który przebiegł przez jej ciało.

- O to nie będę się kłócić - przyznała Rebeka, poddając się jego pieścizdom. - Nie mogę wpaść na bardziej logiczne wyjaśnienie wpływu, który masz na mnie.

Poddając się pocałunkowi, Rebeka spojrzała na Merlina stojącego przy łóżku, który wydawał się wpatrywać w nią swoimi kablowymi oczami w żarówkowej głowie. Pocałunek Jace'a ześliznął się po jej szyi, gdy odwróciła się w kierunku robota.

- Hmm, Jace? Czy mógłbyś wyjechać nim do holu, co? Wolałabym nie mieć widzów.

- Kochanie - powiedział Jace, wzdychając z frustracją - to jest maszyna, która, w przeciwieństwie do mnie, nie jest w tej chwili włączona.

Rebeka wygięła usta w dziobek, patrząc na robota.

- Wciąż tak samo...

- Myśl o nim jak o odkurzaczu.

- Odkurzacze się nie gapią.

Jace zachichotał, przewracając się na plecy i podniósł pilota, którego wcześniej rzucił na łóżko. Naciskając kilka guzików ożywił Merlina i wyprowadził do holu, nakazując mu nawet zamknąć za sobą drzwi.

- Już - powiedział. - Usatysfakcjonowana?

Jace ułożył się na łóżku obok niej.

-Ja nie.

Pomrukując zachęcająco przetoczył się po materacu z Rebeką w ramionach, łaskocząc ją po żebrach. Potem ostrożnie położył się na niej i dotknął jej ust w długim pocałunku, który wynagrodzić miał za wszystkie utracone, z powodu jego nieobecności. Od nowa odkrywał kształt i miękkość jej ust. Leniwie zapuścił język w ciepło jej ust smakując je i zapraszając, by i ona zasmakowała jego. Gdy w końcu

lekką uniosł głowę, obydwoje uśmiechali się, jak koty nasycone miseczką mleka.

- Jak się miewałaś? - spytał miękko, muskając jej wargi. - Oprócz nieznośnej tęsknoty za mną.

- W porządku.

- Jak Justin?

- Szaleje ze Sparkim - powiedziała, mając na myśli mechanicznego psa. - Mówi, że Sparki jest nawet lepszy, niż prawdziwy pies, bo nie ma pcheł.

Jace poczuł ciepło na sercu na myśl, że uszczęśliwił chłopca. Nie mógł doczekać się dnia, gdy Justin nazwie go tatą, zamiast wujkiem Jace'm. Było zaskakujące w jaki sposób jeden piegowaty sześciolatek umiał wyzwolić w nim ojcowskie uczucia, z których istnienia nawet nie zdawał sobie sprawy.

- Jak ty się miewałeś? - spytała Rebeka. - Jak kolano?

- W porządku. Właściwie świetnie. Żadnych problemów przy obronie czy biegu na bazę. Drużyna przegrała pięć do siedmiu, ale ja mam bardzo dobry bilans strzałów. Mój agent powiedział mi o pogłoskach, które dotarły do niego z kierownictwa "Chicago Kings". Mają napięty plan rozgrywek przed mistrzostwami ich kategorii...

Zimny dreszcz przeszył Rebece, gdy usłyszała jak Jace wspomina o głównej lidze. Śledziła w dziale sportowym raporty z ostatnich wyjazdowych występów "Mavericks", czytając wszystko co dotyczyło postępów Jace'a. Słyszając co mówi o sobie, słyszając podniecenie w jego głosie, gdy wspomina o możliwości powrotu do ligi, coraz bardziej zdawała sobie sprawę, że Jace nie pozostanie w "Mavericks" na zawsze.

Zgodnie z opinią lokalnych ekspertów, nie mogło być inaczej, wróci do Chicago, ponieważ jego dawna drużyna walczy o mistrzostwo ligi. Z powrotem do Chicago i do środowiska, które doprowadziło go do zrujnowania sobie życia, z powrotem do zajęcia, które odebrało go jej siedem lat temu.

"Nie - pomyślała Rebeka - to dopiero przyszłość, a ja obiecałam sobie, że nic nie zepsuje tego popołudnia we dwoje".

Zmusiła się do uśmiechu i przyłożyła palec do jego ust.

- Dosyć tych plotek na dzisiaj. Przygotowałam dla nas wspaniałą przekąskę i, szczerze mówiąc, umieram z głodu.

- Ja też - powiedział Jace poważnie, zbliżając usta do jej ust. - Jestem tak głodny ciebie, że nie mogę myśleć.

Bywały czasy, gdy lubił wyjazdy z drużyną, nowe wrażenia, nowe twarze, ale teraz podróże straciły dla niego swój urok. Z każdym wyjazdem tęsknota za domem - domem z Rebeką i Justinem - stawała się silniejsza. Za każdym razem noce wydawały się dłuższe, gdy leżał nie mogąc usnąć, pragnąc przytulić kobietę, którą kochał.

Przekąska stała zapomniana, podczas gdy Jace rozpiął guziki zielonej bluzki Rebeki. Zdjął ją i rozpiął z przodu haftkę koronkowego stanika, obnażając jej piersi pod swym pełnym miłości spojrzeniem. Zadrżała, gdy poczuła jak jego usta miękko zamykają się na jednej z sutek.

Czuła się jakby nie dotykał jej od wieków. Ciało łaknęło go jak kwiat łaknie światła i wody. Wydawało się jej, że dzięki jego rękom i ustom wraca do życia, po uśpieniu w jakieś zapadła podczas jego nieobecności. Fala gorącego dreszczu powróciła gdy ją rozbierał.

Tak samno gotowa dawać jak brać, odwzajemniła mu się. Zdjęła jego koszulę i przeciągnęła rękami po jędrnym, atletycznym ciele, które kochała. Zamykając się na wszystko prócz tego mężczyzny i tej chwili, chętnie uległa podnieceniu. Gdy razem uklękli na łóżku, przejechała ustami po jego piersi, całując, smakując, drażniąc językiem twarde ciało jego sutek.

Jace uwalniając się z dżinsów i slipów westchnął, gdy jego najbardziej wrażliwe ciało otarło się o miękkość Rebeki. Potem jej ręka zamknęła się na nim, głaszcząc, drażniąc, kusząc, prowadząc. Wsunęła go między nogi i potarła o siebie,

zapraszając by zrobił ostatni krok i połączył ich w akcie miłości.

- Beko, kocham cię - wyszeptał, zniżając się razem z nią na materac i wchodząc w jej zapraszające ciało.

Rebeka wygięła się, by go przyjąć. Słowa miłości były tak głęboko wryte w jej duszy, że nie potrafiła ich wypowiedzieć, czuła je tylko. Chciała by Jace też ją poczuł, poprzez jej ruchy, poprzez jej dotyk. Odnalazła go, związała się z nim na płaszczyźnie, na której nie istniały słowa.

Ich kochanie zdawało się trwać wiecznie. A gdy nadszedł koniec, trwał i trwał, niosąc ich obydwójce na fali rozkoszy. Potem łagodnie opadli z wyżyn, w które uniosła ich miłość. Przez długi czas leżeli w swoich ramionach, zupełnie cicho.

- Może byśmy zajęli się przekąską? - spytała Rebeka, podnosząc się z łóżka i wślizgując w Jace'a koszulę, która sięgała jej do ud. Uśmiechnęła się rozmarzona, gdy podniosła kołnierz i poczuła czysty męski zapach.

Jace wstał i założył dzinsy. W skupieniu patrzył na Rebece. Czuł, że serce ma w gardle.

- Może byśmy się zaręczyli?

Ręka Rebeki zatrzymała się na butelce jabłecznika. Po zornie pozostała spokojna, ale wewnątrz niej trwała walka uczuć, z których najmocniejszym był strach. Wydawało się, że rozmowa, której najbardziej się obawiała, rozmowa o ich przyszłości, zbliżała się nieubłaganie i Rebeka miała uczucie, że tym razem Jace nie pozwoli jej zmienić tematu.

Bawiąc się korkiem od butelki zgodnie z prawdą powiedziała:

- Sądziłam, że teraz będziesz musiał skoncentrować się na swojej grze.

Jace uświadamiał sobie, że wstrzymywał oddech aż do chwili, gdy poczuł ból w płucach. Odetchnął i teraz poczuł, że brakuje mu papierosa. Dziwne, ale przeczuwał, że Rebeka nie będzie zachwycona jego propozycją. Wciąż ta sama reakcja - czy też jej brak - bolał.

Spróbował zapomnieć o tym, odpowiadając jej:

- Będę mógł lepiej się koncentrować wiedząc, że czekasz na mnie tutaj.

Nie odwracając się do niego, pochyliła głowę, jakby w geście rezygnacji. Jej spojrzenie spoczęło na delikatnych, błękitnych kwiatach, które jej przesłał.

- Wiesz, że zawsze będę tutaj czekać na ciebie, Jace.

Jej głos niski i pełen zniechęcenia, mówił mu, że nie chciała być postawiona przed koniecznością podjęcia decyzji, Gdzieś głęboko zakiełkował w nim gniew. Czy kochać go było dla niej taką udręką? Czy musiało to naprawdę brzmieć, jak wyrok dożywocia bez nadziei na ułaskawienie?

- Będziesz czekała - powiedział ostro - ale nie wiesz, czy wrócę. Czy o to ci chodzi?

"W skrócie można to tak nazwać" - pomyślała Rebeka.

Poczuła winę i wstyd niczym dwa batyna swoim ciele. Jace tak bardzo starał się zmienić. Widziała wysiłek i rezultaty, ale nie mogła otrząsnąć się ze strachu, że wszystko to było częścią powypadkowego szoku i poczucia winy wobec Casey'a Mercera. Czas pokaże, jak będzie naprawdę, ale Jace prosił ją o skrócenie tego czasu do zera.

Obróciła się do niego, z bólem spostrzegając oskarżenie w jego oczach.

- Po prostu myślę, że masz w tej chwili wystarczająco dużo obowiązków, nawet bez czynienia mi obietnic.

- Obietnic, w których dotrzymanie nie wierzysz - powiedział ze złością. Oparł jedną rękę na biodrze, drugą nerwowo przeciągnął po włosach. - Do licha, co ja mam zrobić Beko, żebyś mi uwierzyła? Zmieniłem się. Pokazałem ci jak. Pokazałem ci dlaczego. Przez ile jeszcze obręczy mam przeskoczyć?

- Wiem, że się zmieniłeś. Wiem dlaczego. Podziwiam twoją lojalność w stosunku do Casey'a. Jace, ale nie chcę zastanawiać się, czy nie jestem częścią twojej kary.

- A co to ma znowu znaczyć?

Zamknęła oczy i wyszeptała:

- Nic.

- Nie - nalegał, przyjąwszy wojowniczą postawę. - To ty masz nieprzeciętny współczynnik inteligencji i skończyłaś college. Wyjaśnił mi to.

Rebeka wzięła głęboki oddech i wolno wypuściła powietrze. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Patrząc na jego smutek, czuła jego obronną postawę i jego zranione uczucia.

- Przeżyłeś straszne doświadczenie, teraz odreagowujesz na nie. Powiedziałeś mi, że coś dobrego musi wyniknąć z tego, co stało się z Casey'em. Być może, w tej chwili wydaje ci się, że to coś, to małżeństwo i rodzina.

Jego opinia na temat tej teorii ujawniła się w strumieniu zmiętych przekleństw.

- Co za bzdura, Kocham cię, Beko. To, że moje priorytety zmieniły się po wypadku, nie czyni ich jeszcze fałszywymi.

- Nie powiedziałam, że są fałszywe. Po prostu myślę, że powinieneś dać sobie trochę czasu. Wydostałeś się ze środowiska, które wywierało na ciebie taką presję, że o mało nie zniszczyło ci życia. Co się stanie gdy tam wrócisz? Będą ci stawiane wymagania większe niż kiedykolwiek, Jace. Nie tylko te dotyczące gry i statusu gwiazdy, ale także te, które ty sam nałożysz na siebie.

Zaczął chodzić wzdłuż nie pościelonego łóżka, cicho stawiając bose stopy na niebieskim dywaniku. Chciał w coś uderzyć albo uciec, ale czas na ucieczki się skończył. Gdzieś głęboko w nim było to ssące uczucie poniesionej klęski. Trzymając na wodzy swoje obawy, zatrzymał się i spojrzał na Rebekeę.

- Uważasz, że się pod tym ugnę? - powiedział chłodno. Jedna z jego ciemnych brwi uniosła się w sarkastycznym pytaniu. - Sądzisz, że pojedę do Chicago, wychylę kilka kufelków i ruszę w miasto, żeby przepuścić wypłatę na koniach, tak?

Rebeka potarła dłonią czoło, czując nagły ból głowy. Nie chciała podkopać jego wiary w siebie. Chciała tylko, żeby za-

uważył, że potrzebna jest ostrożność. I, tak, do kroćset, chciała obrony dla siebie.

- Ja tylko... - przerwała i potrząsnęła głową, czując ogarniające ją zmęczenie. - Nie chcę teraz od ciebie obietnic, Jacce.

Zamknął dzielący ich dystans trzema szybkimi krokami. Jego twarz była o centymetr od jej, wystarczająco blisko, by mogła w niej widzieć ból i furję.

- Cóż, być może ty nie chcesz obietnic, ale ja muszę je uczynić. Czy możesz to zrozumieć? Muszę obiecać ci, że wrócę. Muszę czuć, żerni wierzysz. Chciałaś jakiegoś dowodu na to, że wrócę, a więc teraz go oferuję. Ty jednak jesteś tą, która nie chce utwierdzenia tego związku.

Cofnął się i znowu zaczął przechadzać się nerwowo, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Jego głos wibrował ledwo powstrzymaną emocją.

- Gdybyś miała pojęcie o tym, jakie piekło przeszedłem, próbując rozpocząć całe moje śmierdzące życie na nowo, zrozumiałabyś, że przydałaby mi się odrobina poparcia. Nie sądzę, że proszę o zbyt wiele chcąc, żeby kobieta, którą kocham miała odrobinę wiary we mnie.

- Ja mam.

Zatrzymał się i posłał jej niedowierzające spojrzenie, które ją zmroziło.

- Nie, nie masz. Wiem, że kiedyś cię zraniłem. Było to siedem lat temu, Rebeko. Byliśmy więcej niż dziećmi. Wiem, że popełniłem błąd. Jak długo będę jeszcze musiał za niego płacić? Jesteś sędzią i prokuratorem. Powiedz mi, jaki jest wyrok za popełnienie błędu?

Silne uczucie *déjà vu* było jak ukłucie igłą. Siedem lat temu, jej siostra użyła prawie tych samych słów, gdy dyskutowały na temat braku odpowiedzialności Ellen.

Rebeka próbowała przekonać siebie, że nie poddawała Jace'a ocenie, że była tylko ostrożna.

- Co się stało, Beko? Czy twój umysł nie ma przygotowanych praktycznych wskazówek na wypadek obrazy? - spytał

sarkastycznie. - Czy dostają kredyt na czas już zaproponowany? Czy ma jakieś znaczenie to, że cię kocham, że chcę spędzić z tobą życie? Czy też masz zamiar uświadamiać mi do końca życia, że nie zawsze byłem tak dojrzały i odpowiedzialny jak ty?

- Nie usiłuję ci niczego uświadomić - zaprzeczyła miękko, patrząc na swoje złożone ręce, gdy łzy wezbrały w jej oczach. Jace zaśmiał się szyderczo.

- Do diabła, masz rację.

- Mówisz tak, jak gdybym nie miała do tego prawa! - wyrzuciła z siebie zdesperowana. - Złamałeś mi serce! Dla ciebie to może być po prostu pomyłka, ale dla mnie to coś znacznie więcej. Czy możesz wiedzieć, jak długo cierpiałam po tym, jak odjechałeś?

Powoli opanowała się, gdy postawione pytanie zawisło w powietrzu między nimi. Stała bokiem, trzęsącymi rękami odgarniając włosy.

- Tak, boję się, żeby nie stało się to znowu. Nie sądzę, że mogłabym jeszcze raz przez to przejść.

- Nie będziesz musiała - powiedział cicho Jace.

Nigdy nie chciał, żeby ta rozmowa przekształciła się w walkę. Ostatnią rzeczą, której pragnął było przywołanie przeszłości i zranienie Rebekijeszcze raz. Chciał, żeby przeszłość pozostała za nimi, ale okazało się, że nie był w stanie po prostu zamknąć za nią drzwi. Ona na to nie pozwalała.

- Zaufaj mi Rebeko. Pozwól mi, bym ci to obiecał.

To była prosta prośba, a jednak żądał zbyt wiele. Jace widział tę obietnicę jako więzy, które będą ich łączyły, nawet podczas jego nieobecności. Dla Rebeki była to nić, która łatwo mogła być zerwana, gdy tylko rozpocznie się na nowo jego kariera.

"To jest różnica punktów widzenia - pomyślała smutno. - Różnica, której nie można zlikwidować. Dlaczego nie mógł po prostu zostawić przyszłości własnemu biegowi? Mogłoby przecież pozostać między nami tak, jak dotąd, bez żadnych deklaracji".

Westchnęła znużona.

- Jeszcze nie zaangażowali cię z powrotem. Możliwe, że kłócimy się bez przyczyny.

- Nie, Beko - odrzekł smutnie. - Wiara we mnie nie może być warunkowa. Muszę mieć twoje zaufanie, czy zostanę tutaj, czy wrócę do "Chicago Kings". Miłość nie może mieć nałożonych tego rodzaju ograniczeń i ciągle nazywać się miłością. Być może według ciebie nielogicznym byłoby ufać mi, ale nie możesz kochać mnie, jeśli tego nie uczynisz.

Cisza między nimi gęstniała, a Jace czekał na jakikolwiek komentarz. Jedynym odgłosem pozostało jednostajne bębnienie deszczu o szyby. Gdzieś w oddali zagrzmiało.

- Może po prostu mnie nie kochasz i niepotrzebnie robię z siebie głupka.

Przestraszone spojrzenie Rebeki napotkało oczy Jace'a, gdy pospieszyła z zapewnieniem.

- Naprawdę cię kocham, Jace, tylko...

- Nie, żadnych modyfikacji, żadnej prowizorki. Albo innie kochasz i mi wierzysz, albo nie. Być może powinnaś mieć trochę czasu, żeby o tym pomyśleć - dodał, podchodząc do drzwi. Zatrzymał się z ręką na klamce i odwrócił, żeby spojrzeć na Rebeke. - Powiedz mi, jeśli się zdecydujesz, że chcesz dać mi szansę. Będę w pobliżu. Obiecuję ci to, Beko.

Rebeka wolała raczej zamknąć oczy niż patrzeć, jak wychodził. Ból narastał i rozlewał się w niej jak fala powodzi. Chciała przywołać go z powrotem, ale słowa nie chciały się uformować. Gdy usłyszała przytłumiony dźwięk zamykanych drzwi, otworzyła oczy w milczeniu patrząc, jak przez zmoczone deszczem podwórko wolno szedł Jace, bez koszuli, z rękami w kieszeniach swoich znoszonych dżinsów. Potem zniknął w drzwiach brązowego domu po drugiej stronie alei, zostawiając trzy rude koty siedzące bezradnie na ganku.

Odszedł. Smutek w niej był jak zimna, głucha otchłań. Trzęsąc się z chłodu, otuliła się mocniej koszulą i rozpłakała.

Słowa artykułu na temat hydroterapii zaczęły rozmazywać się przed jej oczami. Rebeka oparła się o poręcz krzesła, odkładając na biurko okulary i przetarła oczy, nie zważając, co zostało z jej makijażu. Błat biurka niemal w całości przykryty był aktami i raportami o przebiegu terapii.

Duża ich część, to materiały do przywidywanej rozbudowy oddziału.

Griffith Saunders przyrzekł jej, że użyje wszystkich swoich wpływów głównego administratora, żeby przekonać radę do podjęcia ostatecznej decyzji jeszcze w tym miesiącu. Rebeka miała spotkać się z nim tego popołudnia, żeby przedyskutować różne warianty. Powinna przygotować się do finałowej rozgrywki tak, aby uzyskać ulepszenia, które wydały jej się konieczne, ale nie mogła się skoncentrować.

Potrafiła myśleć tylko o Jace'ie. Nie widziała go przez wiele dni. Tęskniła za nim. Wciąż spędzał czas z Justinem i HuglTiem, ale udawało mu się unikać kontaktu z nią. Wiedziała, że był wierny swojemu słowu, dając jej czas na myślenie, ale ono pozostawało w tyle za tęsknotą i smutkiem.

Wiele wskazywało na to, że ich separacja raniła również Jace'a. Ojciec nie powiedział jej wprost tego wprost, ale robił mnóstwo niezbyt subtelnych aluzji. Mruczenie pod nosem i charakterystyczne poruszanie wąsami było klasycznym sygnałem złego humoru w stosunku do kogoś z rodziny. Ostre spojrzenia, które rzucał Rebecce, dawały do zrozumienia, że ona była powodem wszystkiego.

Właśnie tego ranka przy śniadaniu wyskoczył z komentarzem, który mógłby się wydawać pozbawiony sensu, gdyby jego uczucia w stosunku do Jace'a nie były tak jasne.

- Jak na kogoś tak inteligentnego, możesz być tak okropnie głupia?

Gdy poprosiła o wyjaśnienie, wszystko co otrzymała to więcej mruczenia i poruszania wąsami. Przy tak wzburzonych uczuciach, jakie miała w tej chwili, takie aluzje były gorsze niż cały wykład.

Justin pogorszył jeszcze sytuację, gdy wszedł do kuchni ze skrzywioną miną. Poprzedniego wieczora Rebeka powiedziała mu, że planowana na sobotę wyprawa do Muzeum Dziecięcego odbędzie się bez udziału Jace'a.

Patrzył na nią z żalem w swoich niebieskich oczach i na zmarszczonym piegopatym czole.

- My już wogóle nie robimy nic razem z wujkiem Jace'em. Dlaczego jesteś taka okrutna?

- Nie jestem okrutna, kochanie...

- Właśnie, że tak! Chciałem, żeby wujek Jace był dla mnie tata, a ty trzymasz go od nas z daleka!

Więc to był powód wszystkiego. Myśląc o tym teraz, Rebeka nie mogła powstrzymać przyływu niechęci do Jace'a. Najbardziej bała się tego, aby Justin za bardzo nie przywiązał się do niego i nie doznał zawodu, gdy ich związek się skończy.

Ale tak naprawdę, nie była to przecież wina Jace'a. Głos sprawiedliwości odezwał się w niej; ponieważ nigdy nie lubiła kłamać, również teraz musiała sobie odpowiedzieć uczciwie. Nie. Na razie winna była ona. Jace jeszcze nie wyjechał z Mishawaka. Nie złamał jeszcze żadnej obietnicy.

Nie dostrzegał jednak tego, że przecież robiła mu przysługę, nie pozwalając czynić obietnic przed powrotem do Chicago. Nie chciała zwiększać wymagań, którym miał sprostać. Nie chciała też, przyznała przed sobą niechętnie, zwiększać swoich nadziei.

Wiedziała bowiem, że im były one większe, tym więcej przysparzałyby bólu, zniszczone przez nieuchronną kolej rzeczy.

Teraz, nieobecna myślami, bujała się na krześle przy swoim biurku, zadając sobie dziesiątki pytań. Czy Jace prosił ją o zbyt wiele, czy to ona skłonna była dać zbyt mało? Czy

wciąż jeszcze karała go za to, że nie był doskonałym amerykańskim gwiazdorem? Czy wciąż karała go za to, że złamała jej serce?

Wszyscy popełnili błędy, większość z nich zasługiwała na wybaczenie. Chciała wybaczyć mu, ale jej serce nie umiało zapomnieć. Wciąż szeptało w niej: - A co będzie, jeśli zaufa Jace'owi, a on znowu ją zawiedzie?

A co stanie się, jeśli mu nie zaufa?

To pytanie przywiodło jej na myśl wydarzenia ostatnich tygodni. Spojrzała przez okno swojego gabinetu na salę ćwiczeniową. Jace ciężko pracował, żeby wyjść z kontuzji, bez narzekania, bez skargi na to, co mu się przydarzyło. Pomagał i zachęcał innych. Nie był zepsutą gwiazdą. Nie był zgrabnym, uśmiechniętym playboyem, który siedem lat temu oczarowała ją i sprawił, że zakochała się w nim. Jego troska i współczucie były szczere.

Tak jak było to tamtej nocy, gdy powiedziała mu o prawdziwych rodzicach Justina. Był tak wyrozumiały, tak czuły.

Przywołała w pamięci wszystkie chwile, które spędzał z Justinem, czas, który nie uległ ograniczeniu po tym, jak dowiedział się, że chłopiec nie jest jego synem. Myślała o wszystkich, z cierpliwością prowadzonych lekcjach baseballa. Myślała o mechanicznym psie, którego skonstruował dla Justina, gdy okazało się, że nie może mieć żywego zwierzątka.

Zamknęła oczy i wspomniała tamtą noc na parkingu przy "Kapitanie Jacku". Wciąż słyszała, jak ze ściśniętym gardłem wyznawał jej, że nie tknął alkoholu przez cztery miesiące. Czuła jeszcze jego niepewność, strach i determinację, żeby nie ulec pokusie.

Potrafiła wyobrazić go sobie stojącego przy szpitalnym łóżku Caseya Mercera - złamanego, oskarżającego i karającego się. Słyszała smutek w jego głosie, gdy mówił, że nigdy nie chciał nikogo skrzywdzić. Wciąż jeszcze czuła jego łzy na swoim ramieniu.

Jace Cooper, którego znała dawniej, nie próbowałby naprawiać swoich win i błędowi nie przyjąłby odpowiedzialno-

ści za to, że młodszy kolega idealizował złe cechy swojego bohatera. Jace dojrzał i spoważniał. Ciężko walczył o to, żeby się zmienić". Nie była fair w stosunku do niego twierdząc, że zmiany te były tylko tymczasowe. Było naturalne, że pragnęła obrony dla siebie, ale w ten sposób raniła Jace'a. Zmiany w swoim życiu wprowadził na długiej drodze wyrzeczeń, drodze, którą przybywał z trudnością - sam.

Czy to zbyt wiele aby pragnąć, by kobieta, którą kochał miała odrobinę wiary w niego?

Gdy wróci do Chicago, jego fani, przyjaciele, prasa będą oczekiwać starego Jace'a - playboya, ryzykanta, gwiazdora. Zarząd drużyny będzie obserwować go "pod mikroskopem", wymagając perfekcji, czyhając na najdrobniejszy błąd. Będą komentować każdy jego krok.

A on będzie sam.

Potrzebował jej wsparcia. Potrzebował jej miłości. Potrzebował jej przyjaźni.

- Ktoś zostawił to dla ciebie w recepcji - powiedziała Dominika, wchodząc do biura. Siadając naprzeciwko przyjaciółki podała Rebecę kopertę zaadresowaną do niej.

W środku nie było żadnego listu, tylko zdjęcie. Rebeka upuściła kopertę na biurko, wpatrując się w nie. Na zdjęciu był strumień wśród drzew i łąka o zachodzie słońca. Mogło zostać zrobione poprzedniego dnia lub wiele lat wcześniej - nie można było tego ocenić. Być może uczucie ponadczasowości najbardziej uderzyło ją w tym obrazie. To było miejsce, którego spokoju codzienne życie nie mogło zakłócić, miejsce przeznaczone dla wspomnień. I niekontrolowane wspomnienia zaczęły przepływać przez umysł i serce Rebeki.

W tym miejscu młoda dziewczyna zawierzyła jedynej osobie, która kiedykolwiek ją rozumiała. W tym miejscu zapuściła korzenie przyjaźni. W tym miejscu zakochała się. W tym miejscu stała się kobietą. Tutaj zaledwie kilka tygodniu temu, miłość zakwitła na nowo.

Jej ręka zaczęła drżeć i Rebeka odwróciła fotografię, żeby ją odłożyć. Na drugiej stronie napisane były słowa, które, jak rozpoznawała, pochodziły z Biblii.

"Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma".

- To wygląda na bardzo szczególne miejsce - powiedziała miękko Dominika.

Nie ufając swojemu głosowi Rebeka skinęła głową. To było bardzo specjalne miejsce, które dzieliła z bardzo specjalnym przyjacielem, przyjacielem, który prosiłbymu uwierzyła.

- Ja naprawdę go kocham - wyszeptała, powstrzymując łzy.

- Wiem - Dominika uśmiechnęła się smutno, potem wstała i podeszła do drzwi. W jej hebanowych oczach świeciło współczucie. - To nie zawsze jest najłatwiejsze, prawda?

"Nie - myślała Rebeka patrząc za odchodzącą przyjaciółką - czasem nic w miłości nie jest proste. Miłość umie być najbardziej skomplikowanym z uczuć. Ryzyko jest zawsze największe, nagroda wspaniała, ale nie można wygrać bez postawienia wszystkiego na jedną kartę".

Serce, raz zranione, mogło być samolubne, podejrzliwe. Ale Jace miał rację, nie mogło być żadnych warunków, żadnych ograniczeń w miłości. Musiała być zdolna uwierzyć w niego całym sercem. Musiała być gotowa oddać mu wszystko, albo uczucie, które mu wyznała, nie znaczyło nic.

Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek kochała. Był jedynym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek pokocha tak mocno. Był tym, który sprawiał, że czuła się prawdziwie kobietą. Był jedyną osobą, która znał jej duszę do samego dna.

Patrząc przez okno obserwowała, jak Dominika usiłuje przybliżyć sztukę poruszania się o kulach niedzielnemu sportowcowi, który uszkodził sobie kostkę, grając w piłkę nożną.

Bob Wilkes pracował z ciężarkami. Jego twarz była skupiona i lśniąca potem. Przez otwarte drzwi słyszała mono-

tonne skrzywienie sprężyn. Nagle przerwał rutynowe ruchy i zdjął z uszu słuchawki małego przenośnego radjka.

- Hej! Słuchajcie wszyscy! Super Cooper został powołany do Chicago! Właśnie podali to w radiu. Ma dzisiaj dołączyć do drużyny.

Podczas gdy po sali przeszedł szmer zadowolenia, Rebeka zeszytywniała na swoim krześle. Potem chwyciła za telefon. Nie panując nad sobą, wykręciła numer Muriel. Musiała złapać Jace'a zanim wyjedzie. Musiała powiedzieć mu, że podjęła decyzję,. Ale po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Zadzwońiła do domu, znów z tym samym skutkiem. Chwyciwszy za torebkę i zdjęcie leżące na biurku, wypadła z biura.

- Dominiko - krzyknęła - musisz mnie zastąpić, proszę. Ja muszę wyjść.

Dominika wyglądała na zszokowaną. Rebeka nigdy nie prosiła nikogo o taką przysługę.

- A co ze spotkaniem z panem Saundersem?

- Będzie musiało poczekać - powiedziała Rebeka, biegnąc do drzwi. - To jest ważniejsze.

Przyjaciółka uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Powodzenia.

Wszędzie dokąd Rebeka dotarła, była w sekundę po Jace'ie. Nikt, z kim rozmawiała, nie umiał powiedzieć jej dokładnie gdzie jest, dopóki nie złapała na boisku Turka Lacey. Z Turka, jak zwykle, trudno było coś wyciągnąć, ale pan Pepi powiedział jej, że Jace pojechał na dworzec autobusowy.

Jadąc na drugi koniec miasta, Rebeka przeklinała ograniczenie prędkości, zbyt szybko biegnący czas i samą siebie. Dlaczego tak cholernie dużo czasu potrzebowała na to, żeby zobaczyć to, co powinno być oczywiste od samego początku? Ten Jace, który umiał zranić ją siedem lat temu, już nie istniał! Ostre krawędzie i tandetny blask jego młodości zużył się z czasem, pozostawiając nietknięte wszystkie cechy, dla których zakochała się w nim. Jace Cooper, który powrócił do Mishawaka był dobrym, czułym człowiekiem. Był człowie-

kiem, który popełniał błędy, ale wart był uzyskania przebaczenia... i umocnienia... i miłości.

Zatrzymała się na kolejnym czerwonym świetle, czując, że wpada w panikę. Musi złapać Jace'a zanim ten wyjedzie. Musi powiedzieć mu, zanim wróci do Chicago, że go kocha, że w niego wierzy.

Zostawiła hondę na parkingu przy dworcu, potem przez kilka chwil walczyła z kluczykami usiłując wyciągnąć je ze stacyjki. W końcu dała za wygraną, wołąc żeby raczej ukradli jej samochód, niż nie spotkała się z Jaceem. Biegając po asfalcie złamała obcas w jednym z pantofli, ale nawet nie zwołała.

Wewnątrz budynku przeleciała oczami po zebranych. Nie było śladu Jace'a. Starsza pani siedziała na jednym z zielonych plastikowych krzeseł i robiła na drutach. Kilka miejsc dalej młoda matka wachlowała gazetą siebie i swoje dziecko. Grupa podejrzanych mężczyzn stała wokół budki z papierosami, a dwóch wyrostków z tornistrami rzuconymi pod nogi grało na automatach.

Serce Rebeki biło jak gong. Spóźniła się. Żeby potwierdzić swoje obawy, spytała mężczyzny w kasie o autobus do Chicago. Poinformował ją, że ten o drugiej trzydzieści już odjechał, a następny będzie dopiero o szóstej piętnaście. Spóźniła się nie więcej niż o pięć minut.

"Teraz wiem, jak czuje się balon, gdy nagle spuści się z niego powietrze" - myślała, wolno jadąc do domu. Łzy spływały jej po policzkach, ale nie zwracała na nie uwagi. Czuła się pusta i wysuszona na popiół. Winna, bo nie dotarła do Jace'a wcześniej, smutna, bo on nie przyszedł się z nią pożegnać.

Bez obcasa w jednym bucie, doszła kulejąc do tylnych drzwi swojego domu. Nie zdziwiło ją, że nie mogła dostać się do środka. W domu nikogo nie było, a system bezpieczeństwa odmawiał wpuszczenia jej, brzęcząc z rozdrażnieniem, gdy po raz kolejny usiłowała wprowadzić właściwy kod. Gdy w końcu płacząc usiadła na schodkach, czuła całkowitą kłę-

skę. Nie tylko unicestwiła swoją szansę z Jace'em, ale nawet nie potrafiła wejść do własnego domu. Ojciec był na nią zły, jej syn uważał ją za okrutną. Zaniebrywała swoje obowiązki w szpitalu i zniszczyła swoją najlepszą parę butów.

Pociągając nosem, oparła się o drzwi, podkurczyła kolana i obciągnęła spódniczkę. Potem sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej zdjęcie, które przesłał jej Jace.

"Miłość wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystko przetrzyma."

Być może w ten sposób żegnał się z nią. Chciał, by pamiętała o nim i o wszystkich wspólnych rzeczach, które dzielili. Może chciał, by to przypominało jej o wszystkim, co odrzucała nie ufając mu. Patrząc na ten piękny, spokojny krajobraz Rebeka nie mogła powstrzymać smutku, tęsknoty i żalu.

Jej logika i intelekt zaprowadziły ją donikąd. Zasady nienagannego zachowania, które stosowała wobec innych, uczyniły ją samotną. Teraz, gdy było już za późno, zrozumiała, że miłość oznacza wybaczenie i ufność.

Powróciły do niej słowa ojca, jeszcze bardziej gorzkie, gdyż wypowiedziane przez nią samą. "Jak na kogoś tak inteligentnego, potrafisz być okropnie głupia."

Poddając się smutkowi i rozczulając się nad sobą, Rebeka objęła rękami kolana, pochyliła głowę i zaczęła płakać. Ale nawet wtedy, w jej umyśle powstawały nowe plany. Będzie musiała pojechać do Chicago i odnaleźć Jace'a. Jeśli on zechce, zostanie tam z nim. W związku z tym będzie musiała przekazać wszystkich swoich pacjentów Dominice i Maxowi. Będzie musiała wziąć urlop. Jej obowiązki w szpitalu nie były tak ważnejak lojalność w stosunku do człowieka, którego kocha. Jace potrzebował jej teraz. Miała nadzieję, że wciąż będzie ją chciał, bo bez niego nigdy nie będzie w pełni sobą.

- Beko? - zapytał cichy głos. - Kochanie, nie płacz. Pomogę ci wejść.

Rebeka spojrzała w górę zapłakanyimi oczami i ujrzała Jace'a. Przez łyjzego postać rozmazywała się jak miraż.

- Jace! Co ty tu robisz?

- Przyszedłem wpuścić cię do domu - powiedział. - Zobaczyłem cię z mojego okna. Nie przejmuj się, kochanie. Nie każdy musi się znać na systemach alarmowych.

Wstając otarła łyzy, które zawisły na jej długich rzesach.

- Nie - powiedziała głosem zachrypniętym od płaczu. - To znaczy, chodzi o to, że myślałam, że wyjechałeś do Chicago. Türk wysłał mnie na dworzec, ale gdy tam dojechałam, ciebie już nie było.

Jace poczuł, jak wszystko w nim zastyga w oczekiwaniu.

- Czy dlatego płakałaś?

- Tak - wyszeptala. Teraz znów chciało jej się płakać. łyzy ulgi napłynęły jej do oczu. Nie było za późno. Mogła wciąż powiedzieć Jace'owi co czuła, pod warunkiem, że będzie chciał słuchać.

- Poszedłem na dworzec pożegnać Jerome'a Tarvina - powiedział Jace. Podszedł do drzwi i, nacisnąwszy kilka guzików, otworzył je, a zielone światło zapaliło się i nagrany głos Rebeki zaprosił go do środka. - Dostał pracę jako imitator Elvise Presley'a w Reno.

- Jak miło - grzecznie skomentowała Rebeka.

- Owszem - odpowiedział, obracając się do niej. - Był niezłym graczem, ale jako Elvis będzie świetny.

Zapadła niewygodna cisza. Jace spojrzał w dół i delikatnie wyjął fotografię z rąk Rebeki. Potem podniósł na nią wzrok, czekając aż coś powie, cokolwiek.

Rebeka wzięła głęboki oddech i spróbowała przełknąć to, co nie pozwalało jej mówić. Gdy w końcu zebrała się na odwagę, postanowiła nie owijać słów w bawełnę. Spojrzała mu prosto w oczy i powiedziała:

- Kocham cię. Wierzę w ciebie.

Głos o mało jej nie zawiódł, ale przemogła się, pragnąc pokazać mu, co było w jej sercu i z jeszcze większą desperacją oczekując, że to przyjmie.

- Jestem taka dumna z ciebie, z tego w jaki sposób zaplanowałaś nad swoim życiem, jak walczyłeś, by się zmienić. Nigdy nie powinnam była w ciebie zwątpić, Jace, ale tak się bałam, by znów nie zostać zranioną.

- Już się nie boisz? - spytał cicho.

Mimo ciepłego popołudnia przebiegł przez nią dreszcz. Spojrzenie Jace'a było skupione, gdy czekał na odpowiedź. Lekki wiatr rozwiewał jego włosy i owijał spódnicę wokół nóg Rebeki.

- Tak - odpowiedziała uczciwie. - Boję się. Boję się, że mi nie wybacysz.

Przez chwilę Jace stał nieruchomo, obawiając się porużyć. Gdyby się ruszył, czar mógł prysnąć, a on obudziłby się w swoim łóżku, uświadamiając sobie, że słowa Rebeki były tylko snem. Gdy sięgnęła, by dotknąć jego ramienia, odetchnął z ulgą. Była prawdziwa. To wszystko było prawdziwe.

Przyciągnął ją do siebie, objął i przytulił mocno, chowając nos w delikatnym jedwabiu jej czarnych włosów.

Tak bardzo tęsknił za nią od czasu, gdy się pokłócili. Nocami leżał nie mogąc zasnąć i myślał, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mógł jej dotknąć i czy jej uda się zostawić za sobą przeszłość, by mogła wyobrazić sobie ich wspólną przyszłość. Teraz wchłaniał dotyk jej ciała przylegającego do niego. Przyciskał usta do jej policzków, wdychając głęboko jej słodki aromat.

- Jedź do Chicago i rozwal ich - wymruczała Rebeka, opierając głowę na jego ramieniu. - Ja zapuszczę tu korzenie, czekając na ciebie.

- Umm... co do tego... - Jace odsunął się trochę i spojrzał na nią niewinnie. - Ja nie jadę.

Rebecce opadły ręce.

- Co?

Jace przepraszająco wzruszył ramionami. Czuł się trochę głupio, oznajmiając jej to teraz, gdy uczyniła mu wyznanie miłości i zaufania.

- Nie jadę.

- Ale oni cię wezwali. Tak mówili w radiu - powiedziała.

- Wiem. Oni rzeczywiście zadzwonili do mnie dziś rano - odrzekł. - Ale ja przemyślałem to dobrze i zdecydowałem, że jesteś dla mnie ważniejsza niż następna szansa na tytuł gwiazdy i, jeśli tego potrzeba byś uwierzyła że cię kocham, to zostaję tutaj. Nie potrzebuję sławy, Beko. Potrzebuję ciebie.

- Och, Jace - wyszeptała, jeszcze raz obejmując go. - A co z twoim marzeniem o powrocie? Tak ciężko pracowałeś.

- Chciałem udowodnić, że będę umiał wrócić do ligi. Już to zrobiłem. - Delikatnie unióś brodę Rebeki. Palcami gła-skał jej policzek i patrzył na nią czule, ale poważnie. - Teraz mam co innego do udowodnienia - to, że potrafię być do-brym mężem i ojcem.

Pokusa, żeby przyjąć jego decyzję była silna. Rebeka nie lubiła myśleć o tym, że Jace wyjedzie, o presji, pod jaką znaj-dzie się w Chicago, ale wiedziała, że nie będzie umiała wy-trzymać ze sobą, jeśli zatrzyma go tutaj.

Jeśli Jace zostanie, zawsze będzie zastanawiać się, czy od-niosłby sukces, gdyby wyjechał? Czy sprostałby wymaganiom gry, publiczności, prasy?

Po tym wszystkim przez co przeszedł, by zmienić swoje życie, powinien był sam sobie udowodnić, że to potrafi. Re-beka czuła, że musi pomóc mu w tym, pozwolić mu na to.

Uniosła się na palcach i pocałowała go w policzek, a po-tem cofnęła i popatrzyła na niego, jak gdyby chciała zapamiętać go w tym momencie - przystojny i poważny, w dżin-sach i bluzie w kolorze jego oczu. Nie był pięknym, złotym chłopcem sprzed lat. Rysy jego twarzy były mocniejsze, bar-dziej wyraziste. Zmarszczki w kącikach oczu i zmysłowo wy-krojone usta zostały wyostrzone przez czas i ból. Doświad-czenie w tych oczach było ciężko zdobyte.

To nie był Jace, który uwiódł serce młodej dziewczyny, a potem beztrosko ją porzucił. To był ten Jace, któremu młoda kobieta mogła całkowicie się powierzyć, wiedząc, że będzie o nią dbał, ponieważ go kocha, ponieważ mu wierzy.

- Posłuchaj - powiedziała miękko. - Mam już dosyć ciągłego oczekiwania od ciebie dowodu. Wystarczy mi wiedzieć, że zostałeś, gdybym cię o to poprosiła - uśmiechnęła się delikatnie. - Wracaj do ligi i pokaż im, co wart jest Jace Cooper.

- Czy naprawdę chcesz tego, Beko?

Skinęła głową.

- Pojadę z tobą, jeśli tego chcesz.

Jace pomyślał o wszystkich obowiązkach, które gotowa była porzucić dla niego. Jego serce wypełniła miłość. Zrozumiał, że nie tylko on dojrzał i zmienił się. Miał ochotę przyjąć jej ofertę, ale nie zrobił tego.

Było jeszcze kilka rzeczy, które chciał przemóc w sobie i pokazać zarządowi "Chicago Kings". Jeśli wróci, wróci sam, by stanąć o własnych nogach i stawić czoła wszystkim swoim lękom. Pragnął czuć, że ma poparcie i miłość Rebeki, ale ona nie mogła być z nim. To było coś, co musiał zrobić sam.

- Nie - powiedział, odgarniając włosy z jej policzka. - Wystarczy świadomość, że pojechałabyś, gdybym cię poprosił.

Rebeka czuła, że coś między nimi się umacnia. Czuła, że więź łącząca ich teraz rośnie i staje się trwalsza, ucisza niespokojne wody przeszłości, przenosząc ich na inną, wyższą płaszczyznę, tam gdzie miłość nie zna niebezpieczeństw ani niepewności. I w nagłym olśnieniu intuicji zobaczyła, że to była ich nagroda.

Była w pełni warta całego ryzyka.

Pocałowała go i uśmiechnęła się z sercem przepełnionym miłością.

- Jedź do Chicago, Jace. Będę czekać, aż wrócisz do domu.

Biorąc jej rękę, uśmiechnął się i wskazał na dom po drugiej stronie alejki, na ganku którego wygrzewało się w słońcu stadko kotów.

- Chodź, pomóż mi się spakować.

Rebeka rozkoszowała się kieliszkiem szampana, na jaki pozwoliła sobie w to święto i spijała jego żywy musujący smak.

"Dom Muriel jest piękny - myślała. - Przemiana, jaką przeszedł od wiosny, przywróciła mu życie, tak jak przemiana w Muriel wróciła jej ducha i energię".

Dom świecący splendorem wiktoriańskich świąt Bożego Narodzenia i napełniony gośćmi, tętnił życiem i szczęściem. Wszyscy obecni wydawali się tryskać radością. A jeśli goście błyszczeli, Rebeka wyobrażała sobie, że ona musiała być płonącą kometa.

Pełen szczęścia kobiecy uśmiech przemknął jej przez wargi, gdy przez chwilę została sama. W holu nie było nikogo. To był bez wątpienia najpiękniejszy dzień w jej życiu i Rebeka była szczęśliwa, że może dzielić go z przyjaciółmi, ale teraz potrzebowała kilku minut na złapanie oddechu i pozбиieranie myśli.

Przed chwilą wyszła z pokoju jadalnego, w którym na mahoniowym stole stał tuzin rozmaitych dań, a Merlin ubrany jak kelner, poruszał się między gośćmi, serwując kieliszki szampana ze srebrnej tacy. Wszystko szło gładko, więc Rebeka spokojnie usiadła na ławce przy organach i spojrzała na dekoracje, które pomagała rozmieścić.

Soczyście zielona świerkowa girlanda ozdabiała poręcz schodów, wszędzie dominowała zieleń i jedwabna czerwień, białe kokardy i bukiety suszonych kwiatów. Doniczki z Gwiazdami Wigilijnymi z koronami w różnych odcieniach stały na oknach, a prawie każdy stół w domu przybrany był bukietem z czerwonych róż i drobnego, białego kwiecica. Zapach lasu i kwiatów wypełniający powietrze, był mocny i odurzający.

W pokoju gościnnym, teraz pełnym ludzi, stał świeżo ścięty świerk, dotykający czubkiem wysokiego sufitu. Wiele z ozdób, które na nim wisały, należało do rodziny Muriel od dziesiątków lat, niektóre z nich przybyły z Francji z dziadkami Rebeki, a kilka zostało pracowicie przygotowanych przez Justina.

Nawet koty miały na sobie coś uroczystego, przynajmniej te najbardziej towarzyskie, które mieszały się z tłumem. Każdy miał dużą czerwoną muchę przyczepioną na szyi.

Nie wszystko tego wieczora było związane z Bożym Narodzeniem. Do właściwych świąt pozostawał jeszcze tydzień. "Dzisiejsza dekoracja była nie mniej specjalna - myślała Rebeka. - W pewnym sensie to także było Boże Narodzenie, ponieważ świętowano życie i miłość i początek czegoś nowego".

Uśmiechnęła się znowu, czując, że w środku cała pulsuje, z upodobaniem przeciągnęła ręką po swej atłasowej sukni ślubnej.

- A więc tu się ukrywasz - powiedział miękko Jace, wyślizgując się z jadalni z sałatką serową w rękę.

- Trudno to nazwać kryjówką - spojrzała na niego z czymś co, jak przypuszczała, musiało być bardzo głupim uśmiechem. Jej trzygodzinny mąż wyglądał niewiarygodnie przystojnie w smokingu.

Jace przypatrywał jej się także oczami błyszczącymi miłością. Rebeka była niezwykłym zjawiskiem, z włosami w kolorze północy zebranych z tyłu i przybranych białymi kwiatami. Suknia, którą miała na sobie, była bardzo staroświecka. Bufiaste rękawy na górze przechodziły w cienką obcisłą koronkę. Na obcisłym staniczku przyszyte były drobne perełki kończące się na wysokiej koronkowej stójce. Ciężki kremowy atłas był w odcieniu jej skóry. Szmaragdowy pierścionek, który włożyła na palec zaledwie kilka godzin temu, był prawie tak prześliczny, jak kosztowna zieleń jej oczu.

Biorąc jej rękę w swoją, Jace wycisnął pocałunek na jej miękkich ustach.

- Jesteś bez wątpienia najpiękniejszą panną młodą na świecie.

Rebeka rozpromieniła się i zaróżowiła, jak przystoi pannom młodym.

- Myślę, że tato mógłby się z tobą kłócić - powiedziała. - Jego zdaniem, Muriel wygląda równie ponętnie w swojej sukni ślubnej.

- Tak też jest - przyznał Jace, prowadząc ją hołem na tył domu. - Stary Hugh wiedział co robi, przekonując ją, by wynajęła mi pokój na lato.

Rebeka nie byłaby bardziej zaskoczona, nawet gdyby nagle wyrosły mu rogi. Co zrobił? Mój ojciec, co on zrobił?

- Kochanie, nie denerwuj się...

- Nie denerwuję się - powiedziała podnosząc ręce. - Nie denerwuję się.

- Powtarzasz się - zauważył Jace, wyjmując jej z ręki kiełiszek, zanim zdążyła go stłuc i postawił go razem z sałatką serową na stole.

Gdy Rebeka stała nieruchomo, dziwnie na niego patrząc, zdecydował od razu przejść do rzeczy i wszystko wyjaśnić.

- To on był tym przyjacielem, który zajął się przygotowaniem mi tutaj mieszkania. Chyba wywnioskował, że tak będzie najlepiej dla wszystkich zainteresowanych. My będziemy mogli często się widywać, a ja będę mógł przekonać Muriel, żeby częściej wychodziła z domu i...

- A to stary lis! - krzyknęła ze śmiechem. - To naprawdę wszystkim wyszło na dobre.

Jace wprowadził ją do małego saloniku, który był częścią jego mieszkania. Rebeka znalazła się w jego ramionach, mrużąc ze szczęścia.

- Tato znalazł Muriel. Ty i ojciec mieliście wspólny interes. A my kończymy jako para.

- Najbardziej podoba mi się to ostatnie - powiedział Jace, kradnąc jej całusa. Za chwilę pocałował koniuszek jej ucha, z którego zwieszał się kolczyk w kształcie perłowej kropli i wyszeptał: - Kocham panią, pani Cooper.

Odpowiedziała mu westchnieniem i uściskiem.

- Żadnego żalu z powodu porzucenia baseballu? - spytała Rebeka, gdy przytulili się do siebie, siadając na starej sofie. *

Potrząsnął głową.

- Nie. Powróciłem, wróciłem na sam szczyt, udowodniłem wszystko, co chciałem. Teraz, jestem gotowy, by osiąść spokojnie z moją piękną żoną i wspaniałym synem oraz rozpocząć budowę robotów.

Rebeka pocałowała go w policzek.

- Kocham pana, panie Cooper.

Brzmiało to o wiele za prosto, jak na wszystko, co do niego czuła. Był jej najlepszym przyjacielem, jej kochankiem, jej bratnią duszą. A przede wszystkim, był jej ogromną dumą.

Jace również myślał o tym ostatnim rozdziale swojej kariery. Wrócił do Chicago i uciszył krytyków solidną grą i postawą, która udowodniła wszystkim, że jest silniejszym i lepszym człowiekiem, niż Jace Cooper, którego pamiętali. To nie było łatwe. Tak naprawdę, to była jedna z najtrudniejszych rzeczy, przez jakie przeszedł w życiu. Ale tym, co pozwoliło mu przebrnąć przez wszystko, była miłość i poparcie kobiety, która siedziała teraz przy nim.

Tuż przed wyjazdem zespołu "Chicago Kings" na mistrzostwa, Jace ogłosił, że odchodzi, gdy tylko się skończą, bez względu na to, czy jego drużyna wygra, czy przegra. "Kings" przegrali w siódmej części, a Jace zawiesił swe buty na kołku i odszedł, szczęśliwy i zadowolony.

- Powinniśmy wracać na przyjęcie - powiedziała Rebeka z odrobiną żalu. - Naszym gościom będzie nas brakować.

- Mogą poczekać jeszcze minutę albo dwie. Gdy wychodziłem z jadalni Turk i pan Pepi rozpoczynali właśnie ciekawą dyskusję z kolegami twojego taty z Notre Dame. To powinno zająć wszystkich przez chwilę - powiedział Jace, z figlarnym uśmiechem na ustach. Przechylając się, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej małą kremową

kopertę. - Przyprowadziłem cię tutaj, żeby dać ci mój prezent ślubny.

- Och - powiedziała, z udanym rozczarowaniem wydymając usta. - Myślałam, że zaciągnąłeś mnie tutaj na jakieś małe szaleństwo.

Jace uniósł brwi spoglądając rozbawiony.

- Tego dostaniesz pod dostatkiem dziś w nocy.

- Obiecanki-cacanki - odrzekła.

Obracała kopertę w palcach, badając ją i przedłużając moment oczekiwania. W końcu powiedziała znacząco:

- Przynajmniej nie jest to nic mechanicznego.

- W żadnym razie - przyznał ze śmiechem. - Nie pragnę być porażony prądem przez własną żonę w noc poślubną.

Robiąc do niego minę, wolno otworzyła kopertę i wyciągnęła z niej zdjęcie. Zdjęcie było to samo, które przesłała jej do biura tego dnia, gdy "Chicago Kings" powołali go z powrotem do ligi: fotografia ich specjalnego miejsca na łące przy strumieniu.

Jace nie wyjaśnił niczego, gdy zdziwiona zwróciła się ku niemu. Oparł się wygodnie i odprężył, gdy ciepło wspomnień miękko tliło się w jego sercu.

- Pamiętasz, jak przeszliśmy przez to wzgórze i zobaczyliśmy duży dom?

Uśmiechnęła się. Pamiętała.

- Był żółty i miał niebieskie okiennice i duży ganek...

- I drzewa bukowe na podwórku. Zastanawiałaś się, czy nie ma słonecznej jadalni i...

- Wyglądzonych drewnianych podłóg.

Jace podniósł palec i przejechał nim po linii jej nosa.

- Ma.

Nie musiał mówić nic więcej. Rebeka wiedziała nie pytając. Jace dawał jej tę łakę, to szczególne miejsce tyłu wspomnień. Będzie rozciągała się przed ich domem.

- Dałbym ci akt posiadania - dodał Jace - ale bank chce go trzymać przez następne trzydzieści lat.

- Liczy się myśl - powiedziała obejmując go.

- Liczą się honoraria z występów - poprawił z uśmiechem.
- Wiesz co, myślę, że kocham baseball prawie tak samo, jak ciebie - powiedziała.

Pochylając się, Rebeka podkurczyła nogi. Jace objął ją ramieniem i pocałował. To był leniwy pocałunek, który mówił, że mieli przed sobą całe wieki, by sprawiać sobie przyjemność.

- Hej, wy - powiedział Justin wmaszerowując do pokoju.
- Co wy tu robicie?

- Całujemy się - odparł Jace. - Chcesz trochę?

Chłopiec roześmiał się, zatrzymując na kolanie Jace'a. Wyglądał uroczo w swoim miniaturowym smokingu i krawacie. Rebeka, tuż przed podwójną ślubną ceremonią, ułożyła mu włosy. Teraz, jeden uparty kosmyk opadał niesfornie na czoło. Na brodzie miał ślady różowego kremu.

Popatrzył na Jace'a, podekscytowany jak w wigilijny wieczór i powiedział:

- Cześć, tato!

Wszystko w Jace'ie zmiękło. Podniósł Justina i posadził go sobie na kolanie.

- Cześć, synu.

Justin usadowił się zadowolony. Spojrzał na Reбекę i powiedział.

- Teraz gdy mam mamę i tatę, czy mogę dostać małego braciszka na Boże Narodzenie?

Rebeka zarumieniła się ładnie i uśmiechnęła.

- Zapytaj o to tatę, kochanie.

Jace posłał jej niedowierzające spojrzenie, potem przełknął ciężko napotykaając niewinny, oczekujący wzrok Justina.

- Umm... ee... - szukał w myśli odpowiedniej uwagi. - ... Zobaczymy.

Brzmiało to bardziej jak pytanie, niż jak odpowiedź. Rebeka przycisnęła pięścią usta, by powstrzymać śmiech, gdy tymczasem Jace radził Justinowi, żeby poszedł sprawdzić, co z Merlinem.

- Myślisz, że zadowoli się szczeniakiem? - słabo spytał Jace.

- Zapewne.

Obrócił się i spojrzał ciepło na swoją żonę.

- Może w przyszłym roku będziemy mogli dać mu małego braciszka?

Rebeka spuściła wzrok i potrząsnęła głową.

- Nie sądzę.

Jace spróbował zignorować ukłucie blisko serca. Znowu chciał na niej coś wymusić. Musiał nauczyć się zostawiać jej trochę wolnej przestrzeni. Wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po włosach, ciemnych jak skrzydła kruka.

- Ja... przepraszam, kochanie. Jeśli chcesz poczekać trochę...

- Nie - powiedziała Rebeka, przygryzając usta. - Nie chodzi o to, że chcę czekać. Chodzi o to, że nie sądzę, żebym mogła czekać.

Zmieszany Jace patrzył na nią przez chwilę, po czym wypowiedział klasyczne męskie zdanie.

- Hę?

Ze spojrzeniem, w którym kryła się cała tajemniczość i mądrość kobiet wszechczasów, Rebeka wzięła jego rękę i przyłożyła ją do miękkiego, szeleszczącego materiału okrywającego jej brzuch.

- Powiedziałabym, że to małe nie będzie czekać dużo dłużej niż do sierpnia.

Wzrok Jace'a spoczął na eleganckiej ręce Rebeki leżącej najego dużej, męskiej dłoni. Pod nią była atłasowa miękkość jej sukni i maleńkie życie zasadzone tam w akcie miłości.

Nietrudno było określić kiedy. Rebeka przyjechała do Chicago, żeby spędzić z nim kilka dni pomiędzy rozgrywkami ligi i ostatnimi mistrzostwami - zanim ogłosił swoje odejście, zanim dostała solidne potwierdzenie tego, że do niej wróci.

Dziecko, które rozwijało się w niej, było ostatecznym dowodem jej zaufania i miłości.

Gdy Jace podniósł głowę, w jego oczach były łzy.

- Jestem taki szczęśliwy. Kiedyś myślałem, że mam wszystko. Myślałem, że sen nigdy się nie skończy i tak też żyłem.

- Potrzęsnał głową dziwiąc się swojej dawnej nieświadomości i świeżo odkrytej prawdzie. - Teraz wiem, że nigdy nie miałem niczego, aż do teraz, aż do ciebie. Dziękuję ci za wiarę we mnie, Beko.

- Kocham cię - wyszeptała i Jace uśmiechnął się, bo w jej głosie nie było żalu ani bólu, ani wątpliwości. Tylko radość.

- Kocham cię - wymruczał, biorąc ją w ramiona i przytulając mocno, ciepło i bezpiecznie, gdy śnieg cicho padał za oknem.